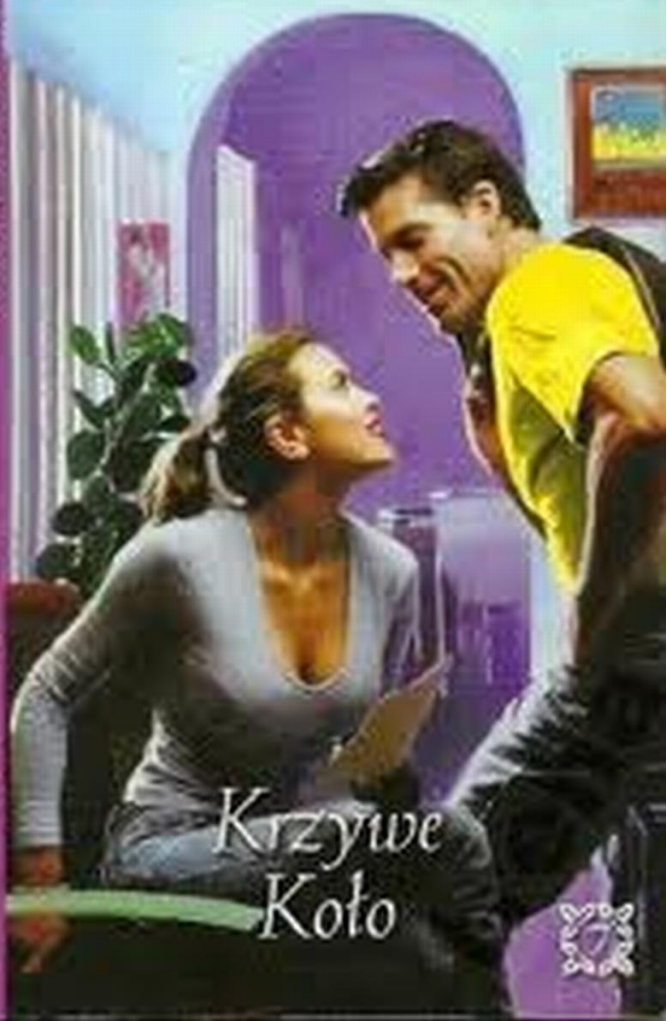


Aleksandra Daniecka

najpiękniejsze opowieści



Krzywe  
Koło



# Danecka Aleksandra

## Krzywe koło

*Pełna młodzieńczego wdzięku Anna, studentka historii sztuki, postanawia pomóc babci odtworzyć chronologię ich rodu. Udaje się więc do archiwum, gdzie z pomocą przychodzi jej przystojny historyk, niezwykle zainteresowany losami słynnego przodka dziewczyny. Wkrótce jednak to ona zawładnie niepodzielnie jego myślami.*

*Będąc ostatnią z rodu, Anna jest równocześnie jedyną spadkobierczynią wielkiej fortuny. Tymczasem Krzysztof okazuje się spokrewniony ze śmiertelnym wrogiem pań Połońskich! Czy miłość zdoła wygrać z chciwością?*

# 1

- Aneczko! Aneczko! - drżący głos starszej pani dochodził z tarasu. - Chodź, dziecko, na podwieczorek! Dosyć tej nauki!

Anna przeciągnęła się leniwie, zebrała rozrzucone na trawie książki, wstawiła leżak do altanki i ruszyła w stronę domu. Już po chwili siedziała przy kuchennym stole nad solidną porcją truskawek ze śmietaną.

- Babciu, jesteś fantastyczna. To jest dokładnie to, czego mi brakowało do szczęścia: ukochanych truskawek i rozmowy z tobą.

- Czy aby kolejność twoich pragnień nie powinna być inna?

- Wybacz, babciu, przecież dobrze wiesz, że jesteś najlepszą babcią na świecie, a ja najbardziej roztrzępaną i nieznośną wnuczką.

Pani Izabela przetała okulary i sięgnęła po filiżankę z kawą. Była zadbaną starszą panią z gładko zaczesanymi siwymi włosami, spiętymi w kok z tyłu głowy. Ubierała się nieco staromodnie, w szyte na miarę kostiumy i suknie, których styl świadczył o tym, że dla ich właścicielki czas zatrzymał się dwadzieścia lat temu. Pochowała wtedy męża, a wkrótce potem w wypadku samochodowym zgi-

nał jej jedyny syn z niedawno poślubioną żoną. Na Izabelę spadł obowiązek zaopiekowania się wnuczką, do czego zabrała się z właściwym sobie temperamentem i poczuciem odpowiedzialności. Nie mogła popaść w depresję, poddać się rozpacz, pozwolić na to, żeby stres bezkarnie pozbawił ją woli życia i odebrał zdrowie. Podjęła walkę z czasem. Musiała wychować Annę i zapewnić jej jak najlepszy start w życie. Odniosła sukces. Wnuczka wyrosła na zdrową, pogodną i zadowoloną ze swojego losu dziewczynę. Studiowała historię sztuki i ufnie patrzyła w przyszłość.

- Czy coś się stało, babciu? - spytała Anna, zaniepokojona milczeniem Izabeli.

- Nie, dziecinko. Wszystko w porządku, jestem tylko trochę zmęczona. Chyba będę musiała uciąć sobie małą drzemkę. Bezsenne noce są takie męczące, a tyle mam spraw na głowie.

- Mogę w czymś pomóc? Powiedz, babciu. Przede mną jeszcze tylko jeden egzamin i jestem wolnym człowiekiem. Mogę się zająć wyłącznie twoimi sprawami.

Izabela popatrzyła na Annę uważnie i po chwili wahania powiedziała:

- Aneczko, jesteś już właściwie dorosła. Nadszedł czas, żebyś poznała problemy, z jakimi boryka się nasza rodzina, bo ja mam już sporo lat i może się zdarzyć, że...

- Babciu...

- Nie przerywaj. - Izabela uniosła do góry drobne dłonie na znak protestu. - Już czas, drogie

dziecko. Pamiętaj, nikt nie jest wieczny. Jeśli zostaniesz sama ze wszystkimi kłopotami, nie zdołasz dotrzeć do wielu informacji, bo w dokumentach zamkniętych w sejfie na górze nie znajdziesz odpowiedzi na wszystkie pytania.

- Babciu! Ja... - próbowała jeszcze oponować Anna.

- Dość! Już czas. A teraz słuchaj. Legendę rodzinną znasz. Pewne fragmenty opowieści i anegdoty od lat przewijały się w naszych rozmowach, nigdy jednak nie zbierałam tego w całość, żeby cię nadmiernie nie obciążać i niepotrzebnie straszyć. Więc zacznę jeszcze raz od początku.

Szczesny Połoński, o którym słyszałaś w szkole na lekcjach historii, był, jak wiesz, przodkiem twojego ojca, co oznacza, że jesteś ostatnią przedstawicielką tego rodu. Ileż razy musiałam słuchać tych opowieści, chociaż niespecjalnie mnie interesowały, a teraz muszę dotrzymać słowa danego mężowi i dopilnować wszystkiego do końca. Szczesny Połoński był stryjem twojego przodka sześć czy nawet siedem pokoleń wstecz. Był to człowiek o prawdziwie kawaleryjskiej fantazji i nieco awanturniczym usposobieniu. Brał udział w rokoszu za czasów naszego ostatniego króla, Stanisława Augusta Poniatowskiego. Co się wtedy działo, wiesz równie dobrze jak ja. Król wyszedł z tego obronną ręką. Kiedy wieźli go na miejsce, gdzie zebrała się zbuntowana szlachta, zdołał przemówić do rozumu i serca niewielkiej eskorty, jaka mu towarzyszyła w tej ponurej podróży,

i o dziwo, karetę zawróciła, a król bezpiecznie dotarł do Warszawy.

Pamiętasz obraz, który wisi w kościele na Powązkach? W jednym rogu namalowana jest niewielka karetę zaprzęzona w cztery konie. Król Staś osobiście ufundował ten obraz na pamiątkę cudownego ocalenia. Jak widzisz, pamiętał o tym, żeby podziękować Bogu. Nie przeszkodziło mu to jednak podjąć działań wymierzonych przeciwko rokoszanom. Od razu było wiadomo, że zbuntowani pójdą pod sąd, a ci, którzy uciekną za granicę, zostaną skazani na dożywotnią banicję.

Szczęsnemu nie uśmiechało się spędzenie reszty życia w więzieniu, więc bez namysłu ruszył z kompanami w świat. Jego najbliższym przyjacielem był niejaki Kalikst Taborowski z Taborowa, taki sam niespokojny duch. Wsiedli razem na okręt, żeby za oceanem u boku Kościuszki wspierać Waszyngtona w wojnie o niepodległość Ameryki. Szczęsny był utalentowanym dowódcą i niesubordynowanym podwładnym, podejmującym samodzielne akcje bez porozumienia ze zwierzchnikami. Mimo to sam Waszyngton wielokrotnie odznaczał go za szczególne zasługi, a pewnego razu obdarował nawet sporym placem w zakładanym właśnie mieście, które potem nazwano Waszyngtonem, od nazwiska wielkiego przywódcy.

Pradziad nie zdążył nacieszyć się tym darem. Być może nie przywiązywał do niego zbyt wielkiej wagi, bo, jak wiesz, wtedy było to pustkowie, na którym dopiero stawiano pierwsze domy, karczując okoliczne lasy.

I tu pojawia się problem, nierozwiązany do dnia dzisiejszego. Otóż Szczęsny podobno napisał testament, w którym wszystko, co posiada, a więc przedmioty codziennego użytku, pamiątki z ojczyzny, uprzęż, konia i ten nieszczęsny plac przekazał swojemu towarzyszowi, czyli owemu Kalikstowi Taborskiemu, w zamian za opiekę w razie choroby i godny pochówek. Taborski napisał taki sam testament, ale ponieważ był niższy rangą niż twój pradziad, więc nie miał nic poza Biblią, ubraniem, koniem i szablą. Dlatego właśnie zobowiązał się, że większą część spadku po przyjacielu przekaże jego rodzinie w Polsce, jeśli tylko znajdzie sposób, żeby dotrzymać danego słowa.

Jak było w istocie, nikt nie wie. W każdym razie na początku lat trzydziestych przyjechał do Komorowa jakiś człowiek, który powiedział, że jest potomkiem Kaliksta Taborskiego. Poszukiwał dokumentów, które potwierdzałyby prawdziwość testamentu Szczęsnego Połońskiego. Dokumentów żadnych nie pokazał, ale zapewniał, że proces jest w toku i że wkrótce wydostanie od rządu Stanów Zjednoczonych równowartość placu w Waszyngtonie, razem z odsetkami, które pomnażały ten majątek przez ponad sto trzydzieści lat.

Podobno proces miał się ku końcowi i kto wie, co by z tego wynikło, gdyby nie wybuch wojny w trzydziestym dziewiątym roku. Twój pradziadek zamierzał wykazać bezpodstawność roszczeń rodziny Taborskich albo w ostateczności zawrzeć z nimi ugodę, ale nie zdążył się tym zająć. Podob-

no istniały niezbite dowody, że Taborscy nie mają żadnych praw do spadku po Szczęsnym. Pradziadek nie przeżył wojny, a potem wszyscy o tym zapomnieli. Kiedy mieliśmy jakiś problem finansowy, twój dziadek zawsze powtarzał: „Nie martw się, Duszko, przecież jesteśmy spadkobiercami ogromnej fortuny. Wystarczy odrobinę wysiłku i...” No tak. Nikt jednak nie traktował tego poważnie. Mieliśmy inne zmartwienia.

Po śmierci twoich rodziców przypadkiem natrafiłam na dziwny artykuł. Był to wywiad z kolejnym potomkiem rodu Taborskich, który opowiadał dzieje spadku po Szczęsnym i twierdził, że proces zmierza do szczęśliwego końca. Sięgnęłam wtedy do papierów nieruszanych od śmierci dziadka i próbowałam rozwikłać tę zagadkę. Uświadomiłam sobie wówczas, że ród Połońskich kończy się na tobie. Mniej więcej w tym samym czasie dotarła do mnie wiadomość, że Taborski ma obsesję na punkcie spadku po Szczęsnym i w końcu musiał się poddać leczeniu w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.

Nie wiem, czy jest niebezpieczny dla otoczenia, ale nie można tego wykluczyć, moje dziecko. Być może testament, o którym tyle słyszałam, jest tylko zręcznie podrobionym dokumentem. Nie wiem, co się teraz dzieje z Taborskim, i szczerze mówiąc, nawet nie chcę wiedzieć. Musisz jednak na siebie uważać i dobrze zapamiętać sobie to nazwisko, które oznacza dla nas tylko jedno: zagrożenie.

Tu Izabela znów uniosła do góry drobne dłonie



i z troską patrzyła na wnuczkę. Anna jadła truskawki i uważnie słuchała, niecierpliwym gestem odrzucając z czoła niesforne jasne włosy. Była drobną blondynką o ładnych, regularnych rysach twarzy. Miała miły uśmiech, poruszała się z wdziękiem i bez trudu zjednywała sobie sympatię, chociaż niechętnie nawiązywała nowe znajomości. Najlepiej czuła się w gronie kolegów ze szkoły i ze studiów. Nikomu z nich jednak nie udawało się nakłonić jej do zwierzeń i poważnych rozmów o życiu. Wszystko obracała w żart, sprowadzając rozmowę na bezpieczne tory.

Anna była dobrą studentką, chętnie pomagała innym w nauce, służyła radą, pożyczała książki. Mimo że brała udział w towarzyskich spotkaniach, wciąż nie miała chłopaka, co koleżanki przyjmowały z nieukrywanym zdziwieniem. Samotna dziewczyna z poczuciem humoru i atrakcyjnym wyglądem stanowiła dla nich zagrożenie i wyzwanie.

Anna tłumaczyła przyjaciółkom, że nie interesują jej przelotne związki, bo czeka na wielką miłość. Ale tak naprawdę coraz częściej spoglądała krytycznie w lustro, szukając w swojej twarzy przyczyn, które skazywały ją na samotność. Szukała ich też w sobie i nie znajdowała żadnej satysfakcjonującej odpowiedzi. „Może jestem zbyt samodzielna i niezależna? Może zanadto pewna siebie? Nie narzucam nikomu własnego zdania, ale zawsze mówię to, co myślę, spokojnie, lecz stanowczo i wyraźnie. Może chłopcy tego nie lubią? Może wobec nieustającego zapotrzebowania

na słodkie, bezradne stworzenia nie mam żadnych szans? Nie wiem. Nie potrafię jednak grać słabej i głupiej kobietki, która nieustannie wszystkiemu się dziwi z szeroko otwartymi oczami. Nie chcę, nie umiem i nie mam zamiaru. Gdzie są chłopcy, którzy szukają dziewczyny-partnerki do rozmowy, do wypraw za miasto i wspólnego cieszenia się światem, życiem, słońcem, książkami i dobrą muzyką? Nie chcę tracić czasu na szczebiotanie o głupstwach i adorowanie zadufanego w sobie bęcwała. Widocznie skazana jestem na samotność."

Anna już dawno temu posiadała umiejętność wyłączania się, kiedy zmuszona była słuchać przydługich monologów. Podążając za własnymi myślami, wciąż przytomnie patrzyła w oczy swojemu rozmówcy, upewniając go, że nie uroniła ani jednego słowa. Teraz również zajęta była własnym losem, a nawet użalała się nad sobą. Jednak nie miało to większego wpływu na jej buntowniczą postawę. Nadal spoglądała z lekceważącym przymrużeniem oka na męską połowę ludzkości. Jednym uchem chwyciła pojedyncze słowa babci, lecz nawet nie próbowała poświęcić im większej uwagi. Dopiero przy rodowym nazwisku Taborskich, których stanowczo należy kojarzyć z zagrożeniem, oprzytomniała nieco i uważniej spojrzała na Izabelę. W tym momencie zabrzączał dzwonek przy bramie.

- Ja otworzę, babciu - zawołała i wybiegła przed dom.

Przy furtce stał nieznajomy pan w średnim wieku. Anna podeszła bliżej i zapytała o powód wizyty. Przybysz odparł, że jest przedstawicielem firmy ubezpieczeniowej, która w trosce o klienta przysyła swoich pracowników do domu. Proponował ubezpieczenie budynku, biżuterii, obrazów oraz szereg innych usług w tym zakresie. Anna podziękowała za wszystko i odprawiła nieproszonego gościa. Zapamiętała jego przenikliwy wzrok i wyjątkowo okazałe, krzaczaste brwi.

Izabela pochwaliła wnuczkę za właściwe potraktowanie natręta i znów wróciła do swojej opowieści.

- A teraz, moje dziecko, uważaj. Jest coś, co mogłabyś dla mnie zrobić, skoro wykazujesz tyle dobrej woli. Otóż, Aneczko, dostałam niezwykle list. Parę lat temu powstało muzeum Szczęsnego Połońskiego, w którym gromadzone są pamiątki po bohaterze narodowym. Widzisz? Powinnaś być z tego dumna. Otóż proszą mnie o pomoc, co zmusza nas do przejrzenia rodzinnego archiwum i sprawdzenia, czy nie możemy im ofiarować jakiegoś cennego dokumentu. Możesz więc zabrać się razem ze mną do tej niewdzięcznej i pewnie dość nudnej roboty.

I jeszcze jedno. Muzeum, a właściwie jego dyrektorka doniosła mi, że Polonia amerykańska chce ufundować pomnik twojego przodka. Pod jakimś starym krzyżem natrafiono na skrzynkę ze szczątkami, na której znajdował się ledwie czytelny napis, świadczący o tym, że wewnątrz są kości

naszego nieszczęsnego Szczęsnego. Żeby mieć pewność, że nie zaszła pomyłka, zwrócono się do mnie z prośbą o pomoc w zebraniu informacji o najbliższych krewnych bohatera. Chcą przeprowadzić badania genetyczne. Jak widzisz, podeszli do tego z najwyższą powagą. Zgromadzono już pieniądze na okazały pomnik, prace trwają, brakuje im tylko pewności w tej sprawie. Musimy więc odtworzyć drzewo genealogiczne i ustalić miejsca pochówku najbliższych krewnych Szczęsnego.

- Poczekaj babciu, czy oni myślą o ekshumacji?

- Tak sędzę. Ale trzeba będzie im pomóc. Po egzaminie wybierzesz się do archiwum na Starym Mieście i poszukasz paru osób, które zmarły jakieś sto pięćdziesiąt lat temu. Pamiętaj, interesują nas przede wszystkim miejsca ich pochówku. Chyba najbliższą krewną była siostra Połońskiego, ale nie pamiętam, za kogo wydano ją za męż. Dlatego nie mam pojęcia, gdzie szukać jej szczątków.

- A może trzeba poprzeglądać jakieś herbarze?

- Nie wiem, Aneczko. Ty najlepiej będziesz wiedziała, jak dotrzeć do takiej informacji. Zapytaj znajomych historyków. Z pewnością ktoś ci doradzi, co z tym wszystkim zrobić. Opracowanie planu działania pochłonęło czas do kolacji. Anna zaangażowała się w tę historię na dobre. Podniecało ją nowe wyzwanie i rola, jaką mogła odegrać w międzynarodowej bądź co bądź sprawie. Miała ochotę pobiec jak najprędzej na górę do swojego pokoju i spisać w notatniku kolejne etapy działania. Przez chwilę z niepokojem myślała o eks-

humacji, która była najmniej przyjemnym punktem całego przedsięwzięcia. Jako początkujący historyk sztuki wołała odkrycia zupełnie innego rodzaju. Cmentarze budziły jej ciekawość jedynie ze względu na zabytkowe pomniki lub kaplice grobowe. Ich zawartość nie była dla niej istotna. Co więcej, nigdy nie próbowała wyobrazić sobie, co kryją podziemia. Po raz pierwszy w życiu pomyślała o kościach, czaszkach i szczątkach zetkniętych tkanin, które trzeba będzie wydobyć na światło dzienne, żeby zaspokoić ciekawość patriotów z drugiej półkuli, albo, mówiąc dokładniej, aby dać im pewność, że kości spoczywające w odnalezionej skrzyni, należą do jej przodka, świętej pamięci Szczęsnego Połńskiego.

Westchnęła z wyraźnym zniecierpliwieniem i otrząsnęła się jak pies, który przed chwilą wyszedł z wody. „Lepiej o tym nie myśleć. Mam nadzieję, że nie będę musiała uczestniczyć w tym ponurym spektaklu.”

## 2

W piękny czerwcowy poranek Anna zdała na piątkę ostatni egzamin i jako szczęśliwa studentka trzeciego roku historii sztuki opuściła bramy uczelni. Nadszedł moment, kiedy mogła wreszcie zająć się historią swoich przodków. Powoli szła przez Rynek Starego Miasta. Turyści spacerowali między stoiskami rysowników zapraszających do pozowania. Tutaj, wśród gromady natrętnych gapiów, można było uczestniczyć w akcie twórczym i za niewygórowaną cenę sprawić sobie portret. Niezwykle sympatyczni plastycy, brodaci, niebieskoocy blondyni o szerokim uśmiechu, zaglądali z nadzieją w twarze cudzoziemców. Fotele przeznaczone dla modeli wciąż były puste. Próbkę radosnej twórczości artystów wytrzeszczały oczy na przechodniów, co najwyraźniej nie było skuteczną reklamą.

Kataryniarz z kolorową papugą na ramieniu, odwołując się do tradycji przedwojennej Warszawy, zachęcał do wyciągania losów. Małe dzieci przynosiły drobne monety i odchodziły z balonikami lub lizakami w rękach, dumne ze swoich zdobyczy.

Anna minęła kawiarenkę z najsmaczniejszymi lodami w okolicy, nawet nie odwracając głowy

w jej stronę, i weszła w cień uliczki o nazwie „Krzywe Koło”. Zaraz za rogiem znalazła starą kamieniczkę z napisem „Archiwum Państwowe Miasta Stołecznego Warszawy”. Weszła po schodach, zachwycając się starannie odrestaurowanym lub zbudowanym według dawnych planów wnętrzem. Nie mogła sobie przypomnieć, czy ten dom przetrwał wojnę, czy też jak większość kamieniczek Starego Miasta był zburzony i dopiero pod koniec lat czterdziestych zbudowany od nowa.

Już po chwili skierowano ją do gabinetu, gdzie miała rozpocząć poszukiwania.

Spodziewała się, że wewnątrz spotka zasuszoną staruszkę w czarnym satynowym fartuchu z białym kołnierzykiem. Jakież było jej zdziwienie, gdy drzwi otworzył wysoki, szczupły chłopak z jasną, bujną czupryną, ubrany w dżinsy i kraciastą koszulę. Przedstawiła się niezbyt wyraźnie, z trudem ukrywając zaskoczenie. Po chwili dotarło do niej nazwisko chłopaka.

- Kalicki Krzysztof. W czym mogę pomóc?

Miły uśmiech urzędnika natychmiast poprawił jej nastrój. W krótkich słowach wyjaśniła cel swojej wizyty i ze zdumieniem stwierdziła, że młody archiwista jest nieźle zorientowany w dziejach jej rodziny. Natychmiast zaofiarował swoją pomoc. Twierdził, że z czystej sympatii do narodowego bohatera sam próbował szukać bliższych informacji na ten temat, bo przeczytał w jakiejś gazecie apel patriotów z Ameryki poszukujących krewnych szacownego nieboszczyka. Dodał jeszcze, że jeśli Anna zechce pójść z nim na kawę, to powie

jej, co ustalił w trakcie swoich całkowicie pozaza-wodowych poszukiwań.

Krzysztof wybiegł na chwilę z pokoju, zapewne po to, żeby się zwolnić u swego szefa, i już po chwili szli razem zacienioną uliczką w stronę Barbakanu. W miarę jak się do niego zbliżali, docierał do nich z coraz większą siłą głos śpiewaka, który popisywał się jakąś arią operową. Anna spojrzała w górę, na intensywny błękit nieba nad dachami Krzywego Koła. Pieśń była urzekająco piękna. Odruchowo skrzyła w stronę, z której dobiegał głos, ale Krzysztof ujął ją bezceremonialnie pod rękę i skierował w stronę rynku. Kiedy obróciła głowę, napotkała jego uważne spojrzenie. Uśmiechnęli się jednocześnie. Anna miała wrażenie, że zna tego chłopca od niepamiętnych czasów: od razu zdobył jej sympatię. Po chwili siedzieli pod kawiarnianym parasolem i rozmawiali z przejęciem, zwracając się do siebie po imieniu.

- Jest tak, słuchaj uważnie, Aniu - zaczął Krzysztof. - Połowski fascynował mnie od dawna. Już w szkole rozpocząłem nieudolne poszukiwania, żeby dowiedzieć się więcej, niż było napisane w podręczniku. Nie bardzo sobie z tym radziłem i wtedy mój stryj okazał się nieocenioną kopalnią wiedzy. Pozwolił mi buszować w swojej bibliotece. Pewnie z tego powodu zostałem historykiem. Zanim do mnie przyszedł, sam zastanawiałem się nad tym, jak udowodnić autentyczność znalezionych w Ameryce szczątków Połowskiego.



Zwróć uwagę na to, że twój przodek został ranny podczas bitwy pod Savannah i wtedy właśnie przeniesiono go na okręt. Umarł podczas podróży i tu pojawia się problem. Zazwyczaj w takich wypadkach ciało wrzucano z honorami do morza. Ale w tej konkretnej sytuacji, kiedy załoga miała do czynienia z bohaterem legendą, mogło się zdarzyć, że odwieziono zwłoki na brzeg i pochowano Szczęsnego jak należy. Pomnik, który niedawno się rozsypał, świadczy o tym, że mimo niespokojnych czasów podjęto starania, aby pochówek był godny wielkiego człowieka. Zapewne po jakimś czasie nieboszczyka ekshumowano, a jego kości z pietyzmem złożono w niewielkiej metalowej skrzynce.

- Widzisz, Krzysiu, babcia nie wspominała ani o statku, ani o morzu. Prawdopodobnie nic o tym nie wie. Teraz jednak rozumiem niepokój Polaków z Ameryki. Nie mają żadnej gwarancji, że w skrzyni spoczywają szczątki mojego przodka.
- Coś takiego! - Krzysztof kręcił głową z niedowierzaniem. - Siedzi przede mną autentyczna krewna wielkiego Połońskiego. Mój stryj pięknie z zazdrości, jak mu o tym opowiem.
- Czy twój stryj jest historykiem?
- Ale skąd. To nawiedzony pasjonat, który odziedziczył po ojcu szaleństwo na punkcie Połońskiego. Podobno kiedyś nasi przodkowie się znali, może nawet walczyli razem w Ameryce. To taka rodzinna legenda. Teraz chyba wszystko jest już jasne.

Anna usiłowała przypomnieć sobie nazwisko Krzysztofa, bo zasłyszana przed chwilą historia zbiła ją z tropu. Usłużna pamięć przywołała brzmienie, które w niczym nie kojarzyło się z zagrożeniem. „Przecież Kalicki to nie Taborski” - powtarzała w myślach, usiłując zagłuszyć niepokój.

Rozmawiali jeszcze dobre pół godziny. Wreszcie Krzysztof doszedł do wniosku, że poszukiwania trzeba zacząć od początku, czyli od najbliższego otoczenia Szczęsnego. Należy ustalić, za kogo wyszła za mąż jego rodzona siostra, dowiedzieć się, gdzie została pochowana, a potem wszystko już będzie proste. Wziął na siebie dotarcie do tych informacji, z czego niezbcie wynikało, że zamierza uczestniczyć w rozwiązywaniu tej zagadki. Rozstali się w wyśmienitych nastrojach.

### 3

Anna wracała do Komorowa ogromnie z siebie zadowolona. Zdała ostatni egzamin, przed sobą miała wakacje i coraz bardziej emocjonujące poszukiwania w towarzystwie przystojnego chłopaka, który najwyraźniej cieszył się z tego, że ją poznał. „A jeśli to tylko snobistyczne upodobania? Może dla niego ważny jest wyłącznie Szczęsny, a na mnie zwrócił uwagę jedynie z powodu moich rodzinnych powiązań z bohaterem?” Szybko odsunęła na bok swoje wątpliwości, spoglądając z rozmarzeniem na mijane po drodze pola i ogrody.

„Jest dobrze, a nawet lepiej niż dobrze. Jadę do domu na pyszny obiad, potem położę się pod ulubionym drzewem z książką w ręku i będę udawała, że czytam. A jeśli przymykając oczy, zobaczę Krzysztofa i poczuję na ramieniu dotyk jego ręki, nie będę miała nic przeciwko temu.”

Wysiadła na stacji w Komorowie i lekkim krokiem ruszyła znajomymi uliczkami. Przystanęła na chwilę przed bramą sąsiadki, żeby popatrzeć na kotkę, która pomiaukując próbowała zapędzić trójkę sporych kociąt w stronę domu. Maluchy jednak za nic nie chciały zrezygnować z emocjonującej wyprawy do ogrodu i uciekały od matki.

Wreszcie zirytowana kotka ostrożnie, ale stanowczo chwyciła zębami za kark pierwszego z brzegu malca i mimo głośnych protestów pociągnęła go po trawie. Wniosła, a właściwie wtaszczyła kociaka po schodach, zapędziła do domu i po chwili w ten sam sposób upolowała następne maleństwo.

Annę rozśmieszyły poczynania nadopiekuńczej kotki. Kiedy odwróciła głowę, zobaczyła, że z domu babci wychodzi jakiś człowiek. Przyspieszyła kroku i z ogromnym zdumieniem stwierdziła, że zbliża się do niej ten sam mężczyzna, którego widziała poprzedniego dnia. Najbardziej zaskakujące jednak było to, że dziś prezentował się zupełnie inaczej. Popychał przed sobą mały wózek na dwu kółkach, na którym piętrzyły się łubianki po truskawkach. Miał na sobie fartuch i czapkę leninówkę z daszkiem. Wyglądał jak ogrodnik z sąsiedztwa, który sprzedaje owoce. Dziewczyna uniosła ze zdziwieniem brwi i otworzyła furtkę.

Babcia stawiała na kuchni rondel, w którym zawsze smażyły się konfitury.

- Czy znasz tego człowieka? - zapytała Anna.
- Nie, widziałam go po raz pierwszy. Teraz kręci się tu tyle dziwnych postaci.
- Ależ babciu, to ten sam człowiek, który wczoraj proponował nam ubezpieczenie domu.
- Zdawało ci się, dziecinko. Cóż ten prostaczek może mieć wspólnego z ubezpieczeniami? Może i słyszał o nich, ale z pewnością nie byłby w stanie podjąć pracy w takiej firmie.
- Ja jednak obejrzałabym te truskawki albo od-

dała je do jakiegoś laboratorium. Wierz mi, babciu. To bardzo dziwna sprawa. Trudno nie poznać człowieka o tak niezwykłych krzaczastych brwiach i szalonych oczach.

- Najwyraźniej nie służy ci upał, Aneczko. Spójrz, jakie piękne owoce. W sam raz na konfitury. Idź się umyć i przebrać. Zaraz będzie obiad, a potem ty pójdziesz do ogrodu, a ja zajmę się truskawkami. Może w istocie to ten sam człowiek. Pewnie biedak stracił pracę i teraz musi handlować owocami. Takie czasy, kochanie. Przynajmniej uczciwie zarabia na chleb.

Anna wzruszyła ramionami i pobiegła do swojego pokoju, żeby uniknąć słuchania monologu o ciężkich czasach i kłopotach zagubionych, nieszczęśliwych ludzi. Izabela zawsze była wrażliwa na dramaty bliźnich.

- Aneczko! - głos babci dogonił ją na półpiętrze. - Uważaj, kochanie. Zostaw drzwi do łazienki otwarte. Mamy nowego lokatora. Sąsiadka przyniosła dzisiaj koteczkę w poważnym stanie. Może przyjmiemy ją pod nasz dach.

- To wspaniale! - Dziewczyna klasnęła w dłonie z radości. - Będą maleńkie kociątka?  
. - Będą. Kotka wprowadziła się do twojego pokoju. Wygląda na to, że tam właśnie zamierza urodzić dzieci.

Anna czuła się zaszczycona takim wyróżnieniem. Ostrożnie otworzyła drzwi i zobaczyła kotkę leżącą między książkami na biurku. Zwierzę podniosło leniwie głowę, miauknęło zdawkowo,

machnęło dwa razy koniuszkiem ogona i powróciło do swojej drzemki. Jak wiadomo, kocicom tuż przed rozwiązaniem nie należy przeszkadzać, więc dziewczyna unikając gwałtownych ruchów podeszła do szafy, żeby się przebrać, i wtedy dokonała niezwykłego odkrycia. Na jednej z półek kocica zorganizowała sobie izbę porodową. Koszulki i rajstopy zostały dokładnie przemieszane, pogniecione i lekko poszarpane, bo przecież dzieciom musi być wygodnie i przytulnie. Anna z krzykiem zbiegła na parter. - Widziałaś', babciu, co ona mi zrobiła? Zniszczyła całą moją bieliznę. Co ja teraz na siebie włożę? Izabela gorączkowo szukała wyjścia z trudnej sytuacji. W końcu wyjęła z sekretarzyka kopertę z pieniędzmi i wręczyła Annie parę banknotów na zakup nowych koszulek. Potem razem przeniosły resztę ubrań dziewczyny do szafy w korytarzu, która miała tę zaletę, że była zamykana na klucz. Na placu boju została kotka ze świeżo uwitym gniazdem. Spod przymkniętych powiek obserwowała krzątanicę obu pań, demonstrując całkowity brak zainteresowania.

Przy obiedzie babcia z zatroskaną miną poruszyła dość zaskakujący temat.

- Wiesz, Aneczko, z naszą sąsiadką, panią Marią, dzieje się coś niedobrego. Jej szaleństwo, jak dotąd nieszkodliwe, najwyraźniej zaczyna przybierać na sile. Znowu podrzucono jej kilka zabiedzonych kotów. Wszyscy wiedzą, że ona otacza zwierzaki opieką i zapewnia im w miarę godne życie.

A teraz dręczy ją strach przed śmiercią. Dzisiaj przyszła do mnie z tą koteczką i przy kawie snuła dziwne opowieści. Podobno zaczęła tresować kocury z myślą o czasach, kiedy jej zabraknie. Spuszcza z okna na sznurkach paczuski z mięsem i czeka, co z tego wyniknie. Koty muszą szukać drogi do smakowitych kąsków, bo inaczej...

- Ona jest zupełnie szalona, babciu. Kto słyszał o tresowanych kotach?

- To nie koniec. Koty mają być nie tylko zaradne, ale jeszcze na dokładkę agresywne, żeby umiały się bronić przed ludźmi, którzy kiedyś będą chcieli je wyłapać i skazać na zagładę. Na czym to polega, nie wiem, ale nie wierzę, żeby takie przedsięwzięcie mogło się udać. Sama teraz rozumiesz, że nie mogłam odmówić przyjęcia ciężarnej kotki pod nasz dach. Szykanowanie jej w takim momencie wydawało mi się nieludzkie. A pani Maria ma w oczach tyle szaleństwa i rozpacz, że nie mogłam zlekceważyć jej opowieści.

- A czy ta kotka może być niebezpieczna? Jak myślisz, babciu?

- Jeśli będziemy krzywdzić kocie dzieci, to nawet rozpieszczona kocica stanie w ich obronie. Ale przecież tutaj będzie miała oazę spokoju. Jeśli chcesz, możesz się przenieść na jakiś czas do gabinetu dziadka.

- Nie, lubię swój pokój. Jakoś się dogadamy. A u pani Marii w ogrodzie widziałam dzisiaj kotkę z dorastającymi dziećmi. Myślisz, że one też są tresowane?

- Nie wiem, kochanie. Jeśli nie masz nic lepszego do roboty, to zapraszam cię do przeglądania starych papierów. Może coś tam znajdziemy

Do wieczora trwało przekładanie dokumentów z miejsca na miejsce, ale niewiele z tego wynikało. Udało się jedynie ustalić imię siostry Szczęsnego Połonskiego. Dawno zapomniana przez wszystkich kobieta nazywała się Ewelina.

Anna przed zaśnięciem próbowała wyobrazić sobie daleką krewną jako młodą pannę w stroju z tamtej epoki. Za czasów Napoleona kobiety nosiły wąskie suknie z dużym dekoltem i podniesionym stanem. Do tego ogromny kapelusz i długie, sięgające do ramion rękawiczki. Nikt już nie wie, czy Ewelina była piękna i o czym marzyła wieczorami. Dziś nawet nie wiadomo, za kogo wydano za mąż. No cóż, Krzysztof znajdzie sposób, żeby dotrzeć do prawdy.

Kotka podeszła do szafy. Uchylone drzwi lekko skrzypnęły. Zwierzątko cofnęło się i ruszyło w stronę łóżka Anny. Już po chwili ciche mruczenie tuż przy uchu dziewczyny świadczyło o tym, że leżąca na poduszce kocica zapadła w spokojną drzemkę. Anna bez protestu podążyła za nią.



## 4

Następnego dnia zadzwonił Krzysztof z wiadomością, że już prawie dotarł do celu. Skontaktował się z kilkoma archiwami w Polsce i wkrótce miał otrzymać odpowiedzi. Był dobrej myśli. Zamierzał też złożyć wizytę swojemu wujowi, który o Szczęsnym wiedział prawie wszystko, więc to, czego szukali, mogło być dosłownie w zasięgu jego ręki.

Krzysztof tryskał humorem i energią. W pewnej chwili zawiesił głos, jakby się obawiał, czy to, co teraz powie, zostanie dobrze przyjęte. Wreszcie spytał:

- A może poszłabyś ze mną do biblioteki uniwersyteckiej? Albo nie. - Przerwał sam sobie.

-Spotkamy się przed wejściem. Sam przejrzę te grube tomy, a potem pójdziemy na kawę albo na spacer i wszystko ci opowiem.

- Świetnie! - ucieszyła się Anna. Myśl o spędzeniu paru godzin w bibliotece wcale jej nie podniecała. Dość miała zakurzonych, opasłych tomów. O wiele przyjemniej słuchać relacji z poszukiwań podczas spotkania z przystojnym chłopakiem. - Jestem ci bardzo wdzięczna za to, co dla mnie robisz. Czy będę miała szansę na rewanż?

- Powiem ci w tajemnicy, że przede wszystkim

robię to dla siebie. Zawsze mnie interesował nasz bohater narodowy. Ale nie ukrywam, że gdybyś do mnie nie przyszła, poszukiwania odkładałbym na bardziej sprzyjającą chwilę, i jak to zwykle bywa, nie wiadomo, kiedy by to nastąpiło. Więc się cieszę i jestem ci wdzięczny za to, że do mnie przyszłaś, za to, że jesteś i zapewne będziesz, jeśli zechcesz na dłużej zostać w moim świecie.

Anna poczuła, jak jej serce uderza nieco szybciej. Czyżby to był wstęp do jakichś wyznań? Przecież widzieli się zaledwie przez chwilę. Czy to możliwe?

- A ja się cieszę, że trafiłam właśnie na ciebie. Nie wiem, jak bym sobie z tym wszystkim poradziła. Moja babcia prosiła, żeby ci serdecznie podziękować w jej imieniu.

Umówili się na popołudnie, więc Anna miała przed sobą mnóstwo czasu. Słoneczny czerwcowy dzień zachęcał do leniuchowania. Jednak perspektywa wyjazdu do Warszawy zmusiła ją do przejrzenia garderoby. Z dezaprobatą spoglądała na bluzki, które miała na sobie już tyle razy. Spodnie? Szorty? Sukienka? A jeśli już, to która? A może szybki bieg do sklepu z używanymi ubraniami? Zrezygnowała jednak z tego pomysłu, bo używane ubrania wymagały natychmiastowego prania, a na to nie było już czasu.

Babcia zawsze dbała o jej dobre samopoczucie, ale nigdy nie była rozrzutna. Anna dostawała raz na kwartał pewną sumę na nowe ubrania i tylko w szczególnych okolicznościach mogła wynego-

cjować nieco więcej pieniędzy. Zimą zdołała wyprosić dotację na kozaczki, ale teraz, latem nie miała na co liczyć.

„Babcia nie ma z tym żadnego kłopotu - myślała Anna - szyje sobie klasyczne suknie i zawsze jest ubrana jak należy. Jak ja bym wyglądała w szarym kostiumie ze spódnicą do połowy łydki, w białej albo niebieskiej bluzce zapiętej pod samą szyję? Z miejsca przybyłoby mi około stu lat!”

Podeszła do lustra. Zaczęła robić różne miny, zaciesała włosy gładko, zburzyła fryzurę i potrząsnęła niecierpliwie głową. I wtedy przypomniała sobie, że w ten właśnie sposób Krzysztof odrzuca włosy z czoła. Tak jakby nie chciał tracić czasu na podniesienie ręki. Jeszcze raz popatrzyła w lustro i uśmiechnęła się do siebie inaczej niż zwykle. W jej oczach był zachwyt, czułość i odrobina kokieterii. Już samo imię Krzysztofa kojarzyło się jej ze słońcem, ruchem i czymś zdecydowanie pogodnym, a nawet radosnym.

Zbiegła do kuchni, żeby zobaczyć, co babcia przygotowuje na obiad. Zaczęła zaglądać pod pokrywki garnków i na tym małym przestępstwie przyłapała ją Izabela. Ubrana w fartuszek, żeby nie poplamzić sukni, stanęła zniechęta w drzwiach, przybierając groźną minę.

- A cóż to za porządki, Aneczko? Uczesz się i włóż na siebie jakieś normalne ubranie. Trzeba iść do pani Marii. Mam tu okrawki mięsa dla jej kotów.

Anna z nadąsaną miną wycofała się na górę, że

by wykonać polecenia babci. Już po chwili otwierała bramę prowadzącą na posesję sąsiadki.

- Pani Mario! - wołała od progu, bo drzwi domu były otwarte na oścież. Usłyszała za sobą jakiś szelest, ale nie odwróciła głowy. Usiadła na krześle przy stole i rozglądała się po mrocznym wnętrzu. W kątach pokoju zwisały z sufitu pajęczyny. Okna niemyte od wielu lat przepuszczały przyćmione światło. Zewsząd wiało beznadziejnym smutkiem. Znow coś zaszeleściło. W oknie ukazał się dziwny przedmiot najwyraźniej spuszczonego na sznurku z górnego piętra. Paczuszka zawinięta w szary papier kołysała się coraz mocniej. Nagle z groźnym pomrukiem wyskoczył w powietrze bury kocur i wbił zęby w zawiniątko. Zwisał tak przez moment i po chwili odpadł. Paczka kołysała się nadal, ale już w nieco innym rytmie.

Bury znów zaatakował. Tym razem wystartował tak zręcznie, że wczepił się w szary papier wszystkimi czterema łapami. Anna ze zdumieniem obserwowała, jak zwierzak przegryza cienki sznurek, na którym zwisała paczka, i spada razem ze zdobyczą na trawę pod drzewem. Po chwili usłyszała rozzwierający wrzask walczących kotów. Zwycięzca otoczony przez gromadę braci walczył o pierwszeństwo rozwinięcia zdobyczy. Kiedy koty wycofały się na bezpieczną odległość, bury wygryzł sporą dziurę w papierze i zanurzył w niej łeb. Po chwili wyciągnął stamtąd kurzą wątróbkę i zaczął pochłaniać jedzenie.

Anna była zachwycona. Zaczęła bić brawo.

- Nareszcie sukces! - W drzwiach stanęła pani domu w przekrzywionym berecie na głowie, w kraciastej koszuli i starych spodniach od dresu. - Tyle czasu pracowałam nad tym. - Pani Maria z dumą patrzyła przez okno na koty.

- Teraz nic już im nie zagraża. Może pani w każdej chwili wyjechać na zasłużone wakacje. W progu stanęła nieduża, prądkowana kotka. Zawahała się na moment i ruszyła w kąt pokoju z kawałkiem mięsa w pyszczku. Zza szafy zaczęło dobiegać popiskiwanie karmionych kociąt.

- Cudowne - powiedziała z zachwytem Anna.

- Rozczulające - dodała pani Maria.

Teraz do pokoju wkroczył duży kocur o gładkiej, płowej sierści, która najwyraźniej była wspomnieniem po syjamskim przodku. Rozejrzał się uważnie, pociągnął nosem, poczuł zapach dochodzący z kąta i jednym susem dopadł do szafy. Wrzask, jaki rozległ się po chwili, był tak przerażający, że obie panie wytrzeszczyły oczy i znieruchomiały. Kocur podbiegł do pani Marii, wskoczył jej na kolana, chwycił ją zębami za rękę i leciutko przygryzł.

- Przestań, głuptasie - powiedziała do niego pieszczotliwie. - Przestań! Przestań! - Pani Maria strąciła kocura z kolan. Na ręku widać było ślady zębów i kropelki krwi, które zaczęły spływać na obrus.

Kot stał przez chwilę w bezruchu, a potem zniechęcony zaatakował. Wbił pazury i zęby w no-

gę pani Marii. Anna próbowała go oderwać i natychmiast została ukąszona w rękę. Z podwórka przyszły inne koty, zwabione odgłosami walki, i z upodobaniem obserwowały dramatyczne zmagania. Zza szafy wyszła kocica i przyłączyła się do płowego kocura. Atakowała spokojnie i z rozmysłem, zadając zębami celne ciosy. W powietrzu zawiroowało. Obie kobiety biły rękami na oślep, usiłując zedrzeć z siebie oszalałe zwierzęta. - Odwrót! Aneczko! Uciekajmy! - Pani Maria chwyciła dużą ceratową torbę, która miała posłużyć za tarczę, i zaczęła wycofywać się do drzwi. Anna zerwała ze stołu obrus i machając nim z całej siły, ruszyła do wyjścia. Koty siedzące na progu rozstąpiły się na boki.

Na podwórzu obie panie przystanąły i spojrzały za siebie. Trzynaście kotów z uniesionymi ogonami stało w pełnym pogotowiu. Panie miały odciętą drogę do furtki. Bez namysłu ruszyły w kierunku parkanu. Siatka chwiała się niebezpiecznie. Koty z szacunkiem podziwiałały wiszące na niej kobiety.

Anna pierwsza przeszła na drugą stronę i zaczęła pomagać pani Marii, ciągnąc ją za pasek. - Puść! Sama skoczę! - krzyknęła sąsiadka i stoczyła się na trawnik.

Po chwili obie siedziały pod parkanem: brudne, w podartych ubraniach, z rękami podrapanymi do krwi.

- Sukces, Aneczko! Pełny sukces! Pokaż mi dom lepiej strzeżony niż mój. Żaden pies nie zastąpi dziczalego kota.

- Z pewnością, pani Mario. Ale jak ja wyglądam? Mam zaraz ważne spotkanie w Warszawie. Będę musiała włożyć bluzkę z długimi rękawami, a dziś jest taki upał. Sąsiadka została zabrana do domu Izabeli, opatrzona, nakarmiona i zatrzymana do czasu rozstrzygnięcia kocich problemów wychowawczych. Izabela była tym wszystkim bardzo wytrącona z równowagi. Drżały jej ręce, kiedy opatrywała zadrapania na ramionach pani Marii i wnuczki. Jej staranna zazwyczaj fryzura była teraz w lekkim nieładzie. Gorączkowo szukała wyjścia z tej kłopotliwej sytuacji i nie znajdowała rozwiązania. Wezwanie kogoś z Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami mogłoby tylko urazić nadwrażliwą sąsiadkę i spowodować u niej pogłębienie się psychozy. Kiedy panie omawiały przy kawie dramatyczne wydarzenia, usłyszały krzyk kocicy dobiegający z głębi domu. Poszły razem na górę, do pokoju Anny, zajrzały do szafy i w ten oto sposób mogły uczestniczyć w narodzinach kolejnego, trzeciego kociątka. Wzruszone ogromnie podziwiałały z czułością bezradne maleństwa, potem napiły połoźnicę, wycofały się z pokoju i zeszły na werandę. Przed wejściem pojawił się kocur, który sobie tylko wiadomą drogą przywędrował tu z ogrodu pani Marii. Miauczał pojednawczo, przeżył grzbiet i ogon, ale panie udawały, że nie zwracają na niego uwagi. Kot nie rezygnował. Podszedł bliżej i otarł się o nogi Izabeli. Pani Maria drgnęła i pró-

bowiała ręką odtrącić zwierzaka. Najwyraźniej jeszcze nie otrząsnęła się z szoku. Izabela powstrzymała ją gestem. Sąsiadka najwyraźniej straciła pewność siebie.

- Wrócę do domu, zamknę się w pokoju i nie wpuszczę tam żadnego dzikusa - oświadczyła z miną nadąsanego dziecka.

- Możesz tu zostać na noc, Mario - Izabela z troską w głosie zaproponowała najprostsze rozwiązanie. - Ważne decyzje odłożmy do jutra.

Z góry zbiegła podniecona Anna. Ostatnie pół godziny spędziła w łazience, nie mogła więc uczestniczyć w narodzinach wszystkich kociąt. Wysłuchiwała teraz szczegółowej relacji i już zamierzała pożegnać babcię i sąsiadkę, kiedy dostrzegła na werandzie dużego kocura, który stał w groźnej postawie ze zjeżoną sierścią i zadartym ogonem.

- A co on tu robi? - zapytała ze zdumieniem. Zrobiła krok do tyłu, szukając jakiegoś przedmiotu nadającego się do obrony i o mało nie potknęła się o kocicę.

Świeżo upieczona mama z daleka wyczuła zapach kocura. Teraz zeszła z góry z zamiarem obrony swojego terenu i dzieci. Była bardziej zdenerwowana niż nieproszony gość.

Wydała groźny pomruk, który przerodził się w piskliwy okrzyk bojowy, żeby po chwili spaść w niższe rejestry. Kocur zrozumiał, że nie poradzi sobie w tej sytuacji, i jak niepyszny próbował tyłem opuścić werandę. Kocica pokazała zęby, jeszcze



raz groźnie miauknęła i poszła na górę, oglądając się za siebie.

- To była próba sił - stwierdziła Izabela. - Teraz nasz dom jest równie dobrze chroniony, jak twój, Mario. Możemy się czuć bezpiecznie.

Anna doszła do wniosku, że wszystko wróciło do normy. Ucałowała babcię, pożegnała się z panią Marią, zarzuciła torbę na ramię i pobiegła na stację kolejki. Zadrapania na rękach jeszcze ją trochę bolały, ale starała się o tym nie myśleć. Całą uwagę skupiła na spotkaniu z Krzysztofem.

Czekał na nią w pobliżu bramy uniwersytetu. Chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą władczym gestem, jakby miał w pełni usankcjonowane prawo decydowania o wszystkim. Weszli do małej kawiarenki na Nowym Świecie i zamówili lody. Krzysztof zaczął opowiadać o tym, jak dotarł do poszukiwanych informacji. Najwięcej wiedział legendarny stryj. Okazało się, że siostra Szczęsnego Połońskiego wyszła za mąż za jakiegoś Kotowskiego i została pochowana w kaplicy rodzinnej w Kotowie pod Łodzią. W bibliotece uniwersyteckiej odnalazł potwierdzenie tej informacji. Teraz wystarczy tylko pojechać do tego Kotowa, sprawdzić wszystko w księgach tamtejszej parafii i zawiadomić kogo trzeba o przygotowaniach do ekshumacji. A tym z kolei zajmie się muzeum.

Krzysztof był bardzo z siebie zadowolony, tryskał humorem i śmiał się z własnych żartów. Zaglądał Annie w oczy z wyraźnym zachwytem, dając jej do zrozumienia, że to spotkanie ma dla niego

ogromne znaczenie. Bez wahania zaproponował dziewczynie wspólną wyprawę do Kotowa.

- Jeśli wyjedziemy rano, to z pewnością do wieczora załatwimy wszystko i nie trzeba będzie tam nocować - tłumaczył z przekonaniem, świadczącym o tym, że bardzo mu zależy na wspólnej wycieczce.

- Nie wiem, czy babcia się zgodzi. Teraz mamy urwanie głowy z powodu trochę szalonej sąsiadki. Nie chcę zostawiać moich staruszek bez opieki. Babcia ma kłopoty z sercem.

- Mam pomysł! - powiedział Krzysztof, biorąc Annę za rękę. - Odwiozę cię teraz do Komorowa, przedstawię cię swojej babci, a ja sam poproszę ją o zgodę. W końcu jesteś ostatnią z rodu Po-łońskich, trzeba o ciebie dbać jak o największy skarb. Co ty na to? I tak przy ekshumacji musi być ktoś z rodziny, a kto może cię w tym zastąpić? Przecież nie babcia, skoro ma kłopoty z sercem.

- Właściwie masz rację - powiedziała Anna bez entuzjazmu, co kosztowało ją sporo wysiłku, bo miała ogromną ochotę na tę wyprawę, za nic jednak nie chciała tego okazać. Delikatnie oswobodziła rękę z uścisku Krzysztofa.

- Wyobraź sobie, Anno, starą plebanię w maleńkim miasteczku, ogromny stół dębowy, na którym proboszcz rozłoży wielkie księgi oprawione w skórę i nas dwoje nad tymi skarbami. A na pożółkłych kartach odnotowane będą narodziny i zgony ludzi, o których już nikt nie pamięta. Przemknęli kiedyś przez świat jak meteory, a my

zajrzymy pod podszewkę czasu i damy im jeszcze jedną, maleńką szansę zaistnienia, kiedy na głos odczytamy ich imiona i nazwiska. Potem pójdziemy obejrzeć tę kaplicę, żeby sprawdzić, czy warto sprowadzać specjalistów od ekshumacji. Może tam już nic nie ma? Tyle było włamań i dewastacji na cmentarzach, nie wspominając o wojnach. Kaplica i krypta mogły już dawno rozsypać się w proch. Dla nas to szansa przeżycia czegoś niezwykłego. To prawdziwie odkrywcza wyprawa.

Anna nie zamierzała dłużej protestować. Zadzwoiła do babci, żeby uprzedzić ją o wizycie gościa i przy okazji zapytała, co robią koty. Izabela spokojnie przyjęła informację o Krzysztofie, natomiast wiadomości z kociego frontu nie były zbyt dobre. Maria została umieszczona w gościnnym pokoju. Z jej domu wciąż dobiegały wrzaski zwierzaków, które walczyły ze sobą o coś, co trudno było określić: albo o władzę, albo o pożywienie.

Anna zaczęła pospieszać Krzysztofa. Poszli na ulicę Świętokrzyską, wsiedli do autobusu, który zawiózł ich na stację kolejki WKD, i ruszyli w stronę Komorowa.

- Gdybym miał samochód... - zaczął rozmarzonym głosem Krzysztof.

- Ale nie masz. Mamy za to najrozkoszniej szą kolejkę na świecie. Jeździł nią Iwaskiewicz, więc

i my możemy się nią cieszyć.

- No tak, prawda. Zresztą stryj mnie namawia,

żebym rzucił to nieszczęsne archiwum i podjął pracę w jakiejś prywatnej firmie. Wtedy będę mógł kupić samochód i, kto wie, może cię zabiorę na znacznie bardziej emocjonującą wyprawę.

Zapadał już zmrok, kiedy wysiadali z kolejki. Krzysztof objął Annę ramieniem. Spojrzała na niego i bez protestu dała się prowadzić jak bezradne stworzenie. Przejmowała inicjatywę tylko wtedy, kiedy trzeba było wybrać właściwy zakręt. Obcasy jej pantofli stukwały głośno o trotuar. Szli w milczeniu wsłuchani w siebie, spokojni, pogodni, nieco zdziwieni tym, że to takie proste.

## 5

Kiedy mijali posesję pani Marii, usłyszeli odgłosy kociej bijatyki. W oknach było ciemno. Drzwi do domu pozostały lekko uchylone. Anna przyspieszyła kroku.

Babcia powitała ich w progu. Miała na sobie ciemnoszary długi sweter i białą bluzkę spiętą pod szyją misterną starą broszką. Krzysztof pocałował Izabelę w rękę i zaproszony do środka od razu zaczął wypytywać o kocią wojnę. Po chwili z miną znawcy przystąpił do stawiania diagnozy.

- O ile znam się na kociej psychologii, to wojna wkrótce się skończy. Zapewne jedna z kotek jest teraz w okresie godowym i stąd całe zamieszanie. Jak tylko ten czas minie, wszystko wróci do normy. Wcale się tym kocurom nie dziwię.

W drzwiach stanęła pani Maria ubrana w szlafrok Izabeli. Nie czekając na prezentację, zaczęła wołać od progu:

- No tak! Ma pan rację! Biała koteczka! To wszystko przez nią. Do mojego ogrodu przyszły koty z całej okolicy. Teraz rozumiem, dlaczego to wszystko się wydarzyło. Dla kocurów my również byliśmy konkurencją. Przegoniły nas na wszelki wypadek. No tak, młody człowieku. Masz rację.

Wybaczcie mi. Mogę iść do domu. Jestem już bezpieczna. Najpierw nakarmię koty, a potem położę się do własnego łóżka.

Nie zważając na protesty, sąsiadka zagarnęła poły szlafroka i wybiegła do ogrodu.

Wszyscy zamarli w bezruchu. Po chwili usłyszeli odgłos zatraskiwanej furtki. Izabela wyszła na ganek. Za nią ruszyła Anna z nieodłącznym Krzysztofem. Obserwowali sąsiedni dom, dopóki nie błysnęło światło najpierw w pierwszym oknie, a potem w następnych. Z daleka widać było krzątającą się po kuchni panią Marię, która najwyraźniej zaczęła karmić koty. Żaden krzyk stamtąd nie dobiegał. Uspokojeni wrócili do domu. Anna zrobiła kolację i przez godzinę co najmniej rozmawiali o zapomnianej przez wszystkich pani Kotowskiej z Kotowa, której wieczny odpoczynek miał zostać wkrótce zakłócony.

Izabela nie tylko zgodziła się na wspólną wyprawę Anny z Krzysztofem do Kotowa, ale nawet zachęcała ją do tej podróży. Chłopak najwyraźniej zrobił na niej dobre wrażenie. Rozprawiał ze swobodą o historii, z czcią wymawiał nazwisko bohatera Połońskiego i był ogromnie zaangażowany w całą sprawę. Wyprawę zaplanowano na najbliższy poniedziałek, kiedy Krzysztof będzie już na urlopie. Miał przyjechać po Annę do Komorowa i stąd wyruszyć razem z nią w drogę do Kotowa.

## 6

Czas biegł szybciej niż zwykle. Kocia wojna ucichła, za to kocięta w szafie Anny popiskiwały coraz głośniej, a ich matka pochłaniała ogromne ilości mleka i czule mrucząc, karmiła swoje dzieci. Ani na chwilę nie zapominała o swoich obowiązkach, do których należało również mycie do czysta kosmatych pyszczków i masowanie brzuszków. Anna pod kierunkiem babci wrywała chwasty z klombów, pielęgnowała trawniki i czytała w cieniu ulubionego drzewa. Parę razy telefonował Krzysztof, żeby upewnić się, czy wszystko w porządku. Chwalony do znudzenia przez Izabelę, chociaż nieobecny, zadomowił się już na dobre pod tym dachem. Przy obiedzie i kolacji babcia z wnuczką coraz częściej o nim rozmawiały. Był teraz dla nich mężem opatrnościowym, który nie tylko pomógł rozwiązać bardzo trudny problem, ale chciał jeszcze wszystkiego dopilnować i osobiście brać w tym udział do samego końca.

Tuż przed wyjazdem Anny babcia oznajmiła, że ma kłopoty z żołądkiem. Najwyraźniej czymś się zatręła. Ostra dieta nie pomagała. W końcu trzeba było wezwać do domu lekarza, bo Izabela tak opadła z sił, że nie mogła o własnych siłach wstać z łóż-

ka. Anna przypomniła sobie starszego pana, który w przebraniu dwukrotnie próbował dostać się do domu. Podczas wieczornej rozmowy Izabela wspomniła o przypadkowo spotkanym sprzedawcy jajek i serów. Rzeczywiście, starszy pan miał krzaczaste brwi, ale kupiony u niego nabiał nie zaszkodził Annie, co oznacza, że mają do czynienia wyłącznie z fatalnym zbiegiem okoliczności.

- Daj spokój, dziecinko. Mogło mi zaszkodzić cokolwiek. W końcu mam swoje lata.

- Ale przypomnij sobie, babciu, czy jadłaś coś na mieście? Pomyśl, nigdy nie chorowałaś na żołądek. To jest podejrzane.

- Czekaj, czekaj. - Starsza pani uniosła głowę znad poduszek. - Wstąpiłam do kawiarenki przy stacji i kupiłam kawałek sernika dla Marii. Chciałam jej zrobić niespodziankę.

Weszłam potem do mej na chwilę i oczywiście zostałam przez nią poczęstowana, ale przecież nasza sąsiadka jest zdrowa jak rydz.

- Czy ona na pewno jadła ten sernik?

- Oczywiście. Ale poczekaj, kochanie. Masz rację, jaka ty jesteś dociekliwa. Najpierw Maria opowiadała mi o białej kotce, pilnując jednocześnie żebym jadła. Potem wyszła na chwilę do kuchni i wtedy właśnie jej pupilka wskoczyła na krzesło. Chciałam pogłaskać zwierzątko i zaczepiam rękawem o brzeg stołu. Pamiętasz ten jej wiklinowy stolik na werandzie, z którego sterczą połamane patyki. Dawno powinna wyrzucić to paskudztwo. No więc, zaczepiłam rękawem, sto-



lik się przewrócił i sernik Marii razem z moją napoczętą porcją spadł na podłogę. Zanim zdołałam coś zrobić, trzy koty rzuciły się na ciasto i uciekły ze zdobyczą w głąb domu.

- No widzisz, babciu? Trzeba zapytać panią Marię, czy wszystkie kocury są zdrowe.

- Nie żartuj, dziecko. Sernik mógł być nieświeży. Pójdę do tej kawiarni, jak tylko poczuje się lepiej, i powiem im, co myślę.

Anna zadzwoniła do sąsiadki, żeby zapytać o nowiny. Pani Maria była wyraźnie przygnębiona. Zaczęła nawet popłakiwać, mamrocząc coś pod nosem. Zapytana o powód zmartwienia, chwilę jeszcze dramatycznie wzdychała, wreszcie wyrzuciła z siebie:

- Umarły. Trzy najsilniejsze koty umarły tej nocy. Nie wiadomo dlaczego. Może to jakaś zaraza? Może teraz wszystkie odejdą z tego świata, a ja zostanę całkiem sama? Nie wiem, co robić.

- Proszę mi powiedzieć - indagowała ostrożnie Anna - jak się zachowują inne koty? Czy mają objawy zatrucia? Czy są niespokojne albo osowiałe?

- Ależ nie. Zachowują się normalnie. To jednak nie zmienia postaci rzeczy. Tamte też zachowywały się normalnie, a nad ranem były już martwe. Żadnych śladów walki. Nic. Po prostu trzy sztywne ciała.

- Czy pani już je pochowała? Proszę się z tym nie spieszyć. Jutro przyjedzie mój kolega, poproszę, żeby to zrobił.

Anna chciała zyskać na czasie. Miała nadzieję,

że uda się przeprowadzić sekcję przynajmniej jednego zwierzęcia. Nagły zgon kotów miał według niej wyraźny związek z chorobą babci.

Pani Maria z płaczem zgodziła się przyjąć pomoc. Wymamrotała nawet słowa podziękowania i przyrzekła, że poczeka na Krzysztofa. Anna znów wróciła do łóżka babci i kontynuowała rozpoczęte śledztwo.

- Babciu, opowiedz mi wszystko dokładnie. Przecież to było wczoraj przed południem. Musisz pamiętać. Opowiedz mi krok po kroku, minuta po minucie, wszystko, co robiłaś po wyjściu z kawiarni.

- Łatwo ci mówić takie rzeczy, Aneczko. Starzy ludzie świetnie pamiętają to, co się działo czterdzieści, pięćdziesiąt lat temu, ale wydarzenia poprzedniego dnia szybko uciekają im z głowy. Przecież wiesz, ile mam problemów z pamiętaniem o opłatach za wodę, gaz i światło. Każdego miesiąca przeżywam męki, bo nie wiem, czy zapłaciłam. Boję się zaległości. Ale zaczekaj. Po kolei. Wstąpiłam do sklepu warzywniczego. Na pewno. Ekspedientka była bardzo podniecona włamaniem do sąsiadów i z ożywieniem o tym rozprawiała. Machała przy tym rękami i przypadkowo rąbek jej fartucha zawisł na automatycznie zamykanej szufladzie. Kasa z brzękiem się zatrzasnęła, a rękaw został w środku. Uwięziona sprzedawczyni, zamiast wystukać, co trzeba na klawiaturze, wpadła w popłoch i zaczęła głośno wzywać swojego syna na pomoc. Zrobiło się zamieszanie.

Wynalaz-

ki i udogodnienia z końca dwudziestego wieku zostały zmieszane z błotem. Padło nawet parę brzydkich wyrazów. Sytuacja była dość komiczna.

- Ale co potem, babciu?

- Nic. Została uwolniona z tej kasy i pracowała dalej. Kupiłam ziemniaki, cebulę, pomidory i małosolne ogórki, wszystko to zapakowałam do koszyka i ruszyłam w stronę domu. Aha, zatrzymałam się na chwilę przy sprzedawczyni kwiatów. Chciałam wybrać coś ładnego dla nas do domu. Postawiłam koszyk na ziemi i wtedy...

- Co wtedy?

- No cóż, tak, pamiętam, jakieś dziecko jechało na rowerku i potrąciło mój kosz z zakupami. Wszystko się wysypało. Stałam na ulicy nad tymi rozsypanymi zakupami całkiem wytrącona z równowagi. Ziemniaki potoczyły się dookoła. Część z nich wylądowała na jezdni. Chłopiec znikł za rogiem, głośno brzęcząc rowerowym dzwonkiem. Nawet nie przeprosił. I wtedy...

- Mów szybciej, babciu.

- I wtedy podszedł do mnie wytworny starszy pan, chyba nawet się przedstawił, ale nie dosłyszałam nazwiska, bo byłam bardzo zirytowana. Pomógł mi pozbierać te nieszczęsne zakupy, co wymagało sporego poświęcenia.

- Czy to był szpakowaty, dość wysoki mężczyzna po pięćdziesiątce z krzaczastymi brwiami?

- Chyba tak. Uparł się, że odniesie zakupy do domu. Był bardzo szarmancki. Otoczył mnie opieką w tak ujmujący sposób, że w końcu uleg-

łam. Pożegnałam go przed domem Marii, bo, jak już ci mówiłam, poszłam do niej od razu, żeby tę wizytę jak najprędzej mieć za sobą.

- A powiedz mi, babciu, czy on mógł coś zrobić z tym sernikiem? Mam na myśli wpuszczenie jakiejś trucizny.

- Aneczko! - Izabela skarciła wnuczkę. - Przecież to nonsens. Chcesz, żebym uległa psychozie? Wystarczy kłopot, jaki mamy z Marią. Jak ty sobie to wyobrażasz? Starszy pan pomaga starszej pani i po cichu wsącza truciznę do sernika? Jak miałby to zrobić? Uważasz, że miał w kieszeni strzykawkę z trucizną i wstrzyknął jakąś miksturę do paczuszki, kiedy byłam odwrócona tyłem? I po cóż miałby to robić? Nigdy przedtem go nie widziałam.

- Babciu... - próbowała przerwać Anna, ale tym razem nie zdołała wtrącić ani jednego słowa.

- Gdyby nawet twoje podejrzenia miały jakiś sens, to skąd mógłby wiedzieć, że moje zakupy rozsypią się na ulicy, a on będzie miał szansę bez problemu wysłać mnie na drugi świat. Pewnie myślisz, że śledził mnie już w kawiarni, a potem przekupił dziecko, żeby wjechało rowerkiem w mój koszyk? A może śledził mnie od wielu dni i znał moje zwyczaje? Wiedział, że często kupuję kwiaty u tej właśnie kobiety, i wszystko dawno zaplanował? Aneczko - Izabela zawiesiła na chwilę głos - myślę, że obejrzałaś zbyt wiele filmów kryminalnych. Cieszy mnie bystrość mojej wnuczki i jednocześnie martwi brak logicznego myślenia. Nie ma motywu, kochanie. Gdzie jest

motyw? To niezwykle słaby punkt twojego rozumowania.

- Babciu, nie chciałam cię martwić, ale teraz nie mam wyjścia. Muszę to powiedzieć. W nocy zdechły trzy koty pani Marii. Mam wrażenie, że to te same, które porwały sernik. Czy teraz przestaniesz żartować i zaczniesz nieco poważniej myśleć o zagrożeniu?

- Rzeczywiście, coś w tym może być. Wspominałaś o jakimś dziwnym panu, który próbował wejść do naszego domu, raz jako agent ubezpieczeniowy, a innym razem jako sprzedawca owoców. Chyba nawet coś od niego kupiłam... Czy jesteś pewna, że to ten sam człowiek?

- Absolutnie. Mam świetną pamięć do twarzy. Był zupełnie inaczej ubrany, a nawet powiedziałabym ucharakteryzowany, mimo to rozpoznałam go natychmiast.

- W takim razie ja również powinnam go rozpoznać.

- No tak, ale pomyśl tylko, ogrodnik w wypchanych spodniach z czapką wciśniętą na czoło i z wózkiem za plecami prezentuje się zupełnie inaczej niż elegancko ubrany pan z parasolem w ręku.

- Skąd wiesz, że miał parasol?

- Tak go sobie wyobraziłam.

- Trafiłaś w dziesiątkę. - Izabela była wyraźnie zaniepokojona. - Masz rację. To mógł być ten sam człowiek. Ogrodnikowi nie przyglądałam się uważnie. Chował oczy pod daszkiem czapki i był nienaturalnie przygarbiony, ale gdyby się wypro-

stował i podniósł głowę do góry... No tak, moje dziecko. To mógł być ten sam człowiek.

- Przedstawił się, jak wspomniałaś, babciu.

- Tak, ale nie pamiętam nazwiska. Na pewno kończyło się na „ski”. Czekał: „-orski”, chyba tak brzmiało. Boże drogi, Aneczko! To chyba niemożliwe! Czyżby mógł być tak bezczelny, żeby nawet nie ukrywać swojego nazwiska?

- Chcesz powiedzieć, babuniu, że to był Tabor-ski, a ty, która mnie od lat przestrzegasz przed tą rodziną, nie skojarzyłaś nazwiska naszych nieprzejednanych wrogów?

- Boże drogi! Boże drogi! - Izabela uniosła ręce do góry. - Nie ulegajmy panice, nie dajmy się zwariować. Ja przecież nie jestem pewna, jak brzmiało to nazwisko. Mówił szybko i trochę niewyraźnie, zaabsorbowany zbieraniem rozrzuconych zakupów. Jestem naiwną staruszką, drogie dziecko. Stanowczo jednak muszę stwierdzić, że nie wiem, jak brzmiało to nazwisko. Być może mamy do czynienia z Taborskim, który zamierza pozbyć się ostatnich pretendentów do spadku po Szczęsnym Połońskim. Jak wiesz, testamentu nigdy nie znaleziono, a jeśli istnieje, może być z pewnością zredagowanym fałszyfikatem. Więc prawdopodobnie obie jesteśmy w najwyższym stopniu zagrożone.

- I co z tym zrobimy, babciu? Zgłosimy na policję?

- I co im powiemy? Sądzisz, że na naszym posterunku zechcą słuchać opowieści sprzed niemal dwustu lat? Jestem pewna, że potraktują mnie jak

szaloną staruszkę i odeślą do domu. Pomyłona starsza pani, która zatrąła się nieświeżym jedzeniem. Kto zechce prowadzić śledztwo w tej sprawie? A jeśli nawet, to kogo oskarżymy? Założmy, że odnajdą Taborskich i doprowadzą do naszego spotkania. Jak ja będę wyglądała, jeśli okaże się, że żaden z nich nie pasuje do rysopisu naszego przebierańca? Dopiero wtedy rozpęta się wojna między naszymi rodzinami. Pomyślą, że to nasz sposób wojowania o spadek po Szczęsnym. Nie, Aneczko, to nawet nie są poszlaki. Dysponujemy zaledwie domniemaniem, którego nie sposób poprzeć jakimkolwiek dowodem. Nic nie możemy zrobić. Musimy być tylko bardzo ostrożne. Wracaj do domu wcześniej niż zwykle i uważaj na nieznajome osoby.

- A co z moim wyjazdem?

- Tego nie powinnaś odwoływać. W końcu mamy jakieś zobowiązania w stosunku do naszego przodka. Pojedziesz z Krzysztofem do Kotowa jutro rano, ale pilnuj, żebyście zbyt długo tam nie zabawili. Wróć do domu przed zapadnięciem zmroku. Aha, Krzysztof musi cię odwiedzić do domu. Myślę, że ten młodzieniec zasługuje na nasze zaufanie. Przy nim będziesz bezpieczna.

Wieczorem Anna stanęła w oknie swojego pokoju. Komorów układał się do snu. Światła w oknach domów gasły po kolei. Zapach kwitnących ogrodów wtargnął do domu jak ciepła, słodka fala popychana podmuchem łagodnego wiatru. Dobiegające z oddali szczekanie psów świadczyło o tym, że wierni przyjaciele pilnują swoich domów i nic złego nie może się wydarzyć. Anna stanęła tyłem do okna. Drzwi szafy skrzypnęły. Na podłogę skoczyła kocia mama. Sprężystym krokiem podeszła do dziewczyny i nadstawiła grzbiet, domagając się pieśczoły.

- Pilnuj babci jutro, słyszysz? Jesteś naszym jedynym obrońcą. Nie mamy psa. Tylko ty możesz obronić swoje dzieci i moją babcię. Ja muszę wyjechać na cały dzień. Przekazuję ci opiekę nad tym domem.

Koteczka mruzczała, przyjmując z zadowoleniem pieśczoły, i zaglądała Annie w oczy, jakby w pełni rozumiała powagę sytuacji. Potem razem podeszły do szafy i patrzyły na ślepe jeszcze maleństwa, które nieporadnie wiosłowały w powietrzu łapkami, szukając ciepłego brzucha matki. Kotka stanęła na zadnich łapach, trąciła nosem najbliższ leżące dziecko i powiedziała coś w swoim języku, co zapewne miało oznaczać: „Jestem bli-



sko, nic wam nie zagraża, możecie spać spokojnie". Skutek był natychmiastowy. Maluchy przestały popiskiwać, przytuliły się do siebie i zasnęły. Kotka z westchnieniem wskoczyła do wymoszczonego gniazda i spojrzała wymownie na Annę. Dziewczyna wycofała się taktownie, przytknęła drzwi szafy i poszła do łóżka.

Jednak sen nie nadchodził. Anna jeszcze raz przebiegła w pamięci wydarzenia ostatnich dni i nie mogła się pozbyć niepokoju, który narastał z każdą chwilą. Krzysztof był teraz dla niej nie tylko świetnym towarzyszem i chłopcem, który bardzo jej się podoba. Myślała o nim jako o jedynej osobie, mogącej jej zapewnić poczucie bezpieczeństwa. Zamierzała go poprosić o pochowanie kotów sąsiadki i przeniesienie jednego z nich do nieużywanej od lat lodówki stojącej w piwnicy. Po powrocie z Kotowa chciała przekazać zwierzę do laboratorium.

Anna uniosła głowę znad poduszki i zaczęła nasłuchiwać. Zdawało jej się, że słyszy jakieś dziwne odgłosy, jakby ktoś próbował się dostać do pustego od wielu lat garażu. Mimo paralizującego strachu zeszła na dół, zdjęła ze ściany szablę po pradziadku i tak uzbrojona ruszyła po schodach do piwnicy, z której było przejście do garażu. Zapaliła światło i zobaczyła, że wszystko jest w porządku. Małe okienko pod sufitem było nieco obłuzowane i stukało o ścianę poruszane podmuchem wiatru. Anna weszła na drabinkę i stanowczym ruchem zamknęła okno.

W tym momencie usłyszała jakiś podejrzany szelest za ścianą. Zastygła w bezruchu, ale po chwili skarciła samą siebie za to, że tak łatwo uległa złudzeniu, zgasiła światło i poszła na górę. Sprawdziła jeszcze raz, czy drzwi wejściowe są dobrze zamknięte, i pobiegła na piętro szczęśliwa, że babcia nic nie słyszała. Za nic nie chciała niepokoić chorej po śledztwie, jakie razem przeprowadziły ostatniego wieczora.

## 8

Anna wstała wyjątkowo wcześnie. Wzięła prysznic, włożyła ulubione dzinsy i bawełnianą koszulkę, zapakowała niezbędne drobiazgi do małego plecaka i gotowa do drogi zbiegła na dół. Koszmary poprzedniego wieczoru rozplynęły się w świetle słonecznego poranka. W holu przystanęła na moment przed dużym lustrem, żeby sprawdzić, jak się prezentuje. Gęste włosy otaczały jej głowę jasną aureolą. Próbowała ujarzmić je grzebieniem, ale nic z tego nie wychodziło.

- Gdybym zapuściła włosy, mogłabym stawać w szranki z samą Violetą Villas - powiedziała do siebie półgłosem z wyraźnym zniecierpliwieniem. „Drobna blondynka o imponującej czuprynie. Co on we mnie widzi?” Westchnęła i wzruszyła ramionami. „Oto ostatnia z rodu Połońskich. Wygląda jak zwyczajna studentka albo raczej maturzystka.” Anna zaczęła obracać się przed lustrem, rzucając powłóczyste spojrzenia. Z trudem przypominała sobie sceny z niemych filmów. Doszła jednak do wniosku, że „powłóczyste” udają się jedynie spod dużego ronda kapelusza, a ona ma do dyspozycji tylko bujne włosy. W tym nieco żenującym przedstawieniu wzięła

udział Izabela, która od paru minut stała w progu kuchni i przyglądała się wnuczce z rozczeniem.

- Co ty wyprawiasz, dziecko. Buzia niewinnego aniołka, a miny za przeproszeniem...

- Nie kończ, babciu. Jak się dzisiaj czujesz? Zapewne dobrze, skoro przyszedł do kuchni. - Anna chciała jak najprędzej zmienić temat rozmowy.

- Przecież nie mogę wypuścić cię z domu bez śniadania. Zaczynaj od filiżanki kawy, a ja tymczasem się ubiorę. Nie mogę przywitać Krzysztofa w takim stroju.

Anna włączyła radio i podśpiewując rozpoczęła misterium parzenia kawy. Dotarły do niej ostatnie takty jakiejś piosenki. Niesłychanie modny ostatnio Goran Bregović wsączał w słowiańskie dusze słodycz i tęsknotę muzyki cygańskich taborów. Dziewczyna czystym wysokim głosem próbowała towarzyszyć śpiewakom. Muzyka ucichła. W radiu przedstawiono dyrektorkę jakiegoś muzeum. Egzaltowana pani dzieliła się ze słuchaczami niezwykle emocjonującą sprawą. Do uszu Anny docierały tylko pojedyncze słowa. W pewnej chwili wymieniono imię Szczęsnego, a potem padło nazwisko „Połoński”. Anna nastawiła radio głośniej. Był to wywiad z dyrektorką muzeum bohatera narodowego, która skarżyła się, że rodzina Połońskiego nie odpowiada na żadne apele. Z tego powodu nie można ustalić, czy znalezione w Stanach Zjednoczonych szczątki należą w istocie do Szczęsnego. Jedynie rodzina Taborskich, zorientowana w dziejach rodu bohatera, udziela wsparcia muzeum i po-

maga w dotarciu do prawdy. Obecnie trwają poszukiwania najbliższych krewnych, których odnalezienie umożliwiłoby przeprowadzenie badań genetycznych.

Izabela ubrana w swoją przedpołudniową suknię stanęła w drzwiach kuchni. Gestem nakazała Annie milczenie. Chciała wysłuchać wywiadu do końca. Tymczasem redaktorka zadawała różne pytania, a dyrektorka wymieniała nazwisko Taborskich częściej niż Połońskich. Na zakończenie stwierdziła, że udało jej się ustalić adres dwóch kobiet związanych z rodziną bohatera, ale nie doczekała się odpowiedzi na wysłany list. Być może adres był zły albo te osoby wyjechały z kraju, albo też po prostu nie żyją.

- Żadnej odpowiedzi - skwitowała dyrektorka.

- Więc może teraz skorzysta pani z okazji i zaapeluje do spadkobierców rodziny Połońskich. Jeśli ktokolwiek z nich żyje i słucha tej audycji, to z pewnością się odezwie. Podamy telefon do redakcji i adres muzeum - zaproponowała dziennikarka.

- To nie ma sensu - dyrektorka muzeum mówiła z pełnym przekonaniem. - To rodzina z tradycjami, z pewnością szanująca dobre obyczaje. Gdyby żyli, daliby już o sobie znać. Tymczasem minęły dwa miesiące, a ja nie otrzymałam żadnej odpowiedzi.

- A nie chciałaby pani osobiście udać się pod adres, na który wysłany był list? Możemy pojechać tam razem.

- No cóż, pomysł dobry, ale chyba nieco spóź-

niony. Pan Taborski odnalazł już grób siostry Połońskiego, wiemy, gdzie została pochowana, więc ta wizyta jest już niepotrzebna. Pan Taborski, jako osoba dobrze poinformowana, twierdzi, że to fałszywy trop. Nie ma ostatniej z rodu Połońskich. Ta rodzina już nie istnieje. Ostatni Połońscy umarli w latach siedemdziesiątych, chyba zginęli w wypadku samochodowym i podobno byli bezdzietni.

Po chwili znów zabrzmiała piosenka Bregovicia, a Izabela i Anna usiadły przy stole w milczeniu. Ręce starszej pani spoczywały na stole nieruchomo. Wreszcie Anna odezwała się z udawaną beztroską:

- Nie ma nas. Po prostu nas nie ma, babciu. Taborski już nas uśmiercił. Ciebie uśmiercił, a mnie nie pozwolił przyjść na świat. Ma tupet, doprawdy. A swoją drogą, babciu, dlaczego nie odpisałaś na ten list z muzeum?

- Niech się zastanowię. Odłożyłam list na stoliczek z gazetami. Po tygodniu przypomniałam sobie o nim, ale nie mogłam znaleźć koperty z adresem zwrotnym. Zresztą nie wiedziałam, co z tym wszystkim robić. Rzadko jeżdżę do Warszawy, nie umiem prowadzić poszukiwań w archiwach, a nie chciałam odrywać ciebie od zajęć na uczelni. Czekałam, aż zdasz wszystkie egzaminy. Nie zdawałam sobie jednak sprawy, że od tamtej pory minęły już dwa miesiące.

- Teraz nie ulega wątpliwości, że Taborski doskonale wie, gdzie mieszkamy i co się z nami dzieje. Krok po kroku eliminuje nas z walki o spadek.

Pewnie proces toczy się gdzieś w Ameryce, a na przeszkodzie stoimy tylko my. To mi się nie podoba, babciu. Może w tamtym liście był numer telefonu. Zaraz zadzwonię do muzeum i powiem tej pani, że żyjemy i mamy się dobrze.

Poszukiwania koperty trwały czas jakiś, zanim Izabela w końcu ją znalazła. Bez trudu odczytały numer na wyraźnie odbitej pieczęcie. Anna natychmiast chwyciła za telefon i od razu połączyła się z dyrektorką.

- Anna Połowska? Ostatnia z rodu? - wołała podekscytowana kobieta. - Pan Taborski uprzedził mnie, że się odezwiesz, dziecko. Już po nagraniu w radiu powiedział mi, że istnieje i z pewnością zadzwonisz, jak tylko dotrze do ciebie ta wiadomość. Jesteś uczennicą? Taki dziecienny głosik. Studentka? Jak to miło. Z pewnością spotkamy się nie raz. Musisz odwiedzić muzeum swojego przodka. Będziesz naszym honorowym gościem. Jedziesz do Kotowa? Jak tylko ustalisz dokładne miejsce pochówku siostry Szczęsnego, dasz mi znać, prawda? My zorganizujemy ekipę, która przeprowadzi ekshumację i przekaże próbki do analizy. Oczywiście ktoś z rodziny musi być przy tym obecny. To nic nie szkodzi, że nie znałaś tej ciotki osobiście. Minęło w końcu sto pięćdziesiąt lat od jej śmierci. Ale to taki miły zwyczaj. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

Dyrektorka perorowała głosem pełnym egzaltacji i z upodobaniem używała poufalej formy, traktując Annę jak dziecko. Ta bezceremonial-

ność wcale dziewczynie nie odpowiadała, nie chciała jednak być niegrzeczna, więc nawet nie próbowała reagować na niestosowne zachowanie nieznajomej.

- Czekam na wiadomości, moja droga. Podam ci mój telefon domowy, żebyś mogła mnie informować na bieżąco. Polonia w Stanach niecierpliwie czeka na efekty naszych poszukiwań. Bombardują mnie faksami i telefonami. Miej nade mną litość, drogie dziecko, i pomóż mi uporać się z tym jak najprędzej. Zanim zrobi się z tego międzynarodowa afera. Był u mnie w tej sprawie ambasador Stanów Zjednoczonych. Co ja mam z tym za kłopot, nie jesteś w stanie sobie uzmysłwić, kochanie. Będę szczęśliwa, kiedy wszystko zostanie do końca wyjaśnione. Pokrywam wszelkie koszty, jakie poniesiesz, dziecinko. Czy jedziesz tam sama? Ze znajomym? To świetnie. Zawsze przyda się ktoś do pomocy w tak zawilej sprawie. Wszystko dokładnie posprawdź. Może przysłać do Kotowa któregoś z moich kustoszy? To młodzi historycy, żądni nowych odkryć i... Dobrze dziecko, jak chcesz. Czekam na wieści, najdalej jutro. Możesz do mnie dzwonić nawet w nocy. Cierpię na bezsenność. Nawet o drugiej w nocy odbiorę telefon. Do zobaczenia, kochanie. Ogromnie się cieszę. Doprawdy, ogromnie. Pozdrów babcię. Do usłyszenia.

Anna odłożyła słuchawkę i w tym samym momencie usłyszała dzwonek do bramy. Izabela zatrzymała wnuczkę w holu i powiedziała rozka-



zującym tonem, do którego uciekała się tylko w szczególnych okolicznościach:

- Anno, nie wprowadzaj tego młodego człowieka w szczegóły naszych problemów. Nie wiemy, kim jest. Poznałaś go przypadkowo zaledwie parę dni temu. Jestem niespokojna. Nie możesz go informować o wszystkim.

- Ależ babciu, on już i tak wie bardzo dużo. Słyszał nawet o wojnie między rodzinami. Podobno wyczytał to z gazet. Nie mamy nic do ukrycia. On jest historykiem. Zawsze interesował się Połońskim. Za późno. Babciu, nie mogę tak długo trzymać go za drzwiami. Pozwól mi otworzyć bramę.

Izabela bez słowa wyszła do kuchni, a Anna radośnie wybiegła na spotkanie Krzysztofa. Wszedł na ganek z szerokim uśmiechem zdobywcy, który nie ma żadnych kompleksów ani zahamowań i dobrze zna swoją wartość. Natychmiast wzbudzał zaufanie. Uważne spojrzenie jego niebieskoszarych oczu upewniło Annę, że nie może się mylić. Należał do tych osób, które wchodząc do pomieszczenia, wypełniały sobą niemal całą przestrzeń. Na nich z miejsca koncentrowała się uwaga całego otoczenia. Powietrze wibrowało niewidzialną energią, która niemal rozsadzała ściany. Chciało się być w pobliżu i czerpać radość życia, która emanowała ze sprężystego ciała i radosnego uśmiechu chłopaka. Wszystko obracał w żart i wyglądało na to, że nic nie może wytrącić go z równowagi. Jego silne ręce były opalone na ciemny brąz.

- Gdzie pan zdążył się tak opalić? - zapytała Izabela.
  - Wstyd się przyznać. Wykorzystałem część urlopu na pracę, żeby zarobić na wakacje. Zatrudniłem się przy wykopaliskach. Bardzo ciekawe zajęcie. Teraz jest ogromny ruch w interesie. Na terenach, przez które pobiegnie rurociąg, robotnicy odkrywają stare urny, szczątki ceramiki, a nawet całe cmentarze z niezliczoną ilością tajemnic.
  - To stąd u ciebie taka pasja do odkrywczych wypraw - stwierdziła Anna, stawiając przed Krzysztofem filiżankę z kawą. - Niestety, mam dla ciebie propozycję, której nie możesz odrzucić, tym bardziej, że już się pochwaliłeś wprawą w kopaniu.
  - Cóż to takiego, Aneczko?
  - Przed wyruszeniem w drogę musimy pochować koty naszej sąsiadki, które zdechły ostatniej nocy. Koniecznie trzeba jej pomóc, a ja nie mam dość siły, żeby pokonać ziemię w jej ogródku.
  - Chętnie to zrobię, ale skłamałbym, mówiąc, że z największą przyjemnością. Wypiję kawę i zaprowadzisz mnie do pani Marii. Pamiętaj tylko, że pociąg do Łodzi odjeżdża o dziesiątej z minutami. Musimy zdążyć na czas, bo już kupiłem bilety.
- Smutny obrządek trwał prawie pół godziny. Pani Maria podała im trzy podłużne zawiniątka otulone w stare, zniszczone koce. Krzysztof wykopał grób we wskazanym miejscu. Kiedy sąsiadka odeszła na chwilę, Anna energicznym ruchem prze-

rzuciła jedno z zawiniątek przez parkan na posesję babci. Krzysztof znieruchomiał ze zdumienia, ale zanim zdołał coś powiedzieć, dziewczyna powstrzymała go gestem, obiecując, że wszystko mu później wyjaśni. Tymczasem zaczęła go pospieszać, żeby pani Maria niczego nie zauważyła. Kiedy sąsiadka wróciła z nęczeniem świeżych kwiatów, grób był już w połowie zasypywany.

Anna obserwowała zręczne ruchy chłopaka. Znowu odrzucał włosy z czoła tym swoim charakterystycznym szarpnięciem głowy. „Jak żreback” - porównywała w myślach. „Będę to nazywała syndromem żrebacka.” Uśmiechnęła się do siebie, ucałowała panią Marię, co miało zastąpić kondolencje, które w tej sytuacji byłyby nieco nie na miejscu, i zaczęła się żegnać.

Kiedy wrócili do domu, wysłała Krzysztofa do łazienki, żeby się umył po ciężkiej pracy, a sama zniosła zawiniątko z martwym kotem do piwnicy. Włączyła starą lodówkę i z najwyższym szacunkiem włożyła do środka ciało ofiary. Potem dokładnie umyła ręce i stanęła w progu kuchni gotowa do drogi.

- Niech pan na nią uważa, Krzysztofie. To moje oczko w głowie.

- Proszę się nie denerwować. Wszystko będzie w porządku. To tylko krótka wyprawa do Koto-wa. Co może się wydarzyć w taki piękny słoneczny dzień? Proszę odpoczywać.

Zadzwonimy z Łodzi, jak tylko dotrzemy na miejsce.

Wybiegli z domu w świetnych humorach, jak-

by się wybierali na majówkę. W ostatniej chwili dogonili kolejkę WKD, która już prawie ruszała ze stacji. Maszynista na widok biegnącej pary otworzył w pierwszym wagonie zamknięte już drzwi i wpuścił spóźnialskich. Kiedy podeszli, żeby mu podziękować, odwrócił głowę i z uśmiechem powiedział.

- Gdybyście nie wyglądali tak sympatycznie, to pewnie ruszyłbym z kopyta. Masz szczęście, kolego. Dziewczyna jak z obrazka, a i tobie nic nie brakuje.

Zażenowani wycofali się z kabiny maszynisty i usiedli jak grzeczne dzieci na wolnej ławeczce. Po chwili spojrzeli na siebie i jednocześnie wybuchnęli śmiechem.

## 9

Przed południem dotarli do Kotowa. Gotycka wieża kościoła była dla nich z daleka widocznym drogowskazem. Bez trudu dotarli na plebanię. Proboszcz wysłuchał ich prośby i od razu sięgnął po właściwy opasły tom. Było dokładnie tak, jak przewidział Krzysztof. W zakrystii stał duży dębowy stół i szafy z wielkimi, oprawionymi w skórę księgami o pożółkłych ze starości stronicach. Proboszcz pytał, skąd przyjechali, częstował ich mlekiem, kiwał ze zrozumieniem siwą głową i splatał dłonie na wydatnym brzuchu.

- Czy ja pana już kiedyś nie widziałem? - zapytał wreszcie, wpatrując się w twarz Krzysztofa.

- Niemożliwe. Jestem w Kotowie po raz pierwszy w życiu.

- To może w innym mieście? Kiedyś miałem parafię w Lubelskiem, ale dość krótko, a przedtem...

Do pokoju weszła księża gospodyni z lemoniadą domowej roboty. Na dnie dzbanka pobrząkiwały kostki lodu.

- Proszę księdza proboszcza, ktoś czeka w kancelarii.

Duchowny oddalił się drobnym kroczkiem, a Krzysztof i Anna przystąpili do studiowania

księgi. Nazwisko Kotowskich występowało w indeksie kilkanaście razy. Wybrali właściwą osobę i zajrzeli pod wskazany numer. Wszystko się zgadzało. Ewelina Kotowska, z domu Połomska, córka Janiny i Rocha, żona Henryka Kotowskiego, zgasła w siedemdziesiątej wiosnie życia w 1845 roku. Pochowana w rodzinnej kaplicy Kotowskich na miejscowym cmentarzu.

- Dlaczego nie w kościele? - zapytała Anna. - Przecież zazwyczaj właściciele dworu łożyli na kościół albo wręcz budowali świątynię, zachowując przywilej pochówku w kościelnej krypcie.

- Ja wiem dlaczego. Przeczytałem wczoraj dzieje Kotowa w przewodniku turystycznym. Otóż w latach trzydziestych ubiegłego wieku miejscowy kościół doszczętnie spłonął. Kotowscy wyłożyli niemały majątek na odbudowę świątyni, ale prace trwały długo. Kiedy umarła dziedziczka Kotowska, kościół zapewne jeszcze nie nadawał się do tego, żeby można było odprawić w nim pełną powagi ceremonię. Wystawiona na cmentarzu tymczasowa kaplica siłą rzeczy stała się zaczątkiem grobu rodzinnego. Potem wierni chodzili na nabożeństwa do neogotyckiej świątyni, a kaplicę traktowano wyłącznie jako kryptę.

- Ty wszystko wiesz - powiedziała Anna z wyraźnym zachwytem.

- A nawet jeszcze więcej - dodał Krzysztof i musnął ustami jej włosy. Położył ostrożnie rękę na karku dziewczyny i delikatnie obrócił jej głowę w swoją stronę.

- Przestań. - Uderzyła go lekko dłonią po ramieniu. - Jesteśmy bądź co bądź w świętym miejscu. - Mówiąc te słowa, zorientowała się, że niewidzialna bariera, jaka dzieli ludzi niezwiązanych bliżej ze sobą, została ostatecznie usunięta. Teraz mogła sama wyciągnąć rękę i dotknąć jego ramienia. Dwa światy, dwa bieguny i siła przyciągania, przed którą trudno się obronić.

- A jak ustalimy, która trumna kryje szczątki nieszczęsnej siostry Szczęsnego? - zapytała przytomnie, próbując ukryć zażenowanie.

- To już zupełnie inna sprawa. Weźmiemy od księdza klucz do kaplicy i obejrzymy sobie te trumny. Nie boisz się, Aneczko?

Spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała bez wahania:

- Z tobą nie boję się niczego.

Proboszcz przyjął ofiarę na kościół, którą tymczasem włożył do obszernej kieszeni sutanny, i dał im duży, ciężki klucz. Opuścili plebanię i weszli w cień wysokich drzew na cmentarzu. Część alejek zarosła wysoką, kwitnącą o tej porze trawą. Stare, rozłożyste kasztany pochylały się z troską nad zapomnianymi mogiłami.

Kaplica była widoczna z daleka, jej gotycka wieżyczka górowała nad grobami. W kolorowych witrażach odbijało się słońce. Szli powoli, w skupieniu, rozglądając się dokoła.

Krzysztof objął Annę ramieniem, jakby chciał ją w ten sposób odgradzić od świata umarłych.

Tutaj śmierć była tylko abstrakcyjnym poję-

ciem. Cmentarz o tej porze roku wyglądał jak kwitnący zdziczały ogród pełen szelestu liści przy najmniejszym powiewie wiatru. Plamy słońca tańczyły na ścieżkach, lśniły na marmurowych nagrobkach. Ptaki śpiewały jak szalone, przekrzykując się nawzajem, ale w ich głosach nie było ani śladu niepokoju. Ucho człowieka odbierało te dźwięki jak ozdobę letniego przedpołudnia.

Drzwi kaplicy otworzyły się bez trudu. Od dawna nie wietrzone wewnątrz przesiąknęło zapachem zbutwiałych liści. Wewnątrz zobaczyli resztki zrujnowanego ołtarza z dawnych czasów. Kaplica była w gruncie rzeczy miniaturą kościoła parafialnego. Mogło się tu zmieścić ze trzydziestu ludzi jednocześnie, razem z trumną i księdzem odprawiającym nabożeństwo. Na ścianach wisiały zrudziałe ze starości wieńce. Widocznie od paru lat nikt tu nie zaglądał.

Krzysztof zaczął z przejęciem opowiadać o rodzie Kotowskich, który wygasł w trzydziestych latach naszego stulecia. Miejscowa parafia odnowiła kaplicę, bo było to miejsce szczególne, godne szacunku, a do tego zabytkowe.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - pytała zdumiona Anna. - Czy jest coś, czego nie wiesz?

- Tak. Nie wiem, co o mnie myślisz. Czy masz do mnie zaufanie i nigdy we mnie nie zwątpisz?

- Chciałabym, żeby tak było.

- Ale nie wiesz, czy potrafisz? Tak? Powiedz.

- Krzysztofie, to nie jest odpowiednia chwila na takie zapewnienia. Stoimy przecież w kaplicy. Musimy się zająć siostrą Szczęsnego.



- Zaczekaj. Słowa wypowiedziane w takim miejscu mają szczególne znaczenie. Anno, pamiętaj, cokolwiek się wydarzy w przyszłości, proszę, żebyś nigdy we mnie nie zważyła. Nie przypuszczałem, że spotkam taką dziewczynę jak ty, że właśnie ty będziesz tą dziewczyną, Anno.

Podniosła rękę na wysokość jego ust, nakazując mu milczenie.

- Gdzie jest wejście do krypty? Na zewnątrz? -zapytała spokojnie.

- Zaraz. - Krzysztof wyglądał jak człowiek wyrwany nagle ze snu. - Zazwyczaj zejście do podziemi jest usytuowane w posadzce naprzeciwko ołtarza. Ale tyle tu zeschniętych liści. Razem odgarniali z podłogi rozsypujące się w proch liście i kwiaty. W kaplicy panował półmrok. Niewiele światła wpadało przez pokryte kurzem szkiełka witraży. Kolorowe cienie poruszały się niespokojnie po posadzce.

Po chwili zobaczyli metalowe uchwyty klapy, pod którą kryło się zejście do podziemia. Z trudem unieśli płytę odlaną z ciężkiego metalu. W dół prowadziły schodki, których koniec ginął w ciemnościach. Krzysztof wyjął ze swojego plecaka latarkę i pierwszy zanurkował w mrok. Za nim ostrożnie podążyła Anna. Stanęli w progu sklepionej sali, w której pod ścianami leżały kawałki zbutwiałych trumien. Po obu stronach ciągnęły się zasłonięte tablicami nisze, przypominające słynne katakumby na Powązkach. Nieco obluzowane śruby pozwalały zajrzeć do środka. Za każdą z kamiennych płyt

znajdowała się trumna. Zaczęli mozolnie odczytywać nazwiska.

W pewnym momencie latarka zgasła. Anna odruchowo chwyciła Krzysztofa za rękę i wtuliła głowę w jego ramię. Ten zamiast natychmiast włączyć latarkę, zwlekał przez chwilę i w końcu zawołał:

- Zobacz! Tam w górze jest otwór; to pewnie jakiś rodzaj wentylacji, który ma ujście albo w kaplicy, albo na zewnątrz. Mamy tu odrobinę słońca! To bardzo ciekawe rozwiązanie architektoniczne. Wyjdę na górę i odszukam to miejsce. Zasłonię je, a ty potwierdzisz, czy trafiłem. Dobrze?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Krzysztof wybiegł z krypty i zaczął krążyć wokół kaplicy, nawołując dość głośno. Odnalezienie otworu okazało się jednak niełatwym zadaniem.

- Pudło! - wołała Anna z coraz większą irytacją, bo architektoniczne pasje chłopaka dały o sobie znać w zupełnie nieodpowiednim momencie. Z zewnątrz docierał odgłos układanych pod ścianą kaplicy kamieni. Krzysztof koniecznie chciał obejrzeć dach jednej z wieżyczek. Kiedy już wspiął się na sam szczyt, Anna usłyszała rumor i rozpaczliwy krzyk. Dopiero po chwili zrozumiała, że chłopak prawdopodobnie spadł z naprędce ułożonej piramidy.

Zapaliła latarkę i ruszyła po schodach na górę. Jakież było jej zdziwienie, kiedy dostrzegła, że kłapa wjazdu zamyka się z głuchym trzaskiem dosłownie nad jej głową.

Błyskawicznie pokonała resztę schodów i próbowała podeprzeć płytę rękami. Szybko się jed-

nak przekonała, że to bezcelowe. Gorączkowo szukała odpowiedzi na pytania: „Czy to możliwe? Krzysztof? Czy mógł aż tak udawać? Po co wspinał się na kamienie? A jeśli jest z kimś w zмовie. Nie, to niemożliwe. Może ktoś go skrzywdził, a mnie zamknął w tym grobowcu, żebym umarła ze strachu i z głodu”.

Zaczęła krzyczeć. Nawoływała Krzysztofa, ale jej głos brzmiał głucho w zamkniętej krypcie. Niechcący zgasła latarkę. Kiedy wzrok przyzwyczaił się do ciemności, odruchowo odszukała jasny punkt w górze i wtedy z najwyższym zdumieniem zobaczyła, że ktoś zasłania ten otwór, odcinając jedyne źródło światła i powietrza. Po chwili usłyszała odgłos przesuwanych kamieni i czyjeś kroki na żwirowej alejce. Znow zaczęła krzyczeć, ale już z mniejszym przekonaniem, że ktoś zareaguje na jej wołanie.

Zapaliła latarkę i rozejrzała się dokoła bezradnie. Strumień światła był jeszcze dość mocny, ale jak wiadomo baterie muszą się w końcu wyczerpać. Przypadkowo oświetliła jedną z marmurowych tablic. Najpierw dostrzegła datę zgonu, czyli rok 1845. Dopiero potem odczytała mocno zatarte nazwisko siostry Szczęsnego. Popatrzyła z wyrzutem na miejsce, w którym powinna spoczywać trumna.

- Widzisz, nieznana cioteczko? Znalazłam się w tarapatach, a ty nie możesz mi pomóc. Płyty nie uniosę. Małeńki otwór w suficie został zamknięty. Mogłabym zbudować rusztowanie na schodach i spróbować podważyć płytę, ale ona

z pewnością została przyciśnięta od zewnątrz czymś ciężkim. Boję się, cioteczko. Boję się wszystkiego. Nawet twoich doczesnych szczątków. Nie chcę tu umrzeć zapomniana przez wszystkich. Co zrobi babcia, jeśli nie wrócę wieczorem do domu?

Anna przeszła energicznym krokiem wzdłuż krypty i w świetle latarki uważnie obejrzała ściany. Pokryte kurzem pajęczyny służyły już pewnie dziesiątkom pokoleń pajaków. Tylko czym się te pajaki żywiły? Może przez otwór w suficie wpadały tu ciekawskie i niezbyt rozgarnięte muchy?

Nie znalazła w krypcie niczego, co mogłoby posłużyć do budowy rusztowania. Była coraz bardziej przerażona, czuła, że za moment wpadnie w panikę. Nie bała się zmarłych. Nie mogli zrobić jej krzywdy. Nigdy nie traktowała poważnie opowieści o duchach. Teraz jednak widok trumien, z których zwisały zetłale, podobne do pajęczyn kawałki tkanin, przypomniawszy jej oglądane w telewizji horrory. Zamknęła mocno oczy i potrząsnęła głową, żeby odpędzić złe myśli. Chciała za wszelką cenę odzyskać równowagę i przeanalizować wszystko jeszcze raz.

„No tak. Wieczorem babcia zaalarmuje policję. Ktoś z pewnością mnie tu odnajdzie. O mojej wyprawie do Kotowa wie przecież także dyrektorka muzeum. A proboszcz powinien zauważyć, że nie odnieśliśmy klucza od kaplicy. Jest nadzieja. Z pewnością się stąd wydostanę, muszę tylko wytrwać do wieczora. Baterie nie wystarczą na tyle go-

dzin. Jedzenie mam w plecaku, ale wątpię, czy zdołam coś przełknąć w towarzystwie zmarłych ciotek, wujów oraz ich dzieci i wnuków. Mam jakieś soczki w kartonikach. Mogę je pić nawet po omacku. Wystarczy oderwać słomkę i trafić nią w dziurkę. O czym ja myślę w takiej chwili? Przecież spędzę tu ładnych parę godzin, zanim mnie odnajdą. Trzeba sobie przygotować jakieś wygodne miejsce do siedzenia, dopóki działa latarka." Z niechęcią spojrzała na wieko małej trumienki stojącej pod ścianą i na deski leżące po przeciwnej stronie. Ułożyła, je w stertę i mimo wewnętrznego sprzeciwu spróbowała na niej sięść. Tylko przez chwilę miała pod sobą stabilne oparcie. Spróchniałe drewno nie wytrzymało jej ciężaru. Wylądowała na betonowej posadzce, uderzając się boleśnie w głowę.

- No proszę, a ja chciałam nimi podważyć ciężką płytę nad schodami. Ależ jestem głupia -mówiła głośno, żeby dodać sobie odwagi. - Znów mnie zawiodłaś, cioteczko. Teraz nie wiem, co robić. W końcu rozbolą mnie nogi i będę musiała usiąść na gołym betonie. Pęknięcie desek i upadek dziewczyny spowodowały ruch powietrza w krypcie. Obluzowana płyta zasłaniająca niszę ze zwłokami siostry Szczęsnego z trzaskiem spadła ze ściany. Anna czuła, jak włosy jeżą się jej na głowie. Instynktownie zrobiła dwa kroki do tyłu i zawadziła nogą o połamane deski, tracąc równowagę. Sięgnęła po latarkę i oświetliła ciemny otwór

w ścianie. Część trumny wypadła razem z płytą. Błysnęło coś białego. Oczom przestraszonej dziewczyny ukazała się czaszka okolona resztkami siwych włosów. Anna odruchowo przytuliła ręce do piersi i zaczęła się modlić. Nie mogła oderwać oczu od czaszki. Stała jak zahipnotyzowana, nie czując upływu czasu, zapatrzona w czubek głowy nieznajomej ciotki, która umarła sto pięćdziesiąt lat temu z okładem. Na granicy światła i cienia czaił się strach. Miała wrażenie, że chwila nieuwagi, a stanie się coś strasznego. Co by to mogło być, nie miało teraz znaczenia. Wystarczyło Annie głębokie przekonanie, że tak właśnie będzie. Najwyraźniej szok odebrał jej zdolność logicznego myślenia. W pewnej chwili usłyszała jakiś hałas na górze, męskie głosy i kroki na posadzce kaplicy. Nic jednak nie było w stanie oderwać jej od niezwykle ważnego zajęcia, jakim było wpatrywanie się w czaszkę ciotki. Milczała nawet wtedy, kiedy podniesiono ciężką płytę, a obok niej stanął zasapany proboszcz. Powoli wyprowadził dziewczynę na górę i próbował wyjąć latarkę z jej rąk. Zdrętwiałe palce nie dawały się wyprostować. Inny mężczyzna wziął Annę pod ramię z drugiej strony i tym sposobem, ciągnięta, a chwilami unoszona w powietrzu, opuściła cmentarz, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co się wokół niej dzieje. Dopiero na plebanii przy dębowym stole, kiedy gospodyni księdza wlała jej przez zaciśnięte zęby parę kropel nalewki wiśniowej, Anna nagle oprzytomniała.

- Co się stało? - zapytała.

- Już ci mówiłem, dziewczeczko - tłumaczył ksiądz cierpliwie. - Mówiłem przez całą drogę. Dzwoniła do mnie twoja babcia. Zaczęło się ściemniać, kiedy zadzwoniła. Była o ciebie bardzo niespokojna. Wyjaśniłem jej, że wszystko w porządku, że byliście u mnie, a potem dałem wam klucz od kaplicy. Dopiero w trakcie rozmowy uświadomiłem sobie, że klucz oddał mi jakiś wytworny starszy pan, który twierdził, że jest wujkiem tego młodego człowieka i że zabiera was samochodem do Łodzi. Trochę mnie to zdziwiło, że żadne z was nie przyszło się pożegnać, ale westchnąłem tylko i uznałem, że dzisiejsza młodzież nie zna się już na dobrych obyczajach. Starszy pan z dużym wdziękiem zrobił to za was, składając przy tym niezwykle hojną ofiarę.

Gdy wspomniałem babci o starszym panu, zaczęła gwałtownie się domagać, żebym natychmiast poszedł do krypty, bo twoje życie jest w niebezpieczeństwie. Chciała od razu dzwonić na tutejszy posterunek policji i w ogóle była strasznie zdenerwowana.

Przyrzekłem więc babci, że zaraz pójdę do kaplicy, bo nie lubię, jak funkcjonariusze kręcą się po plebanii. Oczywiście nie uwierzyłem w jej opowieść. Zapewne nigdy bym cię nie znalazł, gdyby nie zadzwonił telefon. Otóż skontaktował się ze mną młody człowiek, który był tu z tobą w południe. Podobno spadł ze sterty kamieni i stracił przytomność. Ma lekki wstrząs mózgu. Kiedy tylko się ocknął i uświadomił sobie, że zostałaś w krypcie bez żadnej po-

mocy, natychmiast do mnie zadzwonił. Tak więc co prędzej przywołałem kościelnego i pobiegłem na cmentarz. Chwała Bogu, nic ci się nie stało. Jesteś tylko porządnie wystraszona. Ale to minie. Zmarłych nie trzeba się obawiać. Oni są niegroźni. Tylko żywi mogą być niebezpieczni. Dzwoń do babci, bo umiera z niepokoju, a my tymczasem zaparzymy herbatkę.

Anna starała się zapanować nad sobą, kiedy zapewniała babcię, że jest cała i zdrowa. Kilka zadrapań i odrobina emocji to w końcu nic wielkiego. Izabela odetchnęła z ulgą i zapowiedziała, że nie zmruży oka aż do powrotu wnuczki. Pożegnały się czule i dziewczyna odłożyła słuchawkę.

W tym momencie w drzwiach stanął Krzysztof z obandażowaną głową. Chwycił Annę w objęcia i tulił jak cudem odnaleziony skarb.

- To wszystko moja wina - powtarzał w kółko i gładził ją po włosach. - Ale teraz jesteś już bezpieczna.

- A co z tobą? Wypuścili cię ze szpitala?

- Później ci powiem. - A na ucho szepnął: -Uciekłem.

- Ale...

- Żadne ale... Przecież nie mogłem tam tkwić, kiedy ty byłaś w opałach.

Szybko pożegnali się z proboszczem i Anna nie zdążyła zapytać o starszego pana, który oddał klucz. Przypomniała sobie o tym dopiero w pociągu.

- A wiesz - odezwał się Krzysztof - w szpitalu



powiedzieli mi, że przywiózł mnie jakiś starszy pan, który potem już się nie pojawił. Po prostu przywiózł mnie samochodem i oddał w ręce lekarzy. Anna spojrzała na Krzysztofa ze zdumieniem.

- Prawdopodobnie ten sam pan zatrzasnął wejście do krypty i zasłonił ten maleńki otwór, którego szukałeś, żeby nie docierało do mnie ani światło, ani powietrze. Z pewnością wiedział, co robi. Wydał na mnie wyrok śmierci. Szkoda, że nie zebraliśmy o nim więcej informacji.

- Jesteś pewna, że płyta nie zatrzasnęła się sama? -Najzupełniej. Dlaczego jednak zadbał o ciebie, a mnie potraktował w taki sposób? Cos się za tym kryje.

Przez całą drogę próbowali rozwikłać tę zagadkę, jednak bez większego powodzenia. Dotarli do Komorowa koło północy. Izabela długo nie mogła dojść do siebie. Zażywała leki na serce i spoglądała na wnuczkę z niepokojem. Obie panie niemal jednocześnie poprosiły Krzysztofa, żeby został na noc. Chłopak nie musiał nikogo zawiadamiać o tym fakcie, bo od dawna mieszkał sam w wynajętej kawalercie. Chętnie przyjął ofiarowany nocleg. Ostatnia kolejka już odjechała a następna miała być dopiero około czwartej nad ranem. Perspektywa spędzenia nocy na pustej stacji nie była zbyt zachęcająca. Jego zgoda wywołała natychmiast uśmiech na twarzach kobiet. Tej nocy nie czuły się bezpieczne. Po kolacji Anna ułożyła pościel na kanapie w gabinecie dziadka i wprowadziła tam Krzysztofa.

- Tu masz ręcznik i wdzianko, które może udawać piżamę. Łazienka jest w holu, ale zachowuj się cicho ze względu na babcię. Dobranoc i dziękuję za wszystko.

Krzysztof przygarnął dziewczynę do siebie i Anna utonęła w jego objęciach, zapominając na chwilę o wszystkich zmartwieniach. Zaraz jednak zapanowała nad sobą, po przyjacielsku poklepała go po plecach i delikatnie, ale stanowczo wysunęła się z jego objęć. Szybko zamknęła za sobą drzwi, żeby nie ulec pokusie i nie zostać dłużej, bo wtedy wszystko mogłoby się wydarzyć, a na to nie mogła pozwolić.

Na górze przywitało ją krótkie miauknięcie kotki, która, nie zważając na protesty kociąt, specjalnie wyszła z szafy, żeby się przywitać.

- Ty się znasz na dobrych manierach, moja piękna. - Anna zaczęła wieczorną rozmowę ze swoją lokatorką. - No widzisz? Wróciłam. Jestem znów w naszym wspólnym pokoju, trochę wystraszona i bardzo szczęśliwa. On śpi na dole, w gabinecie dziadka. Jest dokładnie taki, jak sobie wymarzyłam, mądry, silny i opiekuńczy. Czego więcej może pragnąć dziewczyna taka jak ja? Wiem, wiem, przypominasz mi, że jestem ostatnia z rodu. Spoczywa na mnie wielki obowiązek. Oczywiście. Ale nazwisko i tak nie przetrwa. Chyba że wymuszę na nim zgodę, aby nasz syn nosił nazwisko Połoń-skich. To jest pewien pomysł, koteczko. Widzisz? Nasza rozmowa jest niezwykle twórcza, ale gdzie szukać chłopaka, który się na to zgodzi? Mówisz,

żeby spróbować? Dobrze, spróbuję, a teraz idź do swoich dzieci. Jestem bardzo zmęczona. Anna zanosła kotkę do szafy, potem uchyliła drzwi pokoju, żeby zwierzątko mogło zejść do kuchni, kiedy poczuje pragnienie. Ledwie wtuliła głowę w poduszkę, już jej nie było. Zapadła w mocny, zdrowy sen.

Rano zastała Krzysztofa w saloniku. Był już umyty i ubrany. Kiedy zawołała coś na powitanie, drgnął i niemal odskoczył od biblioteczki. W rękę trzymał pożąłkłą kartkę wyjętą z jakiejś starej książki.

- Wybacz. Zaskoczyłaś mnie. Myślami byłem bardzo daleko. Spójrz, co znalazłem. To notatki jakiegoś pradziadka. Popatrz na pismo, z pewnością uczono go kaligrafii. Jakie równe litery.

- A co tam jest napisane? - zapytała Anna, patrząc na niego uważnie.

- Czekaj, zaraz przeczytam. Słuchaj. Wydatki przed Zielonymi Świątkami: funt tytoniu przedniego, markowego, złotych dwa, wino reńskie, skrzynka, złotych piętnaście i tak dalej, i dalej. A tu na dole dopisek: zabawki dla Marcysi, złotych jeden i pół. Roku nie ma. Żadnej daty ani podpisu.

- Zostaw ten stary papier i chodź na śniadanie. - Anna wzięła Krzysztofa za rękę i poprowadziła do kuchni, gdzie pachniało świeżo zaparzoną kawą, a na stole w koszyczku leżały apetycznie wyglądające rumiane bułeczki. Babcia zadbała o wszystko.

## 10

Następne dni minęły spokojnie. Dyrektorka muzeum miała zadzwonić, jak tylko ustalą datę ekshumacji. Anna obiecała, że przyjedzie w tym dniu do Kotowa, choć w gruncie rzeczy nie miała na to ochoty. Krzysztof wpadał co dwa dni do Komorowa. Spędzali ze sobą coraz więcej czasu. Chodzili razem na spacer i prowadzili długie rozmowy. Wszyscy traktowali ich jak parę, a oni nie protestowali.

Któregoś dnia umówili się na spotkanie w Warszawie. Anna przyszła do archiwum i czekała na Krzysztofa w jego pokoju. Kiedy zadzwonił telefon, odruchowo podniosła słuchawkę.

- Czy mogę mówić z Krzysztofem? - W głosie starszego pana słychać było zniecierpliwienie.

- Nie ma go w tej chwili w pokoju, ale chętnie przekażę mu wiadomość. Proszę podać swoje nazwisko, zaraz zanotuję.

- Felicjan Taborski. Numeru telefonu nie muszę podawać. Jestem jego stryjem. - Trzask odkładanej słuchawki sparaliżował Annę.

„A więc Krzysztof jest spowinowacony z tą rodziną. To jego najbliższy krewny - myślała gorączkowo. Przypomniała sobie, że często mówił

O jakimś stryju, który wiedział wszystko o rodzinie Połońskich. A ona niczego się nie domyślała. A któż inny mógł z takim zapamiętaniem śledzić losy jej przodków? To mógł być tylko Taborski, który zakradał się pod jej dom i chciał otruć babcię. A potem, potem... Nie, to niemożliwe. A jednak Krzysztof musiał być z nim w zмовie. Tak chętnie włączył się do poszukiwań. Przecież on również miałby udział w spadku po Połońskim. Najpierw zaczął jej skwapliwie pomagać, a potem zabiegał o względy. A wypadek na cmentarzu mógł być z góry zaplanowany. Z pewnością sam zamknął kryptę, a stryjek mu w tym pomagał. Starszy pan mógł krążyć gdzieś w pobliżu, bo dokładnie był poinformowany o ich przyjeździe do Kotowa. Wpadłam w łapy moich największych wrogów, wprowadziłam jednego z nich pod dach rodzinnego domu i jeszcze uległam jego urokowi. Jestem nieskończenie głupia. Człowiek, któremu tak ufałam, oszukiwał mnie bez najmniejszych skrępułów, a ja myślałam, że jest we mnie zakochany. Budowałam zamki na lodzie. i co ja tu jeszcze robię?"

Chwyła torebkę, zarzuciła ją na ramię i szybko wyszła na korytarz. Kiedy zbiegała po drewnianych skrzypiących schodach, wpadła wprost w objęcia Krzysztofa. Odruchowo zasłoniła się ręką, odepchnęła chłopaka tak mocno, że z trudem złapał równowagę, i z impetem otworzyła drzwi. Krzysztof dogonił ją już na ulicy.

- O co chodzi, Aneczko? Co się stało?

- Ty, ty śmiesz jeszcze o to pytać? Dzwonił przed chwilą twój stryj, pan Taborski. Nie raczyłeś mi powiedzieć, że jesteś z nim spokrewniony. Bawiłeś się moim kosztem. Nie podchodź do mnie, bo zacznę krzyczeć. Jesteś moim wrogiem! Polujesz na mnie razem ze swoim stryjem. Chcecie nas pozbawić życia, bo przeszkadzamy wam w przejęciu spadku po Szczęsnym.

- Oszalałaś dziewczyno! Mój stryj jest dobrodusznym staruszkiem, który nikomu nie może zaszkodzić. Może trochę zwariowanym na punkcie jakiegoś mitycznego spadku, ale z pewnością nikomu nie życzyłby śmierci.

- Nie wierzę ci. Nie podchodź do mnie!

- Ależ Anno, to nie ma sensu. Jak mógłbym ci zagrażać czy bawić się twoim kosztem? Jestem w tobie zakochany do szaleństwa. Gdyby ktoś chciał cię skrzywdzić, miałby najpierw ze mną do czynienia. Jedyne, czego pragnę, to ochraniać cię przed całym światem.

- Nie wierzę ci, kłamiesz. Należysz do rodziny Taborskich.

- Ależ Aneczko, ten spadek to koszmar, który prześladowuje moją rodzinę od wielu pokoleń. Stryj nigdy go nie dostanie, bo brakuje mu jakiegoś dokumentu.

- A ty podstępem wdarłeś się do mojego domu, żeby ten dokument odnaleźć.

- Nie żartuj. Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Nie przeczę, na początku bardziej mnie interesował Szczęsny niż twoja osoba, ale teraz ty je-

steś najważniejsza. Nie dąsaj się. Chodźmy na Rynek Starego Miasta i porozmawiajmy spokojnie. Musisz mi uwierzyć. Od tego zależy całe moje życie. Przypomnij sobie, co ci mówiłem w kaplicy. Byłem pewien, że w końcu dowiesz się o moim stryju i przestaniesz mi ufać. Wtedy nasza znajomość była na takim etapie, że odepchnęłabyś mnie bez wahania, gdybym się przyznał do związków rodzinnych z Taborskimi.

Krzysztof powoli prowadził Annę w stronę Starego Miasta. Cały czas starał się ją przekonać, gestykulując przy tym bez opamiętania. Dziewczyna spoglądała na niego z nieufnością, ale widać było, że chciałyby wierzyć w każde jego słowo. Po upływie pół godziny siedzieli razem w kawiarni, trzymając się za ręce. Znowu byli parą, chociaż Anna wciąż jeszcze miała nadąsaną minę. Ciężkie wątpliwości nie dawały jej spokoju. Mimo to pozwoliła odwieźć się do Komorowa i zaprosiła Krzysztofa do domu.

Usiedli na werandzie i rozmawiali o jakichś mało ważnych sprawach. Anna nie ukrywała zniecierpliwienia. Od czasu do czasu pozwalała sobie na drobne złośliwości, ale chłopak nie reagował na jej zaczepki. Babcia przyniosła miseczkę konfitur i przez chwilę bawiła ich rozmową.

- Widzę, że humory wam nie dopisują. Aneczko, nałóż panu konfitur. W ostatnim roku wyśmienicie się udały.

- Proszę pani - zaczął Krzysztof pozornie niefrasobliwie - Anna jest dzisiaj w wyjątkowo złym nastroju. Już sam nie wiem, jak ją udobruchać. Pro-

sze mi powiedzieć, co mogłoby sprawić jej radość.

- Sam ją o to zapytaj, młody człowieku. Któż to może wiedzieć? Idźcie razem do księgarni. Ona uwielbia albumy. W końcu sztuka to jej pasja. W naszej księgarni jest kącik antykwaryczny. Można trafić tam na najprawdziwsze białe kruki za niewielkie pieniądze. Chętnie zainwestuję w radość mojej wnuczki. No jak, Aneczko, masz na to ochotę?

Dziewczyna zmarszczyła nos z dezaprobatą. Tak naprawdę chciała zostać sam na sam z babcią i opowiedzieć jej o niespodziewanym odkryciu, a potem wysłuchać jej rady.

- Nie czuję się dzisiaj najlepiej. Chyba wcześniej pójdę spać. Wybacz, Krzysztofie. Mój zły nastrój wynika zapewne ze zmęczenia. Wczoraj czytałam do północy.

Krzysztof nie nalegał więcej i zaczął się od razu żegnać. Zanim wyszedł, wymógł na Annie spotkanie w dniu następnym. Chciał jej pokazać książki, które ostatnio kupił dla siebie.

Izabela czuła się tego popołudnia wyjątkowo źle. Zatrucie bardzo ją osłabiło. Serce odmawiało posłuszeństwa częściej niż zwykle. Do tego doszły duszności i uczucie ogromnego zmęczenia. Z niepokojem myślała o wnuczce. „Co będzie, gdy mnie zabraknie? Anna jest jeszcze taka dziecinna, a moje serce stale przypomina o upływającym czasie. Żeby jeszcze trzy, cztery lata wytargować od losu... Niechby maleńka mocno stanęła na nogach i znalazła dobrego opiekuna.” Starsza pani usiadła w fotelu i przymknęła oczy.



Był cichy wieczór ze słowikiem w tle i kumkaniem żab w pobliskiej sadzawce. Z ogrodu docierał słodki zapach maciejki. Do pokoju weszła koteczka i wskoczyła Izabeli na kolana. Cicho mruczając, sposobiała się do rozkosznej drzemki z dala od męczących dzieci.

Po kąpieli Anna zeszła na dół i zajrzała do saloniku. Właśnie miała omówić z babcią sprawę Krzysztofa, ale widok drzemiącej Izabeli zatrzymał ją w progu. Z czułością patrzyła na ukochaną opiekunkę, która zastępowała jej matkę i ojca. Uświadomiła sobie w tej chwili, jak bardzo jest do niej przywiązana. Nie wyobrażała sobie życia bez niej i za nic nie chciała wybiegać myślą w przyszłość. Na palcach wycofała się do holu i bezszelestnie weszła po schodach na górę.

Kocięta popiskiwały cicho w szafie. Anna pogłaskała je po maleńkich grzbietach, próbując zastąpić im mamę, która zasłużyła sobie na odpoczynek. Potem zapaliła lampę, włączyła radio i pograżyła się w lekturze.

Jednak natrętne myśli nie dawały jej spokoju. „Jutro przyjedzie Krzysztof - pomyślała z niepokojem. - On chyba rzeczywiście nie miał złych zamiarów. Cóż my wiemy o tym spadku? Czy on naprawdę istnieje? Czy kiedykolwiek trafi do Polski? Czy to możliwe, żeby taki chłopak był nieuczciwym, dwulicowym potworem czyhającym na moje życie? Kiedy patrzę mu w oczy, wierzę w każde jego słowo. Ale teraz znów wracają wątpliwości. Czy dla pieniędzy można zagrać rolę zakochanego chłopaka?

Jakie pieniądze? Babcia wspominała o kilkuset milionach dolarów. No tak. Dla takiej sumy można zrobić prawie wszystko. Ale wtedy nie trzeba sobie brudzić rąk. Wystarczy wynająć płatnego mordercę. To prostsze i zarazem trudniejsze do udowodnienia. Brak motywu, jak zapewne powiedziałby doświadczony detektyw. Brak motywu."

Anna zapadła w drzemkę. Nagły podmuch wiatru uderzył oknem o framugę. Hałas obudził dziewczynę. Na progu stała kotka i głośno miauknęła.

„Skąd ten przeciąg? - zastanawiała się Anna, powoli wsuwając stopy w ranne pantofle. Zapaliła światło i zeszła na dół. Od razu zauważyła, że drzwi wejściowe są otwarte na oścież, a z saloniku dobiegały odgłosy ożywionej rozmowy. Poprawiła na sobie szlafrok, odrzuciła grzywkę z czoła i stanęła na progu pokoju.

To, co zobaczyła, sprawiło, że zdrętwiała z przerażenia. Czowała, jak włosy jeżą się jej na głowie. Między półkami i sekretarzykiem uwijało się dwóch zamaskowanych mężczyzn, takich samych, jakich można zobaczyć na podłym filmie gangsterskim. Śmiertelnie blada babcia siedziała w fotelu z rękami związanymi jakimś sznurem.

- Gdzie są pieniądze i kosztowności? - indagował wysoki i szczupły włamywacz. Izabela milczała.

- Chcesz, żebyśmy tu zrobili większy bałagan? -dodał niższy, ale za to tęższy rabuś.

- Panowie, mam tylko resztę mojej emerytury.

Nie trzymam pieniędzy w domu, a wartościowej biżuterii nie posiadam.

- Milcz, kobieto. Koleś, otwórz sekretarzyk, zobaczymy, co tam w środku trzyma ta starsza pani. Przecież mąż był na wysokim stanowisku. Musiał coś zostawić żonie na czarną godzinę, a czarna godzina właśnie teraz nadeszła.

- Panowie, mąż nieboszczyk w istocie zostawił coś na czarną godzinę, ale schował to dokładnie przed, wybaczcie panowie, włamywaczami i nie zdążył mi przekazać tej tajemnicy. A potem umarł i zostałam bez zabezpieczenia. Nigdy nie znalazłam tego skarbu.

- Kobieto, kto by w to uwierzył. Takie opowieści zostaw dla swojej wnuczki. A właśnie, gdzie twoja wnuczka? Może ona będzie rozsądniejsza?

Anna cofnęła się szybko w mrok holu i bezszelestnie poszła w stronę drzwi od piwnicy. Zdjęła z półeczki klucz od garażu i stała jeszcze przez chwilę niezdecydowana. Miała zamiar wyjść z domu przez garaż, przejść przez płot do ogrodu pani Marii i od niej wezwać policję. Bała się jednak zostawić babcię na łasce włamywaczy.

- Wnuczka wyjechała - głos Izabeli brzmiał spokojnie i przekonująco. - Są wakacje. A mąż nieboszczyk wiedział, co robi. Schował i jak kamień w wodę. Wszystko przepadło.

- Co mi tu pani z tym nieboszczykiem wyjeżdża? Niech to wszyscy diabli! W sekretarzyku są tylko stare papiery i fotografie. Może jakaś nóżka się odkręca? Gdzieś tu musi być skrytka. Rusz

rozumem, kobieto. Nie chcemy cię skrzywdzić. My byle czego nie bierzemy, tylko gotówkę i złoto. Prawda, koleś? - powiedział z dumą wysoki. -Przedmioty, gadzety, to dobre dla amatorów. Takich zawsze łatwo rozpoznać i złapać.

- Mam propozycję, panowie - oznajmiła nagle Izabela. - Tak się składa, że sama potrzebuję gotówki. Możemy się więc umówić, że ja wam zapewnię warunki do pracy, luksusowe warunki, a wy dokładnie przeszukacie dom, nie robiąc przy tym bałaganu. Jeśli znajdziecie skarby mojego męża nieboszczyka, to podzielimy się nimi sprawiedliwie. Mam nadzieję, że fachowcom tej klasy można zaufać.

- Rozsądnie mówi - mruknął bez przekonania niski.

- A jak nic nie znajdziemy? Co wtedy? - spytał wysoki.

- Wtedy zjemy smaczną kolację i rozstaniemy się w zgodzie.

- Żadnych numerów? Kobieto, my tu nie przyszliśmy na pogaduszki, tylko na robotę. Skąd mogę wiedzieć, że nas nie wpuszczasz w maliny? Zaczнешь dawać sąsiadom znaki i nakryją nas w najmniej odpowiednim momencie. Nie mam ochoty wracać do pudła. I niby dlaczego masz mieć do nas zaufanie? Do zwyczajnych włamywaczy?

- Szanuję ludzi pracy, bez względu na zajęcie, jakim się trudnią. Jeszcze nigdy nikogo nie oszukałam i nie widzę powodu, żeby dla was zmieniać moje obyczaje.

- Niegłupio gada - mruknął niski.

- Mam tylko niewielką prośbę - dodała Izabela. - Ja nie uwłaczam waszej godności, więc i wy, panowie, pamiętajcie o dobrych manierach. Proszę się zwracać do mnie w odpowiedni sposób i rozwiązać mi ręce. Ja się zajmę kolacją, a wy swoją robotą. Macie narzędzia?

Może trzeba będzie rozkręcić to i owo? Jeśli nie macie, udostępnię wam zestaw zgromadzony jeszcze przez mojego męża nieboszczyka, nieodżałowanej pamięci.

- Błagam, niech już pani nie wspomina o tym nieboszczyku, bo czuję się tak, jakbym buszował w rodzinnej krypcie.

- No cóż, to takie niewinne przyzwyczajenie. Zawsze tak mówię o moim świętej pamięci małżonku, więc jeśli znów popełnię nietakt, z góry proszę o wybaczenie.

Dyskusja ciągnęła się w nieskończoność, przybierając różne formy. Duży buszował po saloniku i straszył Izabelę, a mały próbował wysondować, czy pani domu mówi prawdę.

Szybko się zorientowali, że stare, wypróbowane metody nie przyniosą spodziewanych efektów. Ani kneblowanie, ani bardziej brutalne formy nacisku nie wchodziły w grę.

Krucha staruszka będąca jedynym źródłem pożądanых informacji mogła w każdej chwili zemdleć, a wówczas byliby zdani wyłącznie na własną pomysłowość.

Tymczasem Izabela przekonująco i ze swadą, a przy tym niezwykle uprzejmie namawiała ich do spółki. Ukryte przez nieboszczyka skarby za-

powiadały się obiecująco i przybierały coraz bardziej realne kształty. Włamywacze zaskoczeni, a nawet nieco zbici z tropu nieprzewidzianym obrotem spraw, doszli w końcu do wniosku, że propozycja starszej pani nie jest w gruncie rzeczy pozbawiona sensu. Mrugnęli do siebie porozumiewawczo i wyszli na korytarz, gdzie rozprawiali o czymś z ożywieniem. Po chwili wrócili do salonu, ale widać było, że nie do końca uzgodnili stanowiska.

Wysoki, ociągając się, zdjął sznurek z rąk Izabeli. Starsza pani wstała i rozcierając nadgarstki ruszyła do kuchni z wysoko uniesioną głową. Zawsze trzymała się prosto, więc teraz tym bardziej nie zamierzała chować głowy w ramiona. Mały podreptał za nią, zamknął drzwi wejściowe i sprawdził hol.

- Muszę tylko wejść na górę do łazienki. Panowie wybaczą.

Wybaczyli, ale mały nie odstępował jej na krok. Anna była już za drzwiami piwnicy, jednak wciąż jeszcze ociągała się z opuszczeniem domu. Z niepokojem nasłuchiwała, jak babcia wchodzi na piętro i otwiera drzwi do jej pokoju. Potem najwyraźniej przeszła do łazienki i długo myła ręce. Po chwili zeszła na dół i z wyraźną ulgą w głosie zaczęła głośno komenderować.

- Chcecie zacząć od góry czy od dołu, panowie? Strych jest nieco zakurzony i źle oświetlony. Te wełniane kominiarki będą wam przeszkadzały w pracy. Jeśli nie mieszkacie w Komorowie i je-

steście pewni, że nasze drogi nigdy się już nie skrzyżują, to radzę porzucić ten filmowy kamuflaż i zabrać się do roboty. Co wolicie na kolację, duszonego kurczaka czy wołowe befsztyki z kartofelkami?

Duży chciał kurczaka, a mały wolał wołowinę, szybko się jednak podporządkował woli dużego, który najwyraźniej pełnił rolę przywódcy. Stało więc na kurczaku. Izabela włożyła fartuszek, podwinęła rękawy białej bluzki i zabrała się do gotowania.

Smakowity zapach dotarł aż do drzwi piwnicy. Anna wciąż jeszcze nie mogła się zdecydować, co robić. Była pod wrażeniem słów babci, która wprawdzie nigdy nie wspominała o skarbie ukrytym w domu, ale przecież mogła to być najświętsza prawda. Babcia miała swoje tajemnice i to zapewne była jedna z nich. Dziewczyna przysiadła na schodku i czujnie nasłuchiwała. Kiedy włamywacze weszli na strych, uchyliła drzwi i weszła na palcach do kuchni.

- Chwała Bogu, Aneczko, że jesteś bezpieczna -szepnęła Izabela. - Idź przez piwnicę do garażu, a potem do pani Marii, i posiedź tam, dopóki nie zadzwonię. Nie zwlekaj, idź od razu. - Lekko popchnęła wnuczkę w stronę drzwi.

- Nie dzwonić na policję? - zapytała dziewczyna, nie ukrywając zdumienia.

- Nie dzwoń. Sama sobie poradzę, a gdybym się znalazła w opałach, zgaszę światło w kuchni i w holu. To będzie znak, że trzeba dzwonić po pomoc.

- Dobrze, babciu, uważaj na siebie.

Anna zeszła po schodach i przez nikogo niezauważona wydostała się do ogrodu. Spojrzała z niepokojem na okienko od strychu oświetlone słabą żarówką. Westchnęła i zaczęła wdrapywać się na plot sąsiadki. Poła szlafroka zaczepiła o jakieś gałęzie. Dziewczyna zawisała na drucianej siatce i po dłuższych zmaganiach spadła na drugą stronę w samej piżamie. Usiłowała ściągnąć z parkanu szlafrok, ale przy każdej próbie materiał rozdzierał się coraz bardziej. Zrezygnowana porzuciła myślenie o odzyskaniu postrzępionego okrycia i ruszyła przez wysoką, mokrą od rosy trawę w stronę domu pani Marii. Po chwili obie stały przy oknie i patrzyły z niepokojem na dom Izabeli. Cierne na strychu poruszały się nieco chaotycznie.

- Tam są tylko stare skrzynie z gazetami sprzed lat, połamane krzesła i kanapy, stołki bez nóg i mnóstwo pajęczyn. Od lat nikt na strych nie wchodził. Pewnie włamywacze toną teraz w kurzu - mówiła z nieudawaną satysfakcją Anna.

- Zgaśmy światło, kochanie. Lepiej, żeby nas nie zauważyli - dodała przytomnie pani Maria. I od nogami plątały się cztery kocury, które właśnie w tej chwili zapragnęły pieszczot. - A sio maluchy. Teraz nie pora na głaskanie. Zobacz, co one tam robią. Już zeszli z góry i plądrują twoją sypialnię, Aneczko.

- Nic ciekawego tam nie znajdą. Chociaż zaraz... w rogu pokoju znalazłam kiedyś tajemniczą skrytkę pod podłogą. Obluzowane dwie klepki



które łatwo dały się podważyć. Były tam jakieś stare notatki dziadka i pudełko ze śrubkami. Nawet nie zaglądałam do środka. Nie mówiłam o tym babci, bo chciałam wykorzystać skrytkę do chowania moich skarbów. Trzymam tam swój pamiętnik i listy od jednego chłopaka. Oczywiście nie ukrywam tego przed babcią. Od paru lat tam nie zaglądałam. Byłam wtedy dziewczynką, która bardzo lubiła romantyczne tajemnice. Chyba nie znajdą moich skarbów?

- Mam nadzieję, malutka. Martwię się jednak o Izabelę. Została sama z tymi zbirami. Może jednak zadzwonimy po policję? Skoro już wiadomo, gdzie jest skarb schowany przez nieboszczyka, Panie, świeć nad jego duszą, to po co narażać Izabelę na niebezpieczeństwo.

- Jeśli babcia powiedziała, że nie trzeba, to nie róbmy tego.

- Mam lepszy pomysł. Po moim bracie został karabin. Nie, nie bój się. Nie jest prawdziwy. To taka dekoracja teatralna zrobiona z drewna. Ale z daleka wygląda jak prawdziwy. Wezmę ten karabin i ruszę z odsieczą.

- A co ja dostanę? Też chciałabym wyglądać groźnie.

- Ty zostaniesz tutaj. Nie wyjdiesz z mojego domu, dopóki rabusie będą na wolności. W razie czego wezwiesz policję, bo nie wiem, czy dwie słabe kobiety pokonają tych osiłków. Cała nadzieja w moim karabinie.

Pani Maria wyciągnęła broń z kąta pokoju i groź-

nie potrząsając głową, ruszyła do drzwi. Opuściła swoją posesję oficjalną drogą przez furtkę. Wyszła na ulicę i bezradnie stanęła przed zamkniętą od środka bramą sąsiadki. Anna natychmiast zrozumiała jej wahanie. Rozejrzała się za jakimś prowizorycznym uzbrojeniem. Dostrzegła okazały tłuczek do mięsa. Zaopatrzona w ten oręż wyszła do ogrodu, pokonała płot, podeszła cicho do własnej furtki i wpuściła bojowo nastawioną panią Marię. Potem razem sforsowały drzwi i wpadły do kuchni, gdzie ich oczom ukazał się zaskakujący widok.

Przy stole siedzieli dwaj dobrodusznie wyglądający panowie i ze smakiem pałaszowali kolację. Jeden trzymał w ręku udko, a drugi skrzydełko kurczaka. Sos spływał im po brodach i palcach. Na stole stała domowa nalewka, a Izabela, jak przystało na dobrą gospodynię, zabawiała gości rozmową.

Lufa karabinu zawadziła o framugę drzwi. Pani Maria straciła impet. Anna w samej piżamie z tłuczkiem w ręku poczuła się niezręcznie.

- Ubierz się, dziecko - zarządziła babcia. - Usiądź z nami, Mario. To są panowie, którzy przyszli mi pomóc w sprzątaniu strychu. Przy okazji odkurzyli parę książek. Z pewnością nie jadłaś kolacji. Bardzo proszę. To jest talerz dla ciebie. A ten karabin postawimy za drzwiami. Panowie wybaczą, moja sąsiadka nigdy nie wychodzi z domu bez broni. To takie stare przyzwyczajenie jeszcze z czasów wojny.

- Drugiej czy pierwszej? - zażartował Wysoki,

który zdołał już odzyskać równowagę po wstrząsie, jakiego doznał na widok uzbrojonej staruszki.

- Jeszcze cię na świecie nie było, młokosie, kiedy ja walczyłam w podziemiu o Polskę. Żebyś wiedziała, że walczę o wolność dla takich nicponi jak wy, to nie przyłożyłabym do tego ręki. Ale ojczyzna jest tylko ojczyzną i niestety mogą w niej żyć i mieszkać rozmaici ludzie.

- Mario, nie krzycz na panów. Są bardzo zmęczeni, a przed nimi daleka droga do Warszawy, a może nawet jeszcze dalej. Weźcie ze sobą resztę mięsa. Zaraz wam przygotuję paczuszkę. Praca jeszcze nie jest skończona, ale jeśli się panowie nie obrażą, wezwę już innych specjalistów. Mam nadzieję, że się dobrze rozumiemy? - Izabela spojrzała uważnie znad okularów na nieco ogłupiałych napastników. Najwyraźniej nie czuli się dobrze w towarzystwie pani Marii, która stała cały czas w pobliżu swojego karabinu i za nic nie chciała usiąść.

Z góry zeszła Anna w dzinsach i bawełnianej koszulce.

- Mam dzwonić? - zapytała, nie przekraczając progu kuchni.

Włamywacze wpadli w popłoch. Drogę do wyjścia blokowała rozczochrana staruszka, a tuż za nią stała pannica mająca swobodny dostęp do telefonu.

- Mówiłem, żeby przeciąć kabel - mruknął niski.

- Cicho, mały. To my się już pożegnamy. - Wysoki mężczyzna wstał i ucałował rękę Izabeli, dziękując przy tym za pyszną kolację. Niski po-

wtórzył te same gesty z dużo większym zapalem, ale za to mniej zręcznie. Obaj pokłonili się z wyraźną pokorą pani Marii i ruszyli do drzwi z głowami wtulonymi w ramiona. Teraz już zupełnie stracili pewność siebie.

Kiedy otwierali drzwi wejściowe, Izabela krzyknęła w ślad za nimi:

- A wasze wełniane czapeczki? Zostawiliście je zapewne na strychu. Zony będą się gniewały. Niech no któryś z was skoczy na górę.

- Niech zostaną na pamiątkę - mruknął mały i zniknął za drzwiami. Duży już był przy furtce.

Panie słuchały, jak przyspieszają kroku. Po chwili już biegli w stronę kolejki albo ukrytego w pobliżu samochodu. Wszystkie trzy wybuch-nęły naraz gromkim śmiechem i przez dobrych kilka minut nie mogły się uspokoić. Wreszcie pani Maria spytała:

- Znaleźli coś?

- Nic nie znaleźli, bo nic tu nie ma. Mąż nieboszczyk niczego nie schował na czarną godzinę, a to, co zostawił, dawno już wydałam. Ostatni złoty pieniążek sprzedałam w siedemdziesiątych latach.

- A przecież Aneczka znalazła jakąś skrytkę w swoim pokoju. Tak się martwiłam, że ją odnajdą. No, co z tobą, Aneczko?

- Nic. Właśnie wydała pani moją tajemnicę.

- Jaką tajemnicę? Nie mamy przed sobą żadnych tajemnic. Dobrze znam skrytkę w twoim pokoju, ale nigdy tam nie zaglądam. Każdy ma prawo do własnych skarbów, które ukrywa przed

światem. Ja też mam takie miejsce w domu i ona dobrze wie, jak do niego trafić, ale dobre obyczaje nie pozwalają jej na przeglądanie moich osobistych rzeczy, prawda Aneczko?

- Oczywiście, babciu. Jest dokładnie tak, jak mówiłaś.

Pani Maria pokręciła się jeszcze przez chwilę po kuchni, wreszcie doszła do wniosku, że sąsiadkom nic już nie zagraża, i poszła do siebie. Kiedy Izabela została sam na sam z wnuczką, posadziła ją przy kuchennym stole i zapytała surowo:

- O czym powiedziałaś pani Marii? Nikomu nie powinnaś zdradzać tajemnic tego domu, nawet najbliższym sąsiadom. Pierwszy raz słyszę o twojej skrytce. To z pewnością musi być nasze zabezpieczenie na czarną godzinę, o którym twój dziadek często wspominał i naprawdę nie zdążył mi powiedzieć, gdzie je ukrył.

- Babciu, nie gniewaj się na mnie. Jak na ostatnią z rodu jestem wyjątkowo niemądra i nieodpowiedzialna. W moim pokoju pod podłogą znalazłam jakieś stare papiery dziadka i pudełko z monetami, ale pani Marii powiedziałam, że wewnątrz są tylko śrubki.

- Jakie monety? O czym ty mówisz?

- Nie wiem. Stare. Chyba ruble.

- Srebrne?

- Nie mam pojęcia. Żółte. Chyba nie są ze złota?

- Wygląda na to, że ze złota. Pozamykaj dobrze drzwi. Czy garaż jest zamknięty? Teraz musisz zachować się odpowiedzialnie. To ważne. Oni

mogą wrócić. Przy drzwiach wejściowych położymy jedną szablę, a przy werandzie drugą. Anna skrupulatnie wykonała wszystkie polecenia babci. Potem razem poszły do pokoju na piętrze, odsunęły szafkę z książkami i wyjęły obluźowane klepki. Wyciągnięte ze skrytki pamiętniki i listy odsłoniły kasetkę pełną złotych rubli i kopertę z pożółkłymi dokumentami. Wśród nich był testament Szczęsnego Połońskiego, najwyraźniej sporządzony jeszcze przed opuszczeniem ojczyzny. Przez chwilę panie podziwiałały zamaszyste pismo na czerpanym papierze, opatrzonym łąkową pieczęcią. Z pobieżnej lektury wynikało niezbiecie, że Szczęsny obiecywał swojemu druhowi, niejakiemu Kalikstowi Taborskiemu, za opiekę i godny pochówek w razie nieszczęścia, jedną czwartą wszystkiego, co posiada, a resztę sprawiedliwie przekazuje swojej rodzinie, z wyrazami wdzięczności za wspaniałe dzieciństwo i pamięć o nim, kiedy szczęśliwie połączy się z Bogiem.

Babcia i wnuczka spojrzały na siebie z triumfalnym błyskiem w oczach.

- Jesteśmy bogate! - zawołała Anna i odtńczyła taniec zwycięstwa dokoła pokoju, czym mocno zaniepokoiła kocią mamę i jej dzieci. Pomruki niezadowolenia kazały dziewczynie natychmiast ściszyć głos.

- Aneczko, musisz być rozsądna. Co do spadku po przodkach, to jak wiesz, sprawa wymaga procesu i ogromnej ostrożności. Teraz już wiem, czego szukał Taborski w naszym domu. Wszyst-

ko to jest jednak palcem na wodzie pisane. Uda się albo nie uda. Pewne są tylko pieniądze leżące w tej kasetce. Starczą nam na długo. Trzeba będzie korzystnie je sprzedać, nie narażając się na niebezpieczeństwo. Kasetkę ukryjemy w tym samym miejscu, a ty masz pamiętać, że sięgniemy do niej tylko wtedy, kiedy naprawdę będziemy do tego zmuszone. I nikomu o tym nie opowiadaj, na miłość boską. Nie można kusić losu. Kto nas tu obroni? Mam nadzieję, że włamywacze uwierzyli w moją opowieść. Jeśli nie, to przyjdą tu jeszcze parę razy i będą szukali tak długo, aż znajdą.

Anna nie miała odwagi powiedzieć babci o pokrewieństwie Krzysztofa z Taborskimi. Gorączkowo szukała jakiegoś wyjścia z sytuacji, w końcu doszła do wniosku, że jednak nie powinna zatajać tej informacji. Obawiała się, że Izabela wyrzuci Krzysztofa z domu. Ta myśl nie dawała jej spokoju.

Kiedy zeszły do kuchni na herbatę, z własnej i nieprzymuszonej woli pozmywała naczynia, a potem usiadła naprzeciw babci spokojnie układającej pasjansa i zaczęła pomału, krok po kroku, relacjonować poranne wydarzenia. Izabela słuchała z roztargnieniem, ale na dźwięk nazwiska Tabor-skich podniosła wzrok znad kart i zapytała:

- Ufasz mu? Jesteś tego pewna?

- Sama nie wiem, babciu. Poradź mi, co robić. On mi się bardzo podoba. Jest dokładnie taki, jaki powinien być wymarzony chłopak. Tylko to pokrewieństwo z Taborskim spędza mi sen z powiek.

- Myślę o tym włamaniu. Czy przypadkiem nie ma to jakiegoś związku **Z** tą przeklętą rodziną? Jak widzisz, szukali testamentu, który naprawdę istnieje. Zniszczenie tych kartek otwiera naszym wrogom drogę do wielkiej fortuny. Nie wiem, czy powinniśmy przechowywać je w domu.

- Babciu, zmieniasz temat.

- Wybacz, dziecko, teraz ważniejsze jest to, co nam zagraża, niż twoje wątpliwości na temat Krzysztofa.

Izabela z głębokim namysłem zaczęła roztrząsać ten problem. Bala się o wnuczkę i o samą siebie. Dom był duży i nie miał żadnych porządnych zabezpieczeń. Niepożądani goście mogli wejść przez drzwi frontowe, przez dużą werandę i przez garaż, nie mówiąc już o oknach bez krat. Nie miały nawet psa. Jedynym obrońcą, a raczej obrończynią była kotka, teraz zajęta niemal wyłącznie swoimi dziećmi. Włamywacze bez trudu mogli tu wtargnąć i zrobić z bezbronnymi kobietami wszystko, na co im przyjdzie ochota.

Może powinny wyjechać na jakiś czas? W końcu są wakacje. Ale kto zajmie się koteczką? A monety ukryte przez męża? Nawet ich nie przeliczyły. Muszą być sporo warte.

Prawdziwe zabezpieczenie na czarną godzinę. Kochany staruszek. Zadbał o wszystko.

Izabela westchnęła i niecierpliwym gestem zebrała karty ze stolika. Zaczepiła przy tym rękawem o filizankę, która z brzękiem spadła na podłogę i była teraz smętną garstką skorup.



- Szkoda. To była moja ulubiona filiżanka z cienkiej porcelany.
  - Ja posprzątam. - Anna zerwała się z krzesła i pobiegła po miotełkę i ściereczkę. Po powrocie raz jeszcze zadała babci dramatyczne pytanie: -Czy mogę się z nim spotykać, wiedząc o jego pokrewieństwie z Taborskim?
  - Nie wiem, dziecko. Sprawia jak najlepsze wrażenie, ale sama widzisz, że w grę wchodzi jakiś legendarny spadek i ogromne pieniądze. Na pewno musisz być ostrożna. Nie zakładam, że jest w zмовie ze swoją szaloną rodziną, ale i nie wykluczam. Nie umiem jednoznacznie stwierdzić, że coś się za tym kryje. A jeśli to wielka miłość? Jakże mogłabym stanąć ci na drodze do szczęścia?
  - Jesteś kochana, babciu. - Anna rzuciła się Izabeli na szyję. - Przysięgam, że będę ostrożna. Od dziś możesz mnie traktować jak zupełnie dorosłą osobę. Taką naprawdę poważną i odpowiedzialną.
- Przed snem razem obeszły cały dom i sprawdziły, czy wszystko jest dokładnie zamknięte. Uspokojone wynikami inspekcji poszły do swoich sypialni. Koteczka jak zwykle upomniała się o wieczorną porcję pieszczot.
- Widzisz, maleńka? Wszystko jest w porządku. Wprawdzie straciłam ulubiony szlafrok, ale za to znalazłam skarb dziadka i testament Szczęsnego. Jesteśmy teraz bogate i bardzo zadowolone z siebie, a ja najbardziej z tego, że babcia nie zabroniła mi spotykać się z Krzysztofem. Chyba bym te-

go nie przeżyła. Idź do dzieci, maleńka. Dlaczego ty jeszcze nie masz imienia? Jak można nazwać prążkowaną piękność? Powinno to być szeleszczące, miłe imię. Co powiesz na... nie wiem. Porozmawiamy o tym jutro. Jestem bardzo śpiąca.

## 11

Izabela czuła się rano gorzej niż zwykle. Z trudem wstała, żeby zrobić śniadanie dla Anny. Wnuczka z niepokojem obserwowała babcię, wreszcie posadziła ją przy stole i zadysponowała:

- Dzisiaj sama zajmę się wszystkim, a ty odpocznij. Wczoraj był okropny dzień. A może zawołamy lekarza? Mam wrażenie, że nie jesteś w najlepszej formie, chociaż nie chcesz się do tego przyznać.
- To nic, źle spałam. Zaraz wszystko wróci do normy - powiedziała Izabela, ale widać było, że z trudem jej przychodzi bagatelizowanie złego samopoczucia. W pewnej chwili oparła głowę na rękę, żeby ukryć przed Anną grymas bólu.
- Zadzwońię po doktora - oznajmiła dziewczyna i nie czekając na sprzeciw, wybiegła do holu. Po rozmowie z lekarzem, który obiecał przyjść po południu, odprowadziła Izabelę do łóżka i podała wskazane przez nią lekarstwa. Przez chwilę siedziała, wpatrując się w twarz babci. Zaraz jednak musiała wyjść do kuchni, żeby wykonać dziesiątki poleceń związanych z przygotowaniem obiadu i innymi zajęciami pani domu. Na ten dzień przypadało pranie i odkurzanie pokoi na

piętrze. Wszystkie zajęcia były dokładnie zaplanowane. Najmniejsze zaniedbanie groziło chaosem i spiętrzeniem zaległości.

Annę niecierpliwiła ta pedanteria. Zajęcia domowe nudziły ją, a nawet irytowały. Nie mogła pojąć pasji, z jaką babcia smażyła konfitury i kisiła ogórki na zimę, chociaż później z przyjemnością zajadała się tymi smakołykami.

Najlepiej zostać dzieckiem i nie wychodzić z dziecinnego pokoju. Dobrze od czasu do czasu usiąść przy babci, posłuchać opowieści o dawnych czasach i pomóc przy wyjmowaniu pestek z wiśni. Nigdy nie była zmuszana do zajęć domowych. Tak było zawsze. A teraz? Jeśli babcia zacznie chorować, wszystkie obowiązki spadną na nią. Ten przyjazny, przytulny dom będzie wyłącznie na jej głowie.

Anna często myślała, że stara, obrośnięta dzikim winem willa z półokrągłym tarasem i balkonem na piętrze żyje własnym życiem, niezależnym od jej mieszkańców. Schody skrzypiały wtedy, kiedy miały na to ochotę, a dzięki maleńkim okienkom nad drzwiami światło w holu zmieniało się w zależności od pory dnia i roku. Piwnica zawsze pełna była przetworów i zapasów na zimę, lodówka chętnie prezentowała swoje zasobne w smakołyki wnętrze, szafy pyszniły się idealnie poukładaną bielizną pachnącą kwiatem lawendy, a pośród tego wszystkiego królowała babcia zawsze uśmiechnięta, starannie uczesana i ubrana w swoje nieśmiertelne klasyczne suknie.

To był świat dzieciństwa, spokojny, bezpieczny, pogodny i ciepły, pełen beztrudnych zabaw w ogrodzie i poważnych rozmów na ławeczce pod drzewem, skąd można było obserwować dom trochę szalonej sąsiadki i gromadkę kotów wygrzewających się na słońcu.

Zajęcia domowe to szczególna sztuka. Tak to już jest, że jedni ludzie mają władzę nad przedmiotami, które do nich należą, a inni są wyraźnie przez te przedmioty lekceważeni. Anna z pewnością należała do tych drugich. Na jej biurku zawsze panował nieład. Szafa, a właściwie zawartość szuflad i półek uspokajała się tylko pod czujnym okiem babci. Bluzki i hałeczki ignorowały swoją właścicielkę. Nigdy nie chciały posłusznie leżeć na swoim miejscu i często wędrowały po szafie w tajemniczy sposób.

A kuchnia? Świat sam w sobie, który dla Anny był ziemią nieznaną, ciekawą tylko w tych momentach, kiedy odczuwała głód lub zwyczajną ochotę na zjedzenie czegoś dobrego. Dziewczyna usiadła przy stole kuchennym i rozglądała się wokół z wyraźnym zaniepokojeniem. Znajome kąty, szafki i półeczki stanowiły część rzeczywistości, której na co dzień się nie zauważa. Teraz spoglądały na nią lekceważąco i niezbyt przyjaźnie. Ocknęła się z zamyślenia dopiero wtedy, kiedy w pokoju babci upadła na podłogę książka. Rzuciła się biegiem w tamtą stronę. Stała w progu w chwili, kiedy Izabela wkładała na siebie szlafrok.

- Przestraszyłaś mnie, babciu.
- Czym, kochanie? Zrobiłaś już wszystko, o co prosiłam?
- Za chwileczkę będę gotowa. Zamyśliłam się. Martwi mnie twoje zdrowie.
- Już mi lepiej. Muszę tylko trochę poleżeć, a to nie powinno cię martwić. Obierz ziemniaki, Aneczko, przygotuj mięso do uduszenia i umyj sałatę. Ja zaraz wstanę i zrobię obiad, a ty zajmiesz się swoimi sprawami.

Dzień był piękny. Początek lata zapowiadałby się wspaniale, gdyby nie zmartwienia, jakie spadły na dom w Komorowie. Anna krzątała się do południa, a po obiedzie usiadła z książką na werandzie. Lektura nie zdołała zatrzymać jej uwagi. Co chwilę wzrok porzuczał rzędy liter, wędrował po koronach drzew i po niebie w poszukiwaniu poczucia bezpieczeństwa. Dopiero telefon wyrwał ją z zamyślenia.

Dzwonił Krzysztof. Zamierzał namówić Annę na wyprawę do muzeum imienia Szczęsnego. Jednak całodzienna wycieczka nie wchodziła teraz w rachubę z powodu choroby babci. Chłopak taktownie wycofał się z tego pomysłu i zapytał, czy może przyjechać z wizytą. Anna przystała na to bez wyraźnego entuzjazmu.

Około piątej po południu pojawił się przed domem z ogromnym bukietem w dłoni. Anna z rozbawieniem patrzyła na kwiaty, ale Krzysztof nie wręczył jej wiązanki. Wprowadzony do saloniku zapytał, czy może zobaczyć się z babcią, że-

by osobiście zapytać ją o zdrowie. Spędził w pokoju Izabeli kilka minut, zabawiając starszą panią rozmową. W tym czasie Anna układała kwiaty w wazonie. Kiedy wniosła je do pokoju, delikatny zapach wypełnił całe wnętrze. Przeszli do salonu. Anna bez słowa stanęła przy oknie i dopiero po dłuższej chwili odwróciła twarz w stronę gościa.

- Mam zgodę na naszą wycieczkę do Serocka. Pojedziemy rano, a po południu będziemy z powrotem. Możemy pojechać jutro albo pojutrze. Co ty na to, Aneczko?

- Sama nie wiem. Martwię się o babcię.

- Dyrektorka muzeum serdecznie cię zaprasza. Jak widzę, nie wykazujesz nadmiernego zainteresowania swoim przodkiem. Podobno nigdy tam nie byłaś.

- To prawda. Ale jak się zapewne domyślasz, nikt nas nie zawiadomił o tym, że powstaje muzeum. Babcia przeczytała w gazecie informację o uroczystym otwarciu i stwierdziła, że powinniśmy tam kiedyś pojechać. I tak minęło parę lat. Zapomnialiśmy o muzeum i o innych problemach związanych ze Szczęsnym. Dopiero w tym roku zaczęliśmy częściej o nim rozmawiać. A co na to twój stryj? Zapewne często tam bywa.

- Oczywiście. Sam brał udział w zbieraniu pamiątek. Należy do grona założycieli muzeum i jako szczególnie zasłużona osoba bywa na wszystkich zebraniach, a nawet na posiedzeniach naukowych.

- Więc mogę tam niechcący spotkać pana Ta-borskiego? Nie jestem pewna, czy byłoby to dla mnie miłe. Słyszałam wywiad z twoim stryjem

w radiu. Przecież dobrze wie o naszym istnieniu. Nie rozumiem, dlaczego twierdził coś zupełnie odwrotnego.

- Nie przejmuj się stryjem, Aneczko. To nieszkodliwy dziwak. Dyrektorka muzeum jest niesamowitą osobą. Z pewnością będziesz się tam doskonale czuła.

Krzysztof powoli, ale skutecznie kruszył opór dziewczyny. Teraz wszystko zależało od stanu zdrowia babci. Umówili się, że za dwa dni ustalą datę wyprawy i dopiero wtedy uprzedzą o wizycie dyrektorkę muzeum.

Wieczór spędzili w znacznie lepszych humorach. Babcia wstała przed kolacją i dała się namówić na małą przechadzkę po ogrodzie. Właśnie wtedy złożył im wizytę zapowiedziany lekarz. Zbadał Izabelę w jej pokoju, wypisał recepty, zalecił odpoczynek i pobiął do następnych pacjentów.

Był ciepły letni wieczór, wymarzona pora dla zakochanych. Anna z Krzysztofem siedzieli na ławeczce pod drzewem i rozmawiali półgłosem o planach na przyszłość, o życiu, o sobie i o sprawach, które w tym momencie wydawały im się niezmiernie istotne. Czy może być coś ważniejszego od rozmowy z ukochaną osobą, którą chce się poznać jak najlepiej i... wziąć w ramiona?

Anna czekała na tę chwilę, a Krzysztof odwlekał ją w nieskończoność, jakby się obawiał, że zostanie odtrącony. Potem ruszyli w stronę domu. Pokonanie kilkunastu metrów, jakie dzieliło ich od drzwi, zajęło im co najmniej pół godziny. Za-



glądali sobie w oczy, żeby po raz kolejny sprawdzić, czy to, co się dzieje, jest prawdą. Pocałunki Krzysztofa wprawiły Annę w stan radosnej euforii. Obawy, jakie dręczyły ją w ostatnich dniach, znikły zupełnie. Teraz liczył się tylko Krzysztof, jego silne ramiona i pełne zachwyty oczy. Dziewczyna gorączkowo powtarzała w myślach: „Jest pięknie. Niech to trwa jak najdłużej”.

## 12

Izabela po dwu dniach odpoczynku poczuła się na tyle dobrze, że sama zaczęła namawiać Annę na wycieczkę do Serocka. Po długich targach ustalono termin. Najbliższa środa, czyli dwa dni później, miała być dniem wyprawy w krainę przeszłości.

W tym czasie wnuczka starała się odwrócić uwagę babci od niepokojących spraw. Jednak w przeddzień wyjazdu do Serocka, cały wieczór poświęciły na rozmowy i wspomnienia. Raz jeszcze obejrzały zawartość skrytki, przeliczyły pieniądze i przestudiowały testament Szczęsnego. Skarby wróciły na swoje miejsce.

- Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś, babciu?

- Sama nie wierzyłam w istnienie tej skrytki. Świętej pamięci twój dziadek, kiedy mówił o zabezpieczeniu na czarną godzinę, zawsze przy tym żartował. W końcu doszłam do wniosku, że w ten sposób pocieszał samego siebie, bo niewiele mógł mi pozostawić. Wszystkie jego oszczędności dawno już wydałam.

- A może to skarby pradziadka?

- Niewykluczone. Tego już nie zdołamy wyjaśnić.

- Czy naprawdę chciałaś wykorzystać tych złodziejasków do odszukania skarbu, w którego istnienie sama nie wierzyłaś?

- Aneczko, to taka gra z losem. Na wszelki wypadek. Łudziłam się, że może jednak jest w tym domu coś, o czym nie wiem. A wprawny złodziej szybciej wpadnie na pomysł, gdzie można coś ukryć, niż ktoś taki jak ja. Gdyby znaleźli skarb, nie mogłabym liczyć na to, że się ze mną podzieli. Musiałabym zawiadomić policję, albo ty byś to zrobiła. Po to umówiłam się z tobą na świetlne sygnały.

- A nie wydaje ci się to dziwne, że jak na fachowców podejrzenie szybko wyrazili zgodę na tę „współpracę”? Moim zdaniem to nie byli prawdziwi włamywacze, tylko ludzie wynajęci przez Taborskiego.

Izabela drgnęła na dźwięk tego nazwiska.

- Nie mówmy już o tym.

- Trzeba było jednak zawiadomić policję -upierała się Anna.

- Teraz na to za późno. Wszelki ślad po nich przepadł i mam nadzieję, że więcej tu nie wrócą. Porozmawiajmy o ważniejszych sprawach. Musisz wiedzieć, co robić, gdyby mnie zabrakło.

- Babciu...

Izabela stanowczo przerwała wnuczce.

- Dziecko, widzisz przecież, że nie czuję się dobrze. Mam już siedemdziesiąt sześć lat i wszystko trzeba brać pod uwagę. Na szczęście zabezpieczenie na czarną godzinę już się znalazło. W moim

sekretarzyku jest kartka z nazwiskiem i adresem adwokata, który zajmie się sprawą spadku po Szczęsnym. To uczciwy człowiek i zrobi wszystko, co będzie w jego mocy. Testamentu nie będę pisała, bo w sposób oczywisty jesteś jedyną spadkobierczynią. Gdybyś była nieco starsza i bardziej poważna, mój niepokój o twój los nie byłby tak wielki. Jak ty sobie beze mnie poradzisz?

- Babciu...

- Nie przerywaj, Aneczko. Pamiętaj, zanim podejmiesz jakąkolwiek ważną decyzję, zastanów się pięć razy. Czasem pomyśl, co ja bym zrobiła, będąc na twoim miejscu. Słuchaj samej siebie bardzo uważnie. Wierzę w twoją intuicję, którą z pewnością odziedzyczyłaś po mnie. Bądź ostrożna, dziecko. Pragnę, żebyś była szczęśliwa. Tym razem wnuczka nie protestowała. Słuchała wszystkich ostrzeżeń z uwagą i niepokojem. Chciała jednak jak najprędzej skończyć tę rozmowę. Wreszcie ucałowała babcię na dobranoc i pobiegła do swojego pokoju.

Ogromnie podniecona tym, że spędzi niemal cały dzień z Krzysztofem, znów zrobiła straszny bałagan w szafie z ubraniami. Do późnej nocy mierzyła sukienki i bluzki, żeby ostatecznie pogodzić się na nowo z dżinsami i sportową koszulką. W przygotowaniach pomagała jej koteczka, która krytycznym wzrokiem oceniała każdą nową propozycję. Kocięta już przejrzały na swoje maleńkie oczka i rozpoczęły proces poznawania świata. Kiedy

matka opuszczała przytulną półkę w szafie, maleństwa piszcząc próbowały podążać za nią. Anna musiała teraz bardzo uważać, żeby nie nadebrać jakiejś puszystej kuleczki, która bez cienia strachu na chwiejnych nóżkach przemierzała pokój.

Kocia mama podziwiała kolejne kreacje dziewczyny, nie tracąc z pola widzenia swoich spacerujących po podłodze dzieci. W pewnej chwili jedno z maleństw doszło do drzwi balkonowych. Kotka dopadła je natychmiast i mimo głośnych protestów zniosła do szafy i ułożyła na pościeli. Inne maluchy bacznie obserwowały tę scenę i nie czekając na interwencję matki, same ruszyły w drogę do swojego domu.

## 13

We środę wczesnym rankiem Anna w pośpiechu jadła śniadanie, nerwowo spoglądając na zegarek. Punktualnie o ósmej zabręczał dzwonek przy bramie. Niedojedzona bułeczka upadła na talerz. Dziewczyna energicznym ruchem odsunęła krzesło i wybiegła przed dom. Po chwili czule witała się z Krzysztofem.

Chłopak nie przyjął zaproszenia babci na śniadanie. Koniecznie chciał zdążyć na najbliższą kolejkę. Zapewniał obie panie, że dzięki temu wróci do domu wczesnym popołudniem. Anna zarzuciła na ramię swój mały plecak, ucałowała Izabelę i już ruszała w stronę drzwi, kiedy dostrzegła niepokój w jej oczach.

- Uważaj na siebie, dziecinko. - Starsza pani zrobiła ledwie dostrzegalny znak krzyża nad głową Anny i serdecznie pożegnała Krzysztofa, od którego tym razem nie żądała zapewnienia, że będzie się opiekował jej wnuczką.

Wyszli z domu. Anna pomachała ręką na pożegnanie, zanim sylwetka babci znikła za gęstym żywopłotem oddzielającym ogród od ulicy. Zapowiadała się wspaniała pogoda. Perspektywa całego dnia, jaki mieli wyłącznie dla siebie, napawała

ich beztroskim uniesieniem. Wbiegli na stację niemal w ostatniej chwili, wsiedli do kolejki i od razu zatonęli w rozmowie pełnej czułych słówek i przekomarzań. Przesiadka w Warszawie zajęła im dosłownie parę minut. Do Serocka dotarli tuż po jedenastej. Jednocześnie doszli do wniosku, że muzeum jest ostatnim miejscem, w jakim chcieliby się teraz znaleźć. Szli powoli w stronę ozdobnej kamieniczki, na ścianie której wisiała ogromna tablica. W końcu trzeba było przekroczyć próg szacownej instytucji. Zaspany woźny sprzedał im bilety i kazał włożyć ogromne filcowe ochraniacze na buty. Zanosili się śmiechem, przymierzając za duże pantofle, które co chwila spadały im z nóg. Człapiąc niezgrabnie, pokonali wysokie schody ozdobione secesyjną balustradą i znaleźli się w dużej sali wystawowej.

Ogromne portrety bohatera narodowego spoglądały na gości z wyraźną dumą i lekceważeniem. Anna stała jak zahipnotyzowana, doszukując się podobieństwa do swojego ojca i dziadka, których zdjęcia spoczywały w rodzinnym albumie. Miała wrażenie, że odnajduje wspólne cechy w oczach i w zarysie głowy. Jednak fryzura i szaty z epoki utrudniały mozolne porównania.

Przodek pysznił się na portretach, a w zamkniętych na solidne zamki gablotach leżały poźółkłe dokumenty, tabakierki, pistolety, szable, a nawet fragmenty ubrań z dawnych czasów. Pamiątek po Szczęsnym było niewiele, większość eksponatów

z tamtej epoki pochodziła ze zbiorów prywatnych kolekcji ówczesnych.

Anna zatrzymała się przy miniaturze przedstawiającej młodą kobietę o subtelnych rysach twarzy. Z podpisu wynikało, że portrecik przedstawia narzeczoną bohatera narodowego. Ze zdumieniem przeczytała te słowa. Po chwili spojrzała na Krzysztofa, nie ukrywając podniecenia.

- Przecież on nie miał narzeczonej! Skąd takie informacje?

- A może miał. Nie ma jednak wątpliwości, że nie zdążył się ożenić przed wyjazdem do Ameryki. Jak pamiętasz, musiał uciekać z kraju po nieudanym rokoszu.

- Więc tak mało wiem o moim przodku? To wzruszająca historia. Pewnie ta panna była bardzo nieszczęśliwa. Ciekawe, co się z nią potem działo?

W tym momencie pojawiła się w sali drobna kobieta w granatowym kostiumie, który w założeniu miał podkreślać elegancję i powagę właścicielki, w rzeczywistości jednak czynił z niej osobę podobną do działaczki społecznej w stylu z lat pięćdziesiątych. Gładko zaczesane ciemne włosy z przedziałką na środku i duże okulary potęgowały jeszcze to wrażenie.

Kobieta szła, a raczej biegła truchcikiem, nie rozglądając się na boki. Mijając Annę, nawet nie podniosła wzroku. W tym momencie Krzysztof uklonił się nisko.

- Witam panią dyrektor. Jesteśmy. Przywio-



złem ostatnią z rodu. Oto Anna Połowska we własnej osobie.

Kobieta w granatowym kostiumie stanęła jak wryta. Po chwili klasnęła w dłonie, obdarzyła ich ceremonialnym uśmiechem i zaczęła szybko mówić:

- Dziecko drogie, co za zaszczyt nas spotkał. Coś takiego. Chodźmy do mojego gabinetu. Zapraszam na kawę, a potem na obiad. Zaraz zwołam cały personel muzeum. Mój Boże! Te kapcie! Zdejmijcie, na Boga, te kapcie. Nie jesteście tu na prawach zwyczajnych turystów. Przecież pani jest naszym honorowym gościem!

Monolog pełen egzaltowanych okrzyków ciągnął się bez końca. Anna weszła do ogromnego gabinetu pełnego mebli z epoki bohatera. Zaraz potem wniesiono kawę i ciasteczka. Dyrektorka nikogo nie dopuszczała do głosu. Dziewczyna wyłączała się co jakiś czas i z uwagą studiowała twarz swojej rozmówczyni. Próbowwała określić jej wiek i nie zdołała tego dokonać. Dziwna pani mogła mieć równie dobrze trzydzieści, jak i pięćdziesiąt lat.

- Bo rozumiecie, moi mili, to bardzo ważne, żeby patrioci w Stanach mieli pewność. Chcą wiedzieć, kto będzie pochowany pod pomnikiem bohatera. Musimy uzyskać niepodważalny dowód, którego nikt nie poda w wątpliwość. - Dyrektorka z zapalem stuknęła ręką w stół dla potwierdzenia wagi swoich słów. - Dlatego ta ekshumacja jest taka ważna. Myślę, że już w przyszłym tygodniu uda się ją przeprowadzić. Osobiście zadzwonię do pani, drogie dziecko, i wszyscy spotkamy

się na miejscu. Może nawet przyślę po was samochód, a teraz zapraszam na obiad.

Anna chciała pochodzić po miasteczku tylko w towarzystwie Krzysztofa. Próbowwała na różne sposoby wykręcić się od przyjęcia niezbyt kuszącej propozycji, ale w końcu uległa energicznej dyrektorce.

- Wszystko na koszt mojej firmy, drogie dziecko. To fundusz reprezentacyjny, tym razem zużytkowany jak najśluszniej. Proszę nie odmawiać. Szczęsnemu byłoby bardzo przykro, a ja uznałabym to za afront.

Dosłownie w sąsiedniej kamienicy mieściła się niewielka, zaciszna restauracja. Anna i Krzysztof zostali wtłoczeni za stół, a dyrektorka przystąpiła do zamawiania licznych zakąsek i dań, nie zważając na protesty gości. Wydawało się, że jej egzaltowany sopran nigdy nie ucichnie.

- Tylko spokojnie, moje dzieci. Zaraz wszystko będzie na stole. Czy pani Anna wie już o naszym ostatnim nabytku? Nie? Otóż jeden z naszych współpracowników jest na tropie testamentu Szczęsnego Połńskiego. To ten sam słynny testament, który jest przedmiotem sporu rodzinnego. Nasz kolekcjoner obiecał, że kiedy tylko wejdzie w jego posiadanie, natychmiast sprzeda nam oryginał albo przynajmniej kopię ofiaruje w prezencie.

Anna zbladła i musiało to być bardzo widoczne, skoro Krzysztof natychmiast zapytał, co się z nią dzieje. Nic nie odpowiedziała, ale w tym momencie dotarło do niej, że testament tkwi w skrytce pod podłogą, a babcia została sama w domu i być

może potrzebuje pomocy. Tymczasem ona wysłuchuje tych bezsensownych rewelacji i objada się na koszt muzeum. Przeprosiła wszystkich, wstała i nieco chwiejnym krokiem doszła do szatni. Na szczęście można było stąd zadzwonić do Komorowa. Rozmowa z Izabelą podniosła ją na duchu. Nic złego się nie wydarzyło. Błagała babcię o ostrożność, jeszcze raz przestrzegła przed nieproszonymi gośćmi i wróciła do stolika.

Tu w dalszym ciągu toczyła się ożywiona rozmowa. Dyrektorka snuła opowieści o testamencie, o jego autentyczności, o procesie, a nawet o drzewie genealogicznym. Marzyła o opracowaniu takiego drzewa, które mogłoby być ozdobą sali wystawowej. Niestety brakowało jej kilku ogniów czy też gałązek, jak kto woli. Zwróciła się więc do Anny z prośbą o ustalenie tych szczegółów.

Genealogiczne rozważania w najmniejszym stopniu nie przemawiały do wyobraźni dziewczyny. Stanowczo wolałaby spacerować w tej chwili po parku, wtulając twarz w ramię Krzysztofa. Już zaczęła dziękować za serdeczne przyjęcie i zasłaniać się koniecznością szybkiego powrotu do domu, kiedy dyrektorka z krzykiem niemal przywołała ją do porządku. Musiała pogodzić się z faktem, że przed deserem z pewnością nie będzie mogła opuścić restauracji.

Teraz przyszła pora na badanie gruntu. Dyrektorka zaczęła sondować, czy Anna jest w posiadaniu jakichś pamiątek po bohaterze, bo przecież wszystko, co miało z nim jakikolwiek związek,

powinno znaleźć się w muzeum. Oczywiście są pieniądze na wykupienie takich skarbów. Wystarczy tylko podać cenę.

Anna niewiele wiedziała o domowym archiwum. Nigdy się tym nie interesowała. Nie miała jednak zamiaru ujawniać swojej niewiedzy, toteż spokojnie tłumaczyła pani dyrektor, że po upływie dwustu lat trzeba mieć dużo szczęścia, aby natrafić na jakiś autentyk. Tyle pokoleń minęło, tyle powstań i wojen przetoczyło się w międzyczasie, że trudno mieć nadzieję na znalezienie czegokolwiek. W Komorowie nie ma żadnych pamiątek. W każdym razie nic jej o tym nie wiadomo. Może oczywiście zapytać babcię, ale niewiele z tego wyniknie, bo nigdy przed sobą nie miały tajemnic. Anna zawsze pasjonowała się historią, więc gdyby w domu były jakieś przedmioty o zabytkowej wartości, nikt by tego przed nią nie ukrywał.

Dyrektorka patrzyła na dziewczynę z dezaprobatą i z pewnym niedowierzaniem. Wreszcie powiedziała:

- A my tu mamy takiego cudotwórcę, który często dostarcza nam pamiątki po bohaterze. Miniatura narzeczonej to też jego dar. - W tym momencie Anna spojrzała na Krzysztofa z zamiarem wymiany porozumiewawczych uśmiechów i ze zdumieniem dostrzegła, że teraz on zrobił się blady. Dyrektorka nudziła dalej: - Pan Taborski jest naszym dobroczyńcą. Mamy od niego szablę, siodło, sakiewkę, tabakierkę, ten maleńki portrecik, a teraz dostaniemy testament.

Widelczyk od tortu z brzękiem upadł na talerz. Krzysztof zbladł jeszcze bardziej. Wstał i zaczął się żegnać z dyrektorką. Podziękowali za wszystko, obiecali pomoc przy odtworzeniu drzewa genealogicznego i wybiegli na ulicę.

Krzysztof nie ukrywał zdenerwowania. Nie chciał mówić o tym, co wytrąciło go z równowagi. Trzymał Annę mocno za rękę i jak małą dziewczynkę ciągnął w kierunku stacji, nie zważając na protesty. Dzięki temu zdążyli na najbliższy pociąg. W drodze do Warszawy chłopak prawie się nie odzywał. W skupieniu wyglądał przez okno, jakby stamtąd mogła nadejść pomoc w rozwiązaniu jakiejś bardzo trudnej sprawy.

Anna była wyraźnie zawiedziona. Nie mogła się doczekać wycieczki do Serocka. To miał być miły dzień w towarzystwie chłopaka, który nieustannie ją adorował i otaczał opieką.

Gdzie się podziały roześmiane, zachwycone oczy, czułe spojrzenia i pogodne przekomarzenia? Dyrektorka nieświadomie, a może zupełnie świadomie wyciągnęła na światło dzienne upiory, które oboje z takim trudem próbowali okiełznać i ukryć w najciemniejszym kącie. Anna nie bez oporów zaufała Krzysztofowi na nowo, oddzielając jego postać od podejrzanego stryja Taborskiego, a teraz ten stryj znów wszedł między nich i panoszył się nawet tu, w przedziale pociągu jadącego w stronę Warszawy.

Humory nie poprawiły się nawet w kolejce WKD. Anna wzdychała co chwilę i ze zniecier-

pliwieniem spoglądała w gęstniejący za oknem mrok. Wreszcie nie wytrzymała.

- O co chodzi, Krzysiu? Czy zrobiłam ci jakąś przykrość?

- Nie, Aneczko. Po prostu jestem trochę zmęczony. Miałem pilną pracę do zrobienia. Żeby wygospodarować wolny dzień na tę wyprawę, musiałem zarwać trzy noce. Zmęczenie dopadło mnie dokładnie podczas obiadu. Już jest trochę lepiej. Jednak będziesz musiała mi wybaczyć, że nie zostanę u ciebie na kolacji. Nie czuję się zbyt dobrze.

- Masz gorączkę? Może się przeziębilesz?

- Nie wiem, Aneczko, i nie chcę o tym myśleć.

W ponurych nastrojach dojechali do Komorowa. Było już ciemno. Wiatr poruszał gałęziami drzew. Szum liści nasilał się i przycichał. Pantofle Anny stukały o bruk. Latarnie rzucały rdzawe światło na ulicę i parkany. Było pusto i nieprzyjemnie. Krzysztof wyciągnął rękę i chwycił dziewczynę za ramię. Zatrzymana w pół kroku omal nie straciła równowagi.

- Czy ty mi ufasz, Anno? - zapytał głośno.

- Tak, chyba tak - odpowiedziała cicho, zaskoczona jego gwałtownością. - Puść mnie, to boli.

- Musisz mi ufać! Pamiętaj, ja nigdy cię nie zawiodę. Jesteś dla mnie najważniejsza. Położyła głowę na jego ramieniu, a on przytulił ją mocno do siebie. Szli potem objęci w pół, starając się odsunąć jak najdalej chwilę powrotu do domu.

## 14

Kiedy skręcali w ulicę, przy której stał dom babci, Anna zauważyła karetkę pogotowia ratunkowego jadącą w ich stronę. Serce zabiło jej mocniej. Nie mogła zlokalizować miejsca, z którego ruszyło auto. W końcu doszła do wniosku, że nie mogła tego zauważyć, bo kiedy weszli w ulicę, ambulans był już w ruchu. Samochód przejechał obok nich. Nagle Anna puściła ramię Krzysztofa i biegiem ruszyła przed siebie.

Zatrzymała się dopiero przed bramą i zamarła w bezruchu. Wszystkie światła na parterze były zapalone. Krzysztof był już obok niej. Wyciągnął rękę i pchnął furtkę. Stare zawiasy wydały przeciągły jęk.

Na progu domu stanęła pani Maria rozczochrana bardziej niż zwykle. Ręce jej drżały. Z holu wybiegła koteczka i zaczęła ocierać się o nogi Anny, wyraźnie zadowolona z jej powrotu.

- Dziecko drogie... - Sąsiadka w dramatycznym geście wyciągnęła rękę przed siebie. -  
Takie nieszczęście.

- Co się stało? - zapytał Krzysztof.

- Izabela... Nie, nie mogę. Wejdźcie do środka, wszystko wam opowiem.

- Czy babcia źle się czuje? - Anna wciąż jeszcze stała na ganku. - Było tu pogotowie\*
- Parne Krzysztofie! Proszę wprowadzić Anecz-kę do kuchni i posadzić ją przy stole, a ja zrobię herbatę i zaraz wszystko opowiem

Posłusznie wykonali polecenia sąsiadki, chociaż nie bez pewnych oporów.

Zniecierpliwienie coraz bardziej dawało znać o sobie. Anna jednak nie żądała natychmiastowych wyjaśnień, jakby się obawiała chwili, w której usłyszy prawdę. Kiedy wypila herbatę, pani Maria usiadła po drueiei stronie stołu i zaczęła mówić:

- Niech pan, panie Krzysztofie, dopilnuje, żeby Aneczka trzymała się dzielnie. - Znów zawiesiła głos i popatrzyła z troską na wtuloną w krzesło dziewczynę. - Izabela nie żyje, świeć Panie nad jej duszą Anna patrzyła przed siebie niewidzącymi oczami. Nic do niej nie docierało. Słowa, które padły przed chwilą były nic nie znaczącą informacją, zdaniem pozbawionym treści. Czowała się tak, jakby ktos uderzył ją w głowę czymś ciężkim i pozbawił możliwości reagowania na rzeczywistość Była w szoku.

Dopiero po chwili rozumiała sens usłyszanych słów i zaczęła głośno płakać. Dławiły ją, była przerażona, zrozpaczona i oszołomiona: Krzysztof gładził ją po włosach, tulił i pocieszał. Nagle odepchnęła go stanowczym gestem i zaczęła zadawać pytania.

- Co się stało, pani Mario? Może to jakaś pomyłka?



- Weź, dziecko, jakieś lekarstwo na uspokojenie. Tu masz taką maleńką pastylkę. Popij herbata.
- Nie chcę, nie mam zamiaru się uspokajać, dopóki nie poznam prawdy.
- Prawdy nikt nie zna. - Pani Maria zaczęła snuć opowieść. - Umówiłam się z Izabelą, że wpadnę do niej po południu na kawę. Wiedziałam, że ciebie, Aneczko, nie będzie, więc chciałam sprawdzić, czy wszystko tu jest w porządku. Tym bardziej, że Izabela ostatnio niedomagała. No więc koło czwartej dzwonię do bramy raz, drugi, i nic. Cisza. Furtka była niedomknięta, co mnie trochę zaniepokoiło. Wiecie przecież, że Izabela bardzo dbała o bezpieczeństwo i zawsze zamykała bramę. Zresztą jest tu domofon, można więc otworzyć furtkę bez wychodzenia z domu.
- I co dalej? - dopytywał się Krzysztof.
- No więc weszłam do środka, bo drzwi też były otwarte. Nie chciałam być wścibska, ale niepokój o Izabelę uwolnił mnie od skrupułów. Wchodzę dalej, zaglądam tam i tu, wołam, i nic. Wchodzę do kuchni i co widzę? Przy stole siedzi Izabela, ale jakoś tak dziwnie pochylona do przodu. Głowę miała opartą o blat, jedna ręka leżała na poręczy krzesła, a druga zwisała bezwładnie. Myślałam, że zasnęła, więc podeszłam bliżej. Mogła spaść z tego krzesła i potłuc się nie daj Boże. Zaczęłam ją budzić, ale nie reagowała. Wtedy wzięłam ją za rękę, żeby sprawdzić puls, lecz puls nie było. Próbowałam ją cucić, ale też bez rezultatu. Wpadłam w panikę. Zadzwoiłam po

pogotowie. Przyjechali, zbadali i stwierdzili zgon. Pytałam, czy można ją było uratować. Rozumiecie, chciałam wiedzieć, czy mogłam zrobić coś jeszcze, a nie zrobiłam, bo się na tym nie znam. Wiecie, jakieś sztuczne oddychanie albo masaż serca. Ale oni powiedzieli, że Izabela nie żyje już co najmniej od dwu godzin, więc nie powinnam mieć do siebie najmniejszej pretensji.

- Gdzie jest teraz pani Izabela? - zapytał Krzysztof.

- Jak to gdzie? W swoim pokoju. Ułożyliśmy ją bardzo ostrożnie. To jeszcze nie koniec, kochani. Boże drogi, Boże, co ja tu przeżyłam. Oni pytali, gdzie jest rodzina nieboszczki. O, przepraszam, Aneczko. Ciebie nie było, więc kazali mi tu poczekać i o wszystkim cię powiadomić. Przed Izabelą stała filiżanka z kawą. Oglądali ją, wachali i doszli do wniosku, że coś się tu nie zgadza. Zaraz ma przyjechać policja i lekarz sądowy. Kazali niczego nie ruszać. Ale to fantastyczna bzdura. Kto mógłby otruć Izabelę? Wszyscy ją lubili, co mówię, kochali. Powiedz, Aneczko, sama. Przecież to bzdura. Powiedz coś wreszcie. Panie Krzysztofie, ktoś tu musi być rozsądny.

- Gdzie jest ta kawa?

- Nie wiem. Izabela zazwyczaj piła kawę z porcelanowej filiżanki. Resztkę napoju przelano do jakiejś fiolki, a filiżankę ktoś włożył do plastikowej torebki. Pewnie będą badali odciski palców. Wszystko leży w holu, przygotowane dla policji. Kazali mi tego nie ruszać.

Krzysztof wyszedł do przedpokoju i przyniósł zawiniątko.

- Czy to jest to?

- Tak mi się wydaje - odparła pani Maria.

W tym momencie koło nóg Krzysztofa stanęła koteczka. Kiedy zrobił krok do tyłu, żeby odnieść paczuszkę na miejsce, potknął się o zwierzaka. Próbował złapać równowagę, żeby nie upaść i jednocześnie nie rozdeptać kotki. Świeżo wypastowany parkiet nie ułatwił mu tego zadania. Runął na podłogę razem z zawiniątkiem. Chrząst pękającej filiżanki świadczył o tym, że dowody zbrodni, jeśli w istocie do niej doszło, w tym momencie przestały istnieć. Na podłogę wypłynęła strużka brązowego płynu i zaczęła wsiąkać w szczelinę pod progiem.

- Po co to ruszałeś?! - krzyknęła Anna.

- Chciałem się upewnić, że wszystko jest na swoim miejscu.

Pani Maria wyciągnęła rękę do Krzysztofa, ale chłopak wstał samodzielnie i wyraźnie zawstydzony podał sąsiadce poszarpaną paczuszkę.

- Odłożę to na półeczkę. Może uda się jeszcze jakoś wykorzystać ten zniszczony dowód.

Popatrz, Aneczko, tu stoi druga filiżanka. Czy to nie dziwne? Izabela wszystkie swoje ulubione filiżanki trzymała w salonie, w tej oszklonej szafce. Wyjmowała je tylko wtedy, kiedy przychodził ktoś z wizytą. Po wyjściu gości zawsze odnosiła je na miejsce, a tu zobacz, umyta filiżanka na półce, gdzie nigdy, pod żadnym pozorem nie mogła

by się znaleźć. Ja myślę, że tu ktoś był. Na pewno umył swoją filiżankę i postawił ją gdziekolwiek dla zatarcia śladów.

- Pani Mario, to są skutki oglądania kryminałów w telewizji. Proszę się tym za bardzo nie przejmować. To żaden dowód. - Krzysztof próbował odzyskać twarz po kompromitacji, jaka przed chwilą miała miejsce. - Dokąd idziesz, Aneczko? - Podbiegł do dziewczyny, która z twarzą zapuchniętą od płaczu wstała z krzesła i ruszyła w stronę holu.

- Muszę zobaczyć się z babcią.

- Pójdę z tobą, kochanie.

- Ani się waż! - krzyknęła i ruszyła w stronę pokoju Izabeli.

- Niech pan da jej spokój. Musi się biedactwo z tym oswoić.

Anna weszła do sypialni babci i przez chwilę stała przy drzwiach nieruchomo. Nigdy nie miała do czynienia ze śmiercią w tak bezpośredni sposób. Rodzice zginęli, kiedy była małą dziewczynką. Pamiętała tylko pogrzeb, uroczystą mszę i muzykę, która odgradzała ją od realności trumien na katafalkach. Nie kojarzyła ich z rodzicami, których twarze powoli zacierały się w pamięci. Wtedy ciepłe dłonie babci spoczywały na jej ramionach. Było jej smutno, ale nawet na chwilę nie straciła poczucia bezpieczeństwa. A teraz te ciepłe, czułe dłonie spoczywały bezwładnie na pościeli. Izabela leżała w swojej klasycznej sukni na staroświeckim łóżku z rzeźbionego drewna i wy-

glądała tak, jakby odpoczywała po dobrym obiedzie. Tylko te pantofle na nogach. Nigdy nie położyłaby się na łóżku w pantoflach. Anna podeszła powoli do babci, uklękła przy wezgiłowiu i złożyła dłonie jak do modlitwy.

Jakiś czas trwała w bezruchu. Myślała o wielu dobrych chwilach, które razem przeżyły. Uświadomiła sobie, jak bardzo kochała babcię, i że bez niej jest bezradna, osamotniona i zdana tylko na własne siły. Rozpacz mieszała się z przerażeniem, a nawet z żalem do babci, że zostawiła ją samą na świecie.

Za wcześnie, za szybko, bez uprzedzenia, bez pożegnania, bez kilku zdań, choćby na kartce, które wskazałyby jej właściwą drogę postępowania. Za mało rozmawiały o przeszłości, niczego nie zaplanowały. Wciąż wydawało się, że jest za wcześnie na poważne rozmowy. A teraz Anna została sama ze wszystkimi dorosłymi sprawami.

- Babciu, kochana babciu - szlochała - dlaczego zostawiłaś mnie teraz, w takiej trudnej chwili? Nie jestem bezpieczna. Tam, za drzwiami jest cały nieprzyjazny świat, przed którym mnie ochraniałaś. Babciu, musisz mnie wysłuchać. Babciu...

W drzwiach stanął Krzysztof. Powoli podszedł do dziewczyny i położył na jej ramionach ciepłe dłonie. Był to ten sam gest, jaki zapamiętała z dzieciństwa. Powoli odwróciła głowę i wtuliła twarz w zagłębienie na ramieniu chłopaka. Głaskał ją po głowie, po plecach i powtarzał jakieś bezsensowne słowa pocieszenia w rodzaju „wszystko będzie dobrze”, chociaż nic już nie mogło być dobrze,

skoro babci zabrakło. Klęczeli razem zaplątani w swoje ręce i powtarzali w kółko on swoją, ona swoją kwestię. Dopiero dzwonek do bramy przerwał tę dramatyczną scenę. Pani Maria wpuściła ekipę policjantów, za którą podążał lekarz sądowy w białym fartuchu z okazałą walizeczką w dłoni.

- Gdzie jest denatka? - zapytał jakiś wyższy rangą funkcjonariusz.

- Ciszej, panie władzo. Tam jest wnuczka zmarłej. Proszę nie używać takich słów - zaprotestowała sąsiadka.

Policjant, nie zważając na słowa nagany, zaczął zadawać rutynowe pytania. Wprowadzona do holu ekipa przystąpiła do swoich czynności. Pani Maria musiała zrelacjonować przebieg wydarzeń, a funkcjonariusz wszystko zapisywał w notesie.

- Czy było włamanie?

- Chyba nie - powiedziała. - Wprawdzie brama i drzwi były uchylone, ale śladów włamania nie zauważyłam.

- Czy z domu zginęły jakieś cenne rzeczy?

- Nie wiem. To może wiedzieć tylko Anna, to znaczy wnuczka zmarłej. Proszę zachowywać się taktownie. Przed chwilą straciła najbliższą osobę. Pan rozumie, jej rodzice zginęli w wypadku kilkanaście lat temu. Wychowywała ją babcia.

- To znaczy, że wnuczki nie było w domu, kiedy to się stało?

- Nie było.

- A kim jest ten młody człowiek?

- Nazywam się Krzysztof Kalicki.

- Dokumencik proszę.

Krzysztof nieco skonsternowany sięgnął po dowód osobisty.

- Kim pan jest dla rodziny?

- Jestem chłopakiem Anny.

- Czy to prawda? - Pytanie było skierowane do dziewczyny, która z twarzą zapuchniętą od płaczu stała w progu kuchni, podtrzymywana przez panią Marię. Spojrzała nieprzytomnie na policjanta, nie rozumiejąc pytania. Kiedy powtórzył je raz jeszcze, kiwnęła głową bez zastanowienia. Krzysztof pospieszył z wyjaśnieniami.

- Byliśmy na wycieczce w Serocku. Po powrocie do Komorowa przywitała nas pani Maria tą straszną wiadomością.

- Co pan tu teraz robi?

- Odprowadziłem Annę do domu i...

- Rozumiem - padła sucha odpowiedź. - Znał pan osobiście denatkę?

- Słucham? - Chłopak ostrym tonem usiłował zwrócić uwagę funkcjonariuszowi, żeby nie używał niestosownych słów w obecności Anny. Ten jednak, skoncentrowany na swoim zadaniu, nie bawił się w subtelności. W drzwiach stanął lekarz.

- Nie mogę postawić diagnozy. Mógł to być naturalny zgon, ale nie wykluczam otrucia.

Tylko sekcja może to wykazać. Zabieramy ciało?

- Jeszcze moment. Dla mnie ważne jest ustalenie, czy doszło do rabunku. Jeśli nie, to szukanie motywu nie ma żadnego sensu. Pani Anno, niech

się pani skoncentruje. Proszę przejść po domu i zobaczyć, czy nie brakuje czegoś cennego.

No, proszę. Niech pan pomoże panience - zwrócił się do Krzysztofa.

Przez chwilę Anna spoglądała na wszystkich niewidzącym wzrokiem, z trudem koncentrując uwagę.

- Aha, a gdzie są domniemane dowody? - zapytał lekarz. - W zgłoszeniu była mowa o jakiejś zatrutej kawie i filiżance z odciskami palców. Gdzie to jest?

Pani Maria podała lekarzowi zmiętą paczuszkę.

- Potłukła się - powiedziała, bezradnie rozkładając ręce.

- No tak. Te dowody na nic się już nie przydadzą. - Na stół zostały wysypane drobne kawałki potłuczonej filiżanki. - A gdzie kawa? - Nikt nie musiał odpowiadać na to pytanie, bo z torebki wypadła potłuczona fiolka i dołączyła do smętnych resztek na ceracie.

- Kto był na tyle nieostrożny czy też na tyle sprytny, żeby zniszczyć dowody? - zapytał surowo funkcjonariusz.

Obie kobiety spojrzały na Krzysztofa, który po chwili wahania powiedział:

- To ja. Kotka weszła mi pod nogi i straciłem równowagę.

- Ale po co, na miłość boską, brał pan to do ręki? Po co?! Czy miał pan w tym jakiś osobisty interes?

Anna popatrzyła na chłopaka z niepokojem.



Znów zaczęły ją dręczyć wątpliwości. A jeśli chciał w ten sposób ochronić swojego szalonego stryja? No tak! Oni jednak mogą być w zмовie. Ale przecież Krzysztof okazuje jej tyle uczucia. To prawda. Mógł jednak udawać, licząc na naiwność zakochanej dziewczyny. W grę wchodzą ogromne pieniądze. I ten testament pod podłogą. Dokument, który został obiecany dyrektorze muzeum. A jeśli tak, to skąd Taborski wiedział, że Anny nie będzie dzisiaj w domu? Tylko Krzysztof mógł mu o tym powiedzieć? Czy dlatego tak dziwnie zachowywał się w drodze powrotnej? Był wyraźnie wytrącony z równowagi. Dlaczego? Chłopak przestępował z nogi na nogę.

- Chciałem się upewnić, że wszystko jest w porządku.

- To nie pańska sprawa! Dowody są dowodami i bez potrzeby nie należy brać ich do rąk. - Funkcjonariusz podniósł głos, nie licząc się ze słuchaczami. - Niech pan zostanie tu, w kuchni, a ja razem z panią obejrzę mieszkanie.

Wziął dziewczynę pod ramię i ruszyli na obchód domu. Zaczęli od pokoju Izabeli. Anna popatrzyła na ściany, zajrzała do szafy, do sekreta-rzyka i tu dostrzegła, że w zazwyczaj porządnie poukładanych papierach panuje spory nieład. Wysunięte teczki i skoroszyty świadczyły o tym, że ktoś tu w pośpiechu grzebał. Zastanawiała się przez chwilę, czy babcia mogła sama zrobić taki bałagan, i doszła do wniosku, że to niemożliwe.

Funkcjonariusz nie czekając na jej komentarz,

wezwał pomocnika i kazał zdjąć odciski palców z ulubionego sekretarzyka starszej pani. Poszli potem do salonu, w którym nic się nie zmieniło, i wreszcie Anna z bijącym sercem stanęła na progu swojego pokoju. Natychmiast spojrzała na biblioteczkę. Nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek ją ruszał. Podeszła bliżej. Drobiazgi i bibeloty leżały na swoim miejscu. Nie sposób było przesunąć ciężkiej szafki bez naruszenia jej zawartości. Uspokojona odetchnęła z ulgą i odsłoniła roletę. Otworzyła drzwi na taras i w świetle, jakie zalało betonową podłogę, dostrzegła niedopałek papierosa.

- Tu nikt nie pali - powiedziała załamującym się głosem. - W każdym razie rano tego nie było.

Wezwany gestem pomocnik fachowo wsunął niedopałek do foliowej torebki.

- Nie potrafię tak na poczekaniu stwierdzić, że nic nie Zginęło. Muszę mieć na to trochę czasu.

- Ale ja już wiem, że śledztwo będzie konieczne. Ktoś tu był. Trzeba zabrać ciało na sekcję. Jutro ktoś się z panią skomunikuje. Myślę, że już będziemy wiedzieli, co dalej robić z tą sprawą. Dziś damy pani spokój, lecz nie obejdzie się bez poważnej rozmowy. Liczymy na pani pomoc. Proszę się nie denerwować. Już my ustalimy sprawcę.

Anna schodziła na dół, czując zamęt w głowie. Ekipa składała już swoje sprzęty.

Przyniesiono nosze. Ktoś nakrył Izabelę kocem w kratkę. Widok nieruchomej postaci po raz kolejny wprowadził dziewczynę w osłupienie.

- Lepiej, żeby pani nie była teraz sama. My się odmeldowujemy. - Najwyższy rangą funkcjonariusz przyłożył rękę do daszka, zasalutował i odwrócił się w stronę drzwi. Za nim ruszyła reszta policyjnej ekipy.

Anna podbiegła do progu, jakby chciała pomachać komuś bliskiemu, ale jej uniesiona dłoń bezsilnie opadła na dół.

## 15

Pani Maria zamknęła drzwi i podjęła próbę zapanowania nad sytuacją.

- Bez względu na okoliczności Aneczka musi coś zjeść. Będzie potrzebowała dużo siły jutro i pojutrze. Nie można tak bez jedzenia. Chodźcie do kuchni. Trzeba coś postanowić.

- Nic nie przełknę - protestowała Anna. - Proszę mnie nie zmuszać. Może Krzysztof coś zje. Zaraz, zaraz, przecież chciałeś jak najprędzej wrócić do domu, bo źle się czujesz. Jeszcze zdążysz na kolejkę. Proszę, tu jest twoja torba podróżna.

- Aneczko, nie mogę stąd teraz odejść. Nie mogę zostawić cię bez opieki.

- Owszem, możesz - głos dziewczyny brzmiał stanowczo. - Nie jestem sama, jak widzisz. Mogę liczyć na panią Marię. Jutro i tak będziesz musiał tu przyjechać, bo oczekuję od ciebie wyjaśnień. Policja też może być nimi zainteresowana. Jeśli nie wyjdiesz teraz, to uprzedzam, że zaraz po nich zadzwonię.

- Anno, tak nie można. Usiądźmy na chwilę. Pani Mario, jestem bardzo głodny. Poproszę o jakąś kanapkę.

- A jeśli jedzenie w lodówce też jest czymś za-

trute? Nie boisz się? Z pewnością był tutaj twój stryj, pan Taborski. Jestem pewna, że to on otruł babcię. Teraz tylko ja mu przeszkadzam w przejęciu całego spadku po Szczęsnym. Dlaczego nie miałby za jednym zamachem pozbyć się babci i wnuczki? Proszę, tu jest lodówka. - Anna zaczęła wygarniać zapasy prosto na podłogę.

- Dziecko drogie, o czym ty mówisz? Tyle dobrego jedzenia zmarnowałaś. Przestań, jesteś w szoku. Wezmę to dla kotów.

- No właśnie. To dobry pomysł - podjął Krzysztof. - Zobaczymy, jak się poczują koty po tym zatrutym, jak mówisz, jedzeniu. To przecież nonsens.

- O nie, moje dzieci. Nie będzie żadnych eksperymentów na kotach. Już trzy przypląciły to życiem. Masz rację, Aneczko. Jedzenie może być zatrute. Że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Poczekajcie, przyniosę coś od siebie. Chyba przez chwilę możecie zostać bez mojej opieki?

Nie czekając na odpowiedź, sąsiadka wyszła z domu. Krzysztof przysunął swoje krzesło do stołu i stanął obok dziewczyny.

- Wierz mi, kochanie, to nie mógł być mój stryj. On nigdy by tego nie zrobił. To łagodny, trochę zwariowany staruszek. On nie umiałby skrzywdzić nawet muchy.

- Ale wszystko wskazuje na to, że próbował już kiedyś otruć babcię, a ofiarą przez przypadek padły koty.

- Nie przyszło ci do głowy, że to jakiś ponury zbieg okoliczności? Koty mogły zjeść trutkę na

jednej z okolicznych posesji. Przypuszczani, że nie wszyscy sąsiedzi są zachwyceni obecnością tak ogromnej liczby kocurów w pobliżu ich domów. Każdy mógł je poczęstować zatrutym jedzeniem. Nie możesz wyciągać pochopnych wniosków. To żadne dowody, nawet nie poszlaki.

- A starszy pan, który przebierał się za sprzedawcę warzyw i agenta ubezpieczeniowego? Co o tym powiesz?

- Mogło ci się zdawać. Mam wrażenie, że stryjek nigdy nie był w Komorowie. Zresztą, mam tu gdzieś jego zdjęcie. Zaraz ci pokażę. Sama się przekonasz, że to nie on. - Krzysztof wyjął portfel i długo przeglądał zawartość, ale zdjęcia nie znalazł.

- No widzisz! - odezwała się Anna z kpina w głosie. - Nie masz zdjęcia, a tymczasem zniszczyłeś dowody, bo ochraniaś swojego stryja. Co za przedziwny zbieg okoliczności. Nie musiałeś oglądać tej paczuszki. Nikt cię o to, do diabła, nie prosił! - dziewczyna zaczęła krzyczeć, zdumiona siłą własnego głosu. - Nie ufam ci! Jesteś zamieszany w tę sprawę. Jak mogę ci wierzyć po tym wszystkim? Nie możesz tu zostać na noc. A jutro opowiem o tym policji. Już dawno powinnam to zrobić. Nie zamierzam dłużej czekać. Dyrektorka mówiła coś o testamencie Szczęsnego. Twój stryj obiecał przekazać ten bezcenny dokument do muzeum, a przecież on go nie ma.

- Skąd wiesz?

Anna zmieszała się, bo w tym momencie dotarło do niej, że dla własnego bezpieczeństwa po-

winna trzymać język za zębami. Spojrzała prosto w oczy chłopaka i spokojnie mówiła dalej:

- Bo ten dokument nie istnieje i nigdy go nie było. Jeśli twój stryj przyniesie cokolwiek do muzeum, to historycy bez trudu rozpoznają fałszerstwo. Poza tym nabiorą podejrzeń, co do autentyczności innych pamiątek po bohaterze. Wkrótce może się okazać, że w utrzymanym na koszt państwa muzeum nie ma nic, co kiedykolwiek należało do Szczęsnego. Portrety robione na zamówienie w późniejszych czasach nie mają żadnej wartości. Zarówno dyrektorka muzeum ze swoim funduszem reprezentacyjnym, jak i twój stryj, niejaki Taborski tylko żerują na pamięci po moim przodku. A wszystko to na koszt podatników. Okropność.

- Więc mówisz, że nie ma testamentu?

- Nie! Niepotrzebnie wkradałeś się w moje łaski, niepotrzebnie odbyłeś tyle męczących podróży do Komorowa! Wpuszczono cię do tego domu jako człowieka godnego zaufania, a ty naruszyłeś zasady, których nie wolno naruszać. Szukałeś tu czegoś, co do ciebie nie należy. Jak mogłeś mnie oszukiwać przez tyle czasu? Jesteś podły i podstępny.

- Anno, prosiłem cię dzisiaj na ulicy i wtedy, pamiętasz, na cmentarzu, żebyś mi zaufała bez względu na to, co się wydarzy. Obiecałaś mi, a teraz mnie oskarżasz. Ja wiem, masz podstawy, żeby mi nie wierzyć, ale jestem gotów uklęknąć przed tobą i przysięgać na wszystkie świętości, że nie mam z tym nic wspólnego. Kocham cię nad życie i jedyne, czego pragnę, to twojej wiary we

mnie. Jak mam cię uchronić przed niebezpieczeństwem, skoro mi nie ufasz?

- Nie klękaj, bo obrażasz w ten sposób Boga. Nie wierzę ci. Jesteś' fałszywy, zakłamany, podły! Przez ciebie umarła moja babcia i teraz zostałam sama na świecie. - Dopiero w tym momencie Anna z całą mocą uświadomiła sobie, że tak jest naprawdę. Rozczuliła się nad własnym losem i znów zaczęła głośno szlochać.

Krzysztof wykorzystał moment słabości dziewczyny i upadł przed nią na kolana. Ujął jej ręce w swoje duże ciepłe dłonie i zaczął okrywać je pocałunkami. Kiedy próbowała się wyrwać, wstał i chwycił ją w objęcia. Po krótkiej walce skapitulowała. Kołysał ją w ramionach i przemawiał do niej najczulszymi słowami.

W tym momencie wróciła pani Maria z torbą pełną jedzenia.

- Zaraz wam zrobię kanapki. Pan, młody człowieku, pojedzie do domu, a ja zajmę się Aneczką. Świętej pamięci nieboszczka z pewnością by sobie tego życzyła. Tu nie jest bezpiecznie. Jak sobie przypomnę ten napad, cośmy go tu mieli nie tak dawno, to aż mi się włos jeży na głowie. Aneczka nic panu nie powiedziała? Parę dni temu włamało się tu dwóch takich w czarnych kominiarkach. Narobili mnóstwo zamieszania, ale my, dzielne kobiety, zrobiłyśmy z nimi porządek.

- Aneczko, czy to prawda?

Dziewczyna milczała, za to sąsiadka z zapalem ciągnęła swoją opowieść.



- Na szczęście mój karabin jeszcze tu stoi za drzwiami. Już ja cię obronię przed każdym napastnikiem, gołabczko. - Pani Maria spojrzała zaczepnie w stronę Krzysztofa.

- Jaki karabin? - spytał chłopak niepewnie.

- To wyłącznie moja sprawa. Porządny karabin, z czasów rewolucji październikowej. Taki to potrafi sam wystrzelić, nie daj Panie Boże. O, tu jest kanapka i soczek w kartoniku. Bierz to, chłopcze, na drogę i zmykaj.

- Anno, powiedz coś. Pozwól mi tu zostać. Pozwól mi wszystko wyjaśnić. Porozmawiaj ze mną. - Krzysztof podjął ostatnią próbę przekonania dziewczyny.

- Jutro, Krzysztofie. Jutro będzie na to czas. Jeśli chcesz, to przyjedź z samego rana. Ale teraz wybac. Muszę pozbierać myśli. Chcę zostać tylko z panią Marią. Idź, proszę - powiedziała to miękko, pieszczotliwie niemal.

Chłopak pokłonił się nisko obu paniom i wyszedł z domu bez ofiarowywanego mu zawiniątka z kanapką i soczkiem. Anna usiłowała zmierzyć się z rzeczywistością, ale nic jej z tego nie wychodziło. Patrzyła bezradnie na panią Marię i nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu.

- Dziecinko, zrobię ci kąpiel, pościelę łóżko i zdrzemnę się trochę w gabinecie twojego dziadka z karabinem pod ręką. Chwała Bogu, że nie zdradziłaś temu chłopcu, co to za karabin. Gdyby wiedział, że to tylko dekoracja teatralna... No i co z tego? Grunt, że jest skuteczna. Już niejed-

nego przestraszyłam tak, że uciekał gdzie pieprz rośnie. Weźmiesz teraz proszek nasenny, umyjesz się i pójdziesz spać. Wszystkie trudne sprawy odłożmy do jutra. Wzięła Annę pod ramię i jak małe dziecko poprowadziła do łazienki.

## 16

Od śmierci Izabeli minęły trzy dni, a śledztwo wciąż nie było zakończone. Lekarze przeprowadzali jakieś dodatkowe badania, których wyniki wciąż budziły wątpliwości. Krzysztof pilnował Anny od rana do wieczora. Robił zakupy, gotował obiady, podawał dziewczynie herbatę, kiedy siedziała w milczeniu na werandzie. Pozwalała się obsługiwać jak udzielna księżna. Zdawkowy uśmiech na jej twarzy nie wróżył nic dobrego, ale Krzysztof nie zwracał sobie tym głowy. Wieczorami, niczym wyrzut sumienia, zjawiała się pani Maria, która sprawdzała, czy wszystko w porządku, pytała o nowe wiadomości i pilnowała, żeby chłopak wracał na noc do Warszawy. Czasem urządzała demonstrację siły i z karabinem na ramieniu obchodziła całą posesję, pilnie uważając, żeby Krzysztof nie zobaczył z bliska zabytkowej broni.

Po raz kolejny prowadzący śledztwo funkcjonariusz złożył Annie wizytę i wypytywał szczegółowo o znajomych, którzy mogli mieć do Izabeli jakieś pretensje. Nic z tych rozmów nie wynikało. Tym razem policjant usiadł z dziewczyną na werandzie, dał się poczęstować herbatą i zaprosił

do rozmowy Krzysztofa. Razem próbowali znaleźć przyczynę nieszczęścia, do jakiego doszło w tym domu.

- Dlaczego nikt nie zgłosił tego włamania, o którym najwyraźniej niechcący wspomniała pani Maria? Co wy tu ukrywacie? Przecież może wam zagrażać ogromne niebezpieczeństwo. Czy nie wystarczy jedna ofiara? Czekacie na następną? Wprawdzie nic się wtedy nie stało, bo panie dzielnie poradziły sobie ze wszystkim, ale mogło się stać. Krzysztof patrzył z niepokojem, jak filiżanki podskakują na stole w rytm uderzania dłonią o blat. Funkcjonariusz miał potrzebę podkreślenia w ten sposób wagi swoich słów. Wreszcie przerwał mu nieco za długi monolog.

- Czy to czasem nie wiąże się w jakiś sposób z tym spadkiem po bohaterze Połońskim? Zapewne pamięta pan ze szkoły to nazwisko? Szczęśny Poloński, ten sam, który walczył u boku Waszyngtona.

- A, ten Poloński. - Policjant gorączkowo przeszukiwał pamięć. - Coś słyszałem, ale szczegółów nie pamiętam. Co on ma wspólnego z tą sprawą?

- To był przodek pani Izabeli, no i Anny oczywiście. Podobno zostawił po sobie spadek w Ameryce, o który spierały się potem dwie rodziny. Ja uważam, że to tylko i wyłącznie legenda. Ale ludzie mogą sądzić, że tu, w tym domu znajdują się jakieś prawdziwe skarby. Być może właśnie dlatego ktoś się tutaj włamał.

Anna uważnie obserwowała Krzysztofa. Skoro sam zaczął mówić na ten temat, to pewnie uznał, że nie ma nic do ukrycia. Postanowiła włączyć się do rozmowy.

- Tak, tak. Dwa zwaśnione rody. „Nad Kapule-tich i Montekich domem.” To jednak tylko literatura. Czy pan wie, panie władzo, że przed panem siedzą przedstawiciele obu zwaśnionych rodów? Ten oto chłopak jest spokrewniony z Taborskimi, którzy co najmniej od trzech pokoleń walczą z moją rodziną o spadek? Ale cóż, on twierdzi, że mnie kocha. Czy tak jest w istocie, Krzysztofie?

Chłopak był wyraźnie skonsternowany. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy.

- Ależ Aneczko! Pana interesuje wyłącznie śledztwo. Widzi pan, Anna uważa, że w tę sprawę zamieszany jest mój stryjek. Rzeczywiście zawsze pasjonowały go dzieje rodziny Połońskich i często wspominał o legendarnym spadku. Jednak on od tygodnia leży w domu, bo cierpi na korzonki czy też na dyskopatię, nie wiem dokładnie, bo nie pytałem o szczegóły, więc nie mógł mieć nic wspólnego z tymi tragicznymi wydarzeniami. Dziś rano dzwoniłem do stryja. Jego córki zapewniły mnie, że cały tydzień spędził w łóżku, co jest dla nich szczególnym utrudnieniem, bo chory stryj jest bardzo niecierpliwy, a nawet nieznośny i dokuczliwy. Stale ktoś musi przy nim czuwać. To starszy pan grubo po sześćdziesiątce. Może nawet koło siedemdziesiątki. Obawy Anny, a nawet podejrzenia są zupełnie nieuzasadnione.

Sam pan widzi, że to niedorzeczność. Nikt nie zabija ludzi z powodu legend rodzinnych.

- Wszystko jest możliwe, młodzieńcze - odparł filozoficznie funkcjonariusz. - Ja się już niejednego napatrzyłem w życiu. Można zabić z powodów znacznie błahszych. Niewiele wiesz o tych sprawach, młody człowieku. Ale jak widać, twój stryj najwyraźniej nie maczał w tym palców.

Anna spoglądała uważnie to na jednego, to na drugiego mężczyznę, wreszcie klasnęła w dłonie i zawołała:

- W takim razie kto otruł babcię? Sama to zrobiła?

- Jeszcze nie wiadomo, czy została otruta. Nie dotarł do mnie raport z wydziału medycyny sądowej. Dopóki nie będę miał go w rękę, nie można zacząć przygotowań do pogrzebu. Przed bramą pojawił się motocykl. Po chwili przy furtce stanął wysoki policjant w kasku. Krzysztof wpuścił nowego gościa, który szukał tu swojego szefa. Policjanci przez moment szeptali na osobności. Wreszcie prowadzący śledztwo funkcjonariusz podszedł do Anny.

- Pani Polońska, jest już zgoda na pogrzeb. Można rozpocząć przygotowania, ale śledztwo nieprędko się skończy. Sekcja wykazała, że pani Izabela została otruta - oznajmił oficjalnym tonem.

- Jak to? - zawołał Krzysztof.

- Tak, młodzieńcze. Herbicydy. Zapewne były w tej nieszczęsnej kawie. Czy pani babcia przechowywała w domu jakieś chemikalia?

- Nie, nic o tym nie wiem. Myślę, że nie.

- Więc została otruta. - Policjant był wyraźnie tym poruszony. - Mój Boże, co za los ją spotkał. Tak lubiłem pani babcię. To była dama z klasą. Zawsze pozdrowiła człowieka, zamieniła parę słów, zapytała o żonę i dzieci. Nie to co inni. Aż trudno w to wszystko uwierzyć. Ale na mnie czas. Jutro rano proszę się zgłosić na komendę po zaświadczenie, z którym pójdzie pani do urzędu po akt zgonu.

- Czy ja mogę przyjść zamiast Anny? Chciałbym ją wyręczyć w miarę możliwości.

- Jeśli pani Polońska nie ma nic przeciwko temu, to bardzo proszę.

Dziewczyna skinęła odruchowo głową, a potem wstała i poprosiła policjanta w kasku o chwilę rozmowy na osobności. Zaprowadziła go do kuchni, gdzie opowiedziała w skrócie, co się wydarzyło kilkanaście dni temu, kiedy babcia po raz pierwszy zasłabła, a wkrótce potem na posesji sąsiadki zdechły trzy koty. Poprosiła o zabranie zamrożonego kota do laboratorium. Zdumiony funkcjonariusz nie był pewien, jak lekarze zareagują na propozycję przeprowadzenia sekcji kota, zszedł jednak z Anną do piwnicy i wziął zawiniątko włożone do sporej plastikowej torby. Obiecał, że nie wspomni o tym przy zebranych na ganku gościach, pożegnał się i wyszedł przed dom, gdzie jeszcze przez chwilę konferował ze swoim zwierzchnikiem.

Anna wróciła na wiklinowy fotel i znów zastyg-

ła w bezruchu. Wydawało się, że nic nie słyszy i nie widzi, a otaczająca rzeczywistość jest jej całkowicie obojętna.

W tym momencie w bramie stanęła pani Maria, której dziś wcześniej niż zwykle zebrało się na pokaz siły. Nie patrząc w stronę werandy, ruszyła na obchód posesji z nieodłącznym karabinem na ramieniu. Dziś nawet ozdobiła broń porządnym bagnetem, który połyskiwał nad jej głową niczym błyskawica. Szła sobie niefrasobliwie, zaglądając pod krzaki. W pewnej odległości podążał za nią policjant w kasku, a na końcu biegł truchcikiem jego przełożony.

Nieświadoma niczego kobieta podeszła do domu od strony garażu i szarpnęła za klamkę, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Kiedy zamierzała kontynuować wędrówkę, wyrósł przed nią młody policjant, zasalutował i poprosił o dokumenty. Starsza pani w pierwszej chwili podskoczyła jak oparzona. Wszystkiego mogła się spodziewać, tylko nie widoku stróżów bezpieczeństwa publicznego. Szybko jednak odzyskała animusz i odparowała:

- A cóż to, panie władzo, czy pan myśli, że ja przychodzę do sąsiadki z dokumentami w kieszeni? I co to pana może obchodzić? Ja tu jestem legalnie, mam upoważnienie jeszcze od nieboszczki Izabeli, Panie świeć nad jej duszą. Więc czego ode mnie chcecie? - Teraz pani Maria używała już liczby mnogiej, bo zza krzewów wyłonił się drugi policjant. - Czego chcecie, przecież mnie znacie. To



ja, Maria od kotów i wszelkiej porzuconej przez ludzi zwierzyny. Wszyscy mnie tu znają.

- No tak, pani Mario. Ale tu chodzi o karabin. Czy ma pani pozwolenie na broń?

- Cicho, ciszej panowie. - Kobieta gestem przywołała funkcjonariuszy bliżej, dając im do zrozumienia, że chce powiedzieć coś niezwykle ważnego. - Nikt nie może o tym wiedzieć

- szeptała pełnym napięcia głosem. - To jest atrapa z drewna. Zobaczcie. Nie chcę, żeby ten młody człowiek czuł się tu zbyt pewnie. Teraz tylko ja dbam o małą Aneczkę.

Policjanci podziwiali przez chwilę imitację, po czym zwrócili ją właścicielce.

- Niech pani jednak weźmie pod uwagę, że to niebezpieczna zabawa. Pani sąsiadka została otruta. Ta broń, prawdziwa czy nieprawdziwa, może spowodować nieszczęście.

-Jakie nieszczęście? Nieszczęście już się stało. Ja tym nikogo zabić nie mogę, ale skutecznie postraszyć na pewno, i to jeszcze jak! Zaraz, zaraz, otruta? Dobrze, że wyrzuciłam całe jedzenie z lodówki. To biedne dziecko również mogłoby zginąć.

I tu pani Maria zdała relację ze swoich poczynań, a na deser dołożyła opowieść o otrutych kotach. Potem wszyscy razem ruszyli w stronę werandy, gdzie Anna i Krzysztof w milczeniu spoglądali na siebie. Karabin został przy garażu, żeby pilnie strzeżona tajemnica nie wyszła zbyt prędko na jaw.

- No cóż. Wszystko jest w najlepszym porządku. Pani Maria ma pozwolenie na broń, a my na

razie niczego więcej tu nie dokonamy. Zatem do zobaczenia.

Policjanci odjechali starym, rozklekotanym motocyklem z białym zawiniątkiem przyczepionym do bagażnika. Krzysztof poszedł do kuchni robić kolację, a Anna z sąsiadką zostały na werandzie. Z tarasu na górze dobiegały piski kociąt zaganianych do pokoju przez nadopiekuńczą matkę.

- A czy ty pamiętasz o koteczce, Aniu? Karmisz ją?

- Ależ tak, pani Mario. Karmimy ją razem z Krzysztofem. Niedługo maluchy zaczną jeść same. Proszę się nie martwić. Nikt jej tu nie skrzywdzi.

- Dobrze, dziecko, dobrze. Ja tylko tak pytam. Masz tyle zmartwień, więc nie byłoby w tym nic dziwnego, gdybyś zapomniała. Ale ty jesteś prawdziwa Połonońska, więc byłoby to do ciebie niepodobne. Trzymaj się, dziecko. Wieczorem wrócę jak zwykle, żeby wypłoszyć twojego chłopaka. No, to idę po mój karabin. - Poglądziła dziewczynę po głowie i poszła do swoich spraw.

## 17

Msza żałobna była wyjątkowo uroczysta. Zaproszona sopranistka śpiewała wspaniale, organy odzywały się raz po raz, a proboszcz pięknie zęgnął zasłużoną dla całej parafii Izabelę.

W świątyni zebrało się dużo ludzi. Anna po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że babcia była osobą znaną w Komorowie. Najwyraźniej cieszyła się nie tylko powszechnym szacunkiem, ale i sympatią, o czym świadczyły niezliczone wiązanki kwiatów. W drodze na cmentarz wnuczka szła tuż za trumną, podtrzymywana pod ramię przez Krzysztofa. Tuż za nimi kroczyła pani Maria w dziwnym kapeluszu, dzięki któremu nie było widać, że jest jak zwykle bardzo rozczochrana.

Dziesiątki osób składały Annie kondolencje, ofiarowując pomoc i oparcie. Wzruszona tym ogromnie nie mogła powstrzymać łez, choć przyrzekła sobie, że nie będzie pokazywała ludziom zapłakanej twarzy. Krzysztof podawał jej chusteczki do nosa i dyskretnie trzymał się na uboczu, żeby w niczym nie krępować zrozpaczonej dziewczyny.

Po pogrzebie wrócili razem do domu. Sąsiadka nakłoniła Annę do wypicia kieliszka koniaku i kazała jej się położyć. Krzysztof przymknął kuchen-

ne drzwi i zaczął przygotowywać obiad. Wyczerpana ciężkimi przeżyciami wkrótce zapadła w drzemkę. Wszystko było dla niej takie nowe, przerażające i przykre. Jeszcze nie umiała myśleć o przyszłości bez babci. Nie wiedziała, co robić z wakacjami, jak żyć, za co i po co. Na szczęście mgiełka snu odgrodziła ją od wszystkich zmartwień i niepokojów. Kiedy otworzyła oczy, za oknem zapadał już zmierzch. W drzwiach stał Krzysztof i patrzył na nią z czułością. Nie wiedziała, od jak dawna czuwał nad jej snem.

- Obudziłaś się nareszcie. Wszystko jest już gotowe. Nakryłem stół w salonie. Przyszła też pani Maria. Chodź, odświeżysz się i zejdziemy na dół.

Anna bez słowa przyjęła podaną rękę, wstała i dała się zaprowadzić do łazienki. Kiedy zeszła na dół, salon był pełen światła. Na stole stały przekąski, wśród których królowały grzybki i ogórki z babcinych zapasów. Poczula, że jest głodna. Jeszcze przed paroma minutami nawet nie mogła myśleć o jedzeniu, ale teraz apetyt dał o sobie znać. Przywitała się z sąsiadką i usiadła. Po chwili na stole stanęła waza z pysznym krupnikiem, a po niej pojawiło się drugie danie i deser. Anna zaczęła jeść z wielkim smakiem. Pani Maria i Krzysztof wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Jest pan czarodziejem, młodzieńcze - oświadczyła sąsiadka. - Gdzie się pan tego wszystkiego nauczył?

- Samotny mężczyzna powinien wszystko umieć, bo życie jest pełne niespodzianek.

Pani Maria tym razem zapomniała o czujności. Przez cały wieczór okazywała Krzysztofowi sympatię, zasypując go komplementami. W końcu doszła do wniosku, że Anna powinna być wdzięczna losowi, za takiego kandydata na męża. Około dziesiątej, lekko się zataczając po wypiciu nadmiernej ilości pysznego likieru, sąsiadka poszła do swojego domu pełnego oswojonych kotów. Wkrótce potem pogasły światła w jej oknach. Krzysztof usiadł na kanapie obok Anny i zaczął z nią rozmawiać o przyszłości. Słuchała go, potakując czasem głową, ale tak naprawdę niewiele do niej docierało.

- Słuchaj, Aneczko, musisz sprawdzić, czy dostajesz rentę po rodzicach. Jeśli tak, to jesteś w pewnej mierze niezależna. Nie wiem, czy to jest wystarczająca suma. Nie mam pojęcia, ile kosztuje utrzymanie domu. Zwłaszcza zimą. Trzeba to sprawdzić, kochanie. Myślę, że nie powinnaś sprzedawać tego domu. Poszukamy jakiegoś sposobu, żeby wszystko zostało tak, jak dawniej. Można wynająć jeden lub dwa pokoje, dzięki czemu będziesz miała dodatkowe pieniądze. Jeśli pozwolisz, ja się wszystkim zajmę.

- Jestem zmęczona. Muszę się położyć.

- Dobrze, kochanie. Idź na górę. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, zostanę w gościnnym pokoju. Ale jeśli wolisz być sama, wrócę do Warszawy.

W oczach Anny pojawił się strach. Za nic nie chciała zostać sama w pustym domu.

- Zostań, proszę - powiedziała i weszła powoli na schody. W połowie drogi stanęła, spojrzała w stronę Krzysztofa i uśmiechając się swoim dawnym, pogodnym uśmiechem, dodała: - Zobacz, czy kotka ma mleko w swojej misce. A może trzeba pokazać mleko maluchom?

- Zaraz przyniosę spodeczek na górę. Jeszcze się nie kładź.

Po chwili razem klęczeli na podłodze i patrzyli, jak kocięta nieporadnie krążą wokół spodeczka. Anna umoczyła palec w mleku i posmarowała pyszczek jednego z maluchów. Różowy języczek skwapliwie zlizął z brody białą kropelkę. To samo spotkało inne kocięta. Niebawem wianuszek malców otaczał spodeczek. Pyszczyki wpadały do środka za głęboko. Mleko było wszędzie, tylko nie tam, gdzie trzeba. Mokre łapki zostawiały ślady na podłodze, a otrzepywanie futerka okazało się zajęciem, które wywoływało szereg następnych katastrof. Kocie dzieci traciły równowagę i przewracały się na boki.

Niezwykle trudna lekcja picia mleka została zakończona barszkowaniem na podłodze. Maluchy wchodziły na siebie, łapały maleńkimi zębami uszy lub ogony rodzeństwa, wykazując przy tym dużo zapału, pomysłowości, a nawet poczucia humoru. Anna śmiała się do łez, obserwując rozkoszne maleństwa. W końcu kocia mama zarządziła odwrót do domu. Dzieci natychmiast ruszyły chwiejnym krokiem w stronę szafy, gdzie czekała je wieczorna toaleta i porcja matczynego mleka.

Anna wytarła zdeptaną małymi łapkami podłogę, wyprawiła Krzysztofa z pokoju i po szybkim prysznicu padła na łóżko. Próbowwała się uporać z ogromnym smutkiem i przygnębieniem, usilnie szukając w myślach czegoś, co mogłoby się kojarzyć z poczuciem bezpieczeństwa. Wreszcie znalazła. Ta chwila spędzona z kotami uzmysłowiła jej, że tak naprawdę, mimo wszystkich zagrożeń i niebezpieczeństw, życie nadal ma smak i wielką wartość. Trzeba je tylko na nowo oswoić i nauczyć się samotności albo przyjąć to, co ofiarowuje jej Krzysztof.

O świcie zbudziły ją piski kociąt. Otworzyła oczy i zobaczyła Krzysztofa, który spał na przyniesionym ze strychu dziecięcym materacyku, ułożonym na podłodze tuż przy jej łóżku. Był przykryty jakimś cieniutkim kocem. W pierwszym odruchu chciała przepędzić go z pokoju, ale po chwili z czułością poprawiła na nim koc, a potem odwróciła się na drugi bok i zapadła w spokojny sen.

## 18

Rano tuż po przebudzeniu Anna przypominała sobie, że Krzysztof spędził noc na podłodze obok jej łóżka. Otwierała oczy bardzo powoli, jakby nie chciała spłoszyć obrazu, który być może tylko jej się przyśnił. Odwróciła głowę i ze zdumieniem stwierdziła, że jest sama w pokoju. Na Podłodze nie było żadnych śladów po legowisku koło szafy stał spodeczek ze świeżym mlekiem, a drzwi na taras były otwarte. Przez niewielką szparę w zasłonach wpadał do środka strumień światła. Z ogrodu dobiegał śpiew ptaków.

Anna przeciągnęła się leniwie, włożyła szlafrok i zeszła na dół. Zajrzała do pokoju gościnnego, do kuchni, na ganek, ale Krzysztofa nigdzie nie było. Uśmiech znikł z jej twarzy. Poczła się jak małe dziecko, które bardzo długo było nadąsane, a kiedy wszyscy poszli, poczuło się samotne i opuszczone. Łzy popłynęły znów po policzkach.

Usiadła na ganku z filiżanką kawy. Chciała ułożyć jakiś plan działania na najbliższe dni, ale nie mogła się na tym skupić. Zaczęła coraz bardziej uzalać się nad własnym losem, a łzy spływały po jej twarzy jedna za drugą. Musiała wyglądać okropnie, ale wcale się tym nie przejmowała. Porzucona



przez wszystkich, opuszczona przez chłopaka i przyjaciela zarazem, osierocona przez babcię uznała, że już na niczym jej nie zależy. Zajęta szlochaniem, nie usłyszała skrzypnięcia furtki.

- Co tu się dzieje? - Krzysztof specjalnie wypowiedział te słowa bardzo głośno i klasnął przy tym w dłoń.

Anna zerwała się w popłochu z ławki i jak mała dziewczynka przyłapana na psotach z zawstydzeniem zakryła twarz rękami. Była speszona tym, że Krzysztof mógł teraz odkryć, jak bardzo jej na nim zależy. Zaczęła chaotycznie opowiadać o swojej tęsknocie za babcią. Nie komentował niczego. Tylko raz zerknęła w jego stronę i dostrzegła błysk triumfu w oczach. Próbowwała poprawić włosy i zagarnąć poły szlafroka, ale wszelkie zabiegi tego rodzaju nie miały większego znaczenia. Wyglądała okropnie i nic nie mogła na to poradzić.

- Aneczko, znów we mnie zwątpiłaś? - zapytał Krzysztof. - Wyszedłem tylko po zakupy. Nie chciałem cię budzić, bo bardzo mocno spałaś. Chodź, kochanie, do domu. Weźmiesz kąpiel, uczesz włosy i zjemy razem śniadanie.

- Ja naprawdę, to nie to, ja tylko... Krzysztof postawił zakupy na stoliku i przytulił ją do siebie. Mówił, że wszystko będzie dobrze, że zostanie tak długo, jak ona zechce. Tym razem był znacznie bardziej pewien swego, bo zrozumiał, że dziewczyna za nic nie chce zostać sama w domu. Powoli wprowadził ją do holu i zostawił przed drzwiami łazienki, a sam pobiegł do kuchni.

Był w świetnym humorze, czego nie umiał i nie chciał ukrywać. Z niezwykłą starannością przygotował śniadanie dla nich dwojga. Wygładził serwetę, postawił talerzyki i filiżanki, nie zapomniał nawet o kwiatkach. Kiedy wszystko było gotowe, wyszedł do holu i zawołał: - Aneczko! Śniadanie! Kiedy zejdziesz na dół? W tym momencie dziewczyna pojawiła się na

szczybie schodów. Włosy miała zaczesane do tyłu, ale jak wiadomo, nigdy nie były zbyt posłuszne, więc znów utworzyły jasną aureolę wokół jej głowy. Krótka granatowa sukienka odsłaniała kolana i podkreślała zgrabną dziewczęcą sylwetkę. Schodziła w dół powoli, jak dama, która jest świadoma każdego gestu i dokładnie zna swoją wartość. Nie spuszczała oczu z Krzysztofa. Była ciekawa, czy udało jej się zrobić na nim wrażenie. Oparty o framugę drzwi kuchennych patrzył na nią z nieukrywanym zachwytem. Kiedy była w połowie schodów, zaczął bić brawo, czym zupełnie ją rozbroił. Zbiegła na dół i zarzuciła mu ręce na szyję. Przygarnął dziewczynę do siebie, ucałował lekko spuchnięte od płaczu oczy i szepnął:

- Ślicznie wyglądasz. Nie ma ładniejszej dziewczyny na całym świecie. A teraz śniadanie.

- Zaprosił ją gestem do kuchni. Ruszyli w stronę stołu, trzymając się za ręce.

Był piękny słoneczny poranek. Anna odzyskała pewność siebie i dobry humor. Dostała jednak lekcję od życia. Przekonała się, że obecność Krzysztofa ma teraz dla niej ogromne znaczenie. Jej równowaga psychiczna była krucha jak porcelana. Stan uzależnienia trochę ją deprymował, ale zastanawianie się nad tym odłożyła na inną okazję.

Przy śniadaniu żartowali niefrasobliwie, udając stare, znudzone sobą małżeństwo.

Krzysztof zrzędził, Anna robiła naburmuszone miny i co chwilę wybuchali śmiechem.

Nagle drzwi się otworzyły i w progu stanęła pani Maria z karabinem na ramieniu.

- Jak tu wesoło! - zawołała z naganą w głosie. -Dzień po pogrzebie! Czy wy nie przesadzacie? A ja tu właśnie w trosce o wasze bezpieczeństwo przyszedłam sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Anna była bardzo speszona. Nawet przez chwilę nie pomyślała o tym, że zachowuje się niewłaściwie, zapomniała też o gorliwości sąsiadki. Demonstrowanie siły zazwyczaj przypadało na godziny wieczorne, jedynie w szczególnych okolicznościach odbywało się po południu. Poranek wypadł po raz pierwszy.

- Pani Mario - zaczęła niepewnym głosem - ja naprawdę, proszę mi wierzyć, nie miałam nic złego...

- Dobrze, dobrze. Nieboszczka jeszcze na dobre nie przywitała się z grobem, a wy tu świętujecie. Obdarzyłam pana, młodzieńcze, całkowitym zaufaniem, a tu takie ekscesy. - Starsza pani odstawiła karabin, poprawiła rozwichrzone siwe włosy i, nie czekając na zaproszenie, weszła do kuchni.

- Aneczko, nadeszła chwila prawdy, prawdziwej, dorosłej prawdy. Byłaś w szoku, załamana i nieszczęśliwa. Nie chciałam cię niepokoić przy-

ziemnymi sprawami, pytać o pieniądze i tak dalej. Ale teraz trzeba wszystko ustawić na właściwym miejscu.

Krzysztof wstał od stołu i podał pani Marii filiżankę z kawą. Posłodziła ją obficie i mówiła dalej:

- Czy wiesz, moja panno, kto pokrył kosztą pogrzebu? No widzisz, nawet o tym nie pomyślałaś. Otóż wszystkim zajął się ten młodzieniec. Nie chcę, żeby myślał, że należą mu się w związku z tym jakieś szczególne przywileje. Znaczną część wydatków zwróci mu ubezpieczenie, bo Izabela była emerytką. Ale pozostała część to dług, który trzeba oddać. Czas przejrzeć papiery i zorientować się, jak wygląda twoja sytuacja. Nie możesz pozostawać na utrzymaniu obcego człowieka, bez względu na jego urodę. A te śniadania, zakupy, jak myślisz, skąd się to bierze?

Krzysztof gestami próbował powstrzymać panią Marię, która nieprzerwanie wyrzucała z siebie słowa, nie bawiąc się w żadne subtelności.

- To wszystko finansuje ten oto młody człowiek. Ja wiem, że nigdy nie musiałaś myśleć o pieniądzach ani troszczyć się o następny dzień. Ale teraz przyszedł czas na dorosłość. Musisz sobie zdać z tego sprawę. Sama albo z panem Krzysiem pójdziesz dzisiaj do różnych urzędów, żeby wyjaśnić sprawę renty po babci albo po rodzicach. Z pewnością coś ci się należy do czasu ukończenia studiów. Masz dom z ogrodem, który jest twoją własnością razem z koteczką i jej dziećmi. Ale tak się składa, o czym pewnie nie

wiesz, że najpierw trzeba przeprowadzić postępowanie spadkowe, a potem ten dom utrzymać. Musisz płacić za gaz, za wodę, za wywóz śmieci i takie tam różności, bez których nie można się obejść. To są rachunki do płacenia miesiąc w miesiąc. Trzeba usiąść, policzyć wszystko i zobaczyć, na co cię stać. Albo zdołasz utrzymać ten dom, albo będziesz musiała podjąć decyzję o jego sprzedaniu. Wtedy warto poprosić kogoś doświadczonego o pomoc, żeby cię nie oszukano.

- Pani Mario! - przerwał stanowczo Krzysztof. - Jeszcze nie pora na takie sprawy. Niech Anna spokojnie dojdzie do siebie. Później się nad tym zastanowimy. Oczywiście nie zapomnimy poprosić panią o radę. Anna potrzebuje teraz ciszy i spokoju. W związku z tym chciałbym o coś zapytać: Czy musi pani chodzić z karabinem po naszym ogrodzie?

- Po naszym ogrodzie? - Starsza pani aż zatrzęsała się z oburzenia. - Po naszym? A odkąd to pan jest tu współgospodarzem? - Podeszła do Krzysztofa i zaczęła stukać zakrzywionym palcem w jego pierś. - To jest wyłącznie ogród Anny i ja, najbliższa przyjaciółka Izabeli, dopilnuję, żeby nieuprawnione osoby nie zapuszczały tu przedwcześnie korzeni. Myśli pan, że płacenie rachunków upoważnia do takiego zachowania?

- Przejęczyłem się tylko. To, co powiedziałem, nic nie znaczy. Chciałem...

- Przejęczyłem się - przedrzeźniała go pani Maria. - Nikt się nie przejęczy w taki sposób bez powodu. Musisz mieć, chłopcze, nad wyraz dobre sa-

mopoczucie, skoro tak się tu szarogęsisz. Młodą panienkę, dziecko jeszcze, bez opieki rodziny, można wykorzystać i oszukać na różne sposoby. Łatwo zaskarbić sobie zaufanie bezradnej, bezbronnej istoty. Ale póki żyję, nie pozwolę na to. Pamiętaj, chłopcze. Jak będzie trzeba, użyję karabinu bez najmniejszych skrupułów. A teraz siadaj, bierz kartkę i spisz wszystkie wydatki, jakie z własnej kieszeni pokryłeś w ostatnich dniach. - Pani Maria dumnie wypięła pierś i pchnęła Krzysztofa w stronę stołu.

Nie pomogły wykręty i zasłanianie się brakiem pamięci. Sąsiadka przytaczała kolejne pozycje i kazała wpisywać obok nich odpowiednie sumy. Po podliczeniu okazało się, że Anna ma za mało pieniędzy na spłacenie długu. Pani Maria kiwała głową z błyskiem triumfu w oczach.

- Aneczko, zajrzyj do sekretarzyka. Może znajdziesz tam jakieś zaskórniaki odłożone na czarną godzinę. Izabela zawsze mi powtarzała, że bym w razie jakichkolwiek kłopotów bez wahania przychodziła do niej po pożyczkę. Chodźmy razem, skoro sama nie masz odwagi. Anna od dłuższej chwili nie uczestniczyła w dyskusji. Zawstydzona, najpierw próbowała zapanować nad twarzą, ale kiedy doszło do poważnych rozmów o pieniądzach, a ponad jej głową między panią Marią i Krzysztofem zaczęła toczyć się wojna, przestała słuchać i znów popadła w otepienie. Wpatrywała się niewidzącymi oczami w jakiś punkt na ścianie. Nieszczęścia, jakie na nią ostatnio spadły, stanowczo przerastały jej

odporność. Starła się odsunąć trudne sprawy jak najdalej od siebie, jednocześnie obiecując sobie, że wkrótce się nimi zajmie. Ale jeszcze nie teraz. Pieniądze, rachunki, nudne i niezrozumiałe problemy mogły trochę poczekać. Dom stoi i żyje własnym życiem, wszystkie sprzęty są na swoim miejscu, więc o co im chodzi?

- Aneczko, wstań teraz i chodź do pokoju babci. Za krzesłem dziewczyny stanął Krzysztof i położył ręce na jej ramionach.

- Nie wstawaj. Jeszcze zdążymy się tym zająć, kochanie - powiedział stanowczo.

Anna oprzytomniała. Zobaczyła, że wojna o nią zaczyna nabierać rozpędu. Kolejny ruch musi należeć do niej, w przeciwnym razie na długo straci prawo głosu. Wygra ten, kto będzie skuteczniejszy. Dwie osoby troszczące się o jej dobro walczą teraz o nią z coraz większym uporem. Spojrzała na przeciwników, którzy patrzyli na siebie groźnie jak wojownicy przed decydującym starciem. Była tym nawet trochę ubawiona. Ciekawiło ją, jak sprawy potoczą się dalej. Uświadomiła sobie jednak, że w tym starciu z pewnością straci jednego ze sprzymierzeńców do czego nie mogła dopuścić. Obydwoje byli jej potrzebni, do czasu kiedy zbierze siły i stanie na własnych nogach. Nie chciała popełnić błędu. Dobrze wiedziała, po której stronie chciałaby widzieć zwycięstwo, ale instynkt jej podpowiadał, że wciąż jeszcze nie powinna darzyć Krzysztofa tak dużym zaufaniem. Zdała sobie sprawę, że nie powinna być za bardzo uzależnio-

na od niego. Cały ranek bawili się świetnie. Krzysztof był czuły i opiekuńczy w czasie tych wszystkich ciężkich dni, ale jego przedłużająca się obecność w tym domu była co najmniej niestosowna. Czują to wyraźnie, a równocześnie chciała, żeby ten stan trwał jak najdłużej. Odsunęła więc rękę chłopaka, wstała i wykonała parę pojednawczych gestów.

- Tak, ma pani rację, pani Mario. Chodźmy razem zajrzeć do sekretarzyka. Tam najwyraźniej czegoś szukano w tym okropnym dniu. Widziałam bałagan w papierach, nie mogłam jednak w niczym się połapać, bo nigdy tam nie zagłębiałam. To było królestwo babci. Przepraszam was, zamyśliłam się. Trzeba coś zdecydować. Byłoby najlepiej, gdybym mogła zwrócić dług od razu, ale nie wiem, czy będę w stanie.

Anna stanęła bezradnie przy sekretarzyku. Wysunęła jedną szufladę, potem drugą, otworzyła drzwiczki, za którymi krył się szereg przegródek, i spoglądała z rozpaczą na stosy kartek, papierów i teczek z dokumentami. Pani Maria szybko wypatrzyła książeczki opłat, potem znalazła odcinki emerytury Izabeli i wreszcie z triumfalnym okrzykiem rzuciła na blat stolika odcinki renty po rodzicach, która przysługiwała Annie.

- Widzisz? Wszystko w porządku. Masz za co żyć. Przynajmniej na razie. Nie wiadomo tylko, czy starczy tych pieniędzy na utrzymanie domu.

Krzysztof bez przekonania sięgnął do bocznej szufladki. Przekładając z miejsca na miejsce ster-



tę listów i pocztówek, natrafił na jakąś paczuszkę owiniętą w biały papier i przewiązaną czerwoną wstążeczką.

- Spójrz, Aneczko. Rozwiń sama. Nie czuję się upoważniony.

Dziewczyna wzięła paczuszkę do rąk i niecierpliwym ruchem zerwała wstążkę. Ze środka wysypały się banknoty. Ze zdumieniem popatrzyła na swoich gości i usiadła na fotelu babci.

- Nie mówiłam? - Pani Maria odetchnęła z ulgą. - Izabela była bardzo dobrze zorganizowaną osobą. Zawsze żyła oszczędnie i myślała o przyszłości. Wiedziałam, że coś znajdziemy. Chwała Bogu, złodziej to przeoczył. Ale skoro nie szukał pieniędzy, to po co się tu włamywał? Mniejsza z tym. Teraz oddamy dług i wszystko będzie jak należy. Panu, młodzieńcze, przywrócimy status gościa, odbierając jednocześnie status domownika, Aneczka znów będzie panią samej siebie, a co z tą wolnością zrobi, to już jej prywatna sprawa, natomiast ja pozostanę tam, gdzie jestem, czyli będę Marią od kotów, która stoi na straży i czuwa.

Starsza pani skrupulatnie odliczyła pieniądze i wręczyła je Krzysztofowi; ten bronił się, ale w końcu je przyjął. Potem reszta zasobów została komisyjnie obliczona i włożona do sekretarzyka.

- Teraz, Aneczko, masz pewność, że przynajmniej przez trzy miesiące starczy ci na wszystko, a potem pomyślimy co dalej. Zacznie się rok akademicki, pójdziesz na uczelnię, a rozwiązania przyjdą same. Jestem tego pewna. Wszystkie bie-

zące rachunki są popłacone, a za miesiąc pomogę ci wypełnić, co trzeba, i powiem, jak to się załatwia. Na razie nie musisz się już o nic martwić. Kiedyś opanujesz sztukę prowadzenia domu. Do ciebie należą porządki, zakupy i dokładne zamykanie drzwi na noc. I pamiętaj, zarówno długi finansowe, jak i te, nazywane szumnie długami wdzięczności, mają to do siebie, że trzeba je kiedyś spłacić. Nigdy o tym nie zapominaj, nawet wtedy, kiedy się świetnie bawisz. Nie jesteś już dzieckiem. Zapewniam cię, że Izabela była tego samego zdania, tylko nie zdążyła ci o tym powiedzieć. A teraz już pójdę, ale jeszcze wrócę. Mogę tu przyjść w każdej chwili, co radzę wam wziąć pod uwagę. - Spojrzała znacząco na Krzysztofa, odwróciła się energicznie i wyszła. Zanim ucichły jej kroki, usłyszeli jeszcze trzy energiczne stuknięcia karabinem o podłogę.

## 19

Krzysztof stracił pewność siebie. Próbował jeszcze skwitować żartem całe to zamieszanie, ale Anna nie dawała się wciągnąć w zabawę, która mogłaby przywrócić bez troski nastrój poranka. Zeszli razem na dół, usiedli na ganku i zaczęli rozmawiać o tym, co się wydarzyło. Anna odzyskała już spokój i przytomność umysłu. Kolejna życiowa lekcja uświadomiła jej, że powinna panować nie tylko nad sobą i własnymi emocjami, ale i nad sytuacją, w jakiej się znajduje. Położyła rękę na dłoni chłopaka i powiedziała:

- Pani Maria ma rację. Nie mogę żyć tak, jak do tej pory. Muszę być odpowiedzialna. Nie gniewaj się, Krzysiu, ale przerzucenie wszystkich moich spraw na twoje barki, niczym się nie tłumaczy. Dzisiaj cię to bawi, a jutro przestanie. Jeśli nie opanuję sztuki życia na własny rachunek, będę bardziej nieszczęśliwa, niż na to zasługuję.

- Ale ja przecież...

- Nie przerywaj, proszę. Jestem ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Nigdy nie zapomnę o tym, że w najtrudniejszych chwilach mojego życia, był przy mnie ktoś taki jak ty, czuły, taktowny i oddany. Za wszystko jeszcze raz dziękuję.

- Czy to znaczy, że mam zaraz wracać do Warszawy? Chcesz, żebym wyjechał? - Krzysztof ryzykował, mówiąc te słowa, ale po porannej scenie na ganku był tak pewien swego, że nawet nie brał pod uwagę niekorzystnego dla siebie zakończenia tej rozmowy.
- Ależ skąd. Musimy tylko wrócić do dawnych obyczajów. Wyjedziesz wieczorem. A teraz, kiedy już nieco oprzytomniałam, zadam ci kilka pytań. Pracujesz już od roku czy nawet dwu lat, prawda? To znaczy, że skończyłeś studia.
- Tak i to z wyróżnieniem. Prowadzisz śledztwo? Ale proszę, możemy się zabawić w chwilę szczerości. Pytaj, o co chcesz.
- Skoro pracujesz, to masz do dyspozycji tylko urlop, który jest z pewnością krótszy niż studenckie wakacje.
- Oczywiście. Właśnie teraz jestem na urlopie. To było łatwe pytanie. Proszę o następne.
- Mógłbyś pojechać na jakieś prawdziwe wakacje, tymczasem tkwisz tu i zajmujesz się jakąś rozkapryszoną i rozpuszczoną pannicą.
- Tak właśnie jest, ale to najlepsze wakacje w moim życiu. Nie zamieniłbym ich ani na Majorkę, ani na Krete, ani nawet na Indie, nie wspominając o Meksyku. Jesteś dla mnie całym światem. Już ci o tym mówiłem, a nie chcę się powtarzać.
- Skoro tak, uwalniasz mnie od wyrzutów sumienia. A teraz moja propozycja. Ja będę robiła zakupy i sprzątała, a ty pomożesz mi w gotowaniu. Albo nie, będziemy chodzili do restauracji, po

co nam te garnki i sprzątanie. Spędzimy te wakacje razem, tu, w Komorowie. Mam dwa rowery w garażu, możemy rankiem wyruszać na dalekie wyprawy, a wieczorem rozpalać ogień w kominku i rozmawiać, o czym dusza zapagnie.

- Zatem, przyjadę jutro z samego rana z wakacyjnym plecakiem na ramieniu i zostanę tu do końca mojego urlopu, zgoda?

- Pod warunkiem, że ani na chwilę nie zapomnisz o dobrych manierach i będziesz się zachowywał jak mój gość, a wydatki na życie podzielimy na pół i zawrzemy umowę.

- Jaką umowę?

- Taką. Jeśli przekroczysz albo naruszysz prawa gościa w moim domu, jeżeli zaczniesz zachowywać się niestosownie i będziesz żądał więcej, niż mogę czy też chcę ci ofiarować, natychmiast się pożegnamy. Stracisz pozycję gościa uprzywilejowanego. Zostaniesz jednym z wielu znajomych, którzy mają prawo do krótkich wizyt w moim domu, pod warunkiem, że rozstaniemy się w zgodzie.

- Grozisz mi? - Krzysztof zrobił naburmuszoną minę.

- Nie, chcę, żebyś mnie zrozumiał. Nie jestem małą dziewczynką, którą trzeba prowadzić przez życie za rękę. Pomogłeś mi, kiedy byłam w szoku, bezradna i bezwolna. Z pewnością nadal potrzebuję pomocy, ale nie powinnam nadużywać twojej dobrej woli, a ty nie możesz niczego budować na mojej chwilowej słabości.

- Skąd w tobie taka pewność siebie i rozsądek godny wiekowej matrony? Czy to dalszy ciąg gry, w jaką bawiliśmy się przy śniadaniu? - Krzysztof próbował obrócić wszystko w żart.

- Nie, mówię to zupełnie poważnie. Zależy mi na tobie, dobrze o tym wiesz. Może nawet bardziej, niż to okazuję. Nie chcę niczego popsuć. Jestem szczerą i tego samego oczekuję od ciebie. Nie chcę, żeby między nas wkradł się jakiś fałsz, którego nigdy się nie pozbędziemy. Co o tym myślisz?

- No cóż, grasz w otwarte karty. Mam dwa wyjścia: obrazić się o to, że nie masz do mnie zaufania, albo uznać twoje warunki za rzecz oczywistą i zapewnić cię, że nie musiałaś o tym mówić. Przecież wiesz, że nigdy nie próbowałem robić czegoś, co mogłoby uwłaczać twojej godności. Jeśli rządziłem tobą trochę, to tylko po to, żeby ułatwić ci wyjście ze stresu. Chyba nie gniewasz się na mnie z tego powodu?

- Ale skąd. - Anna dotknęła jego dłoni, która teraz była zaciśnięta w pięść. Pojedynawczy gest sprawił, że chłopak drgnął i wyprostował palce. Drugą ręką przykrył dłoń dziewczyny i zakończył rozmowę jednym słowem:

- Zgoda. Zgadzam się na wszystko. Wybacz mi moje dyktatorskie zapędy. Zawsze przejmuję inicjatywę w kontaktach z ludźmi. Taki już jestem. Ale przy tobie będę się miał na baczności. Kiedy przeholuję, daj mi od razu znać. Przysięgam, jestem bardzo pojętnym uczniem.

- Znów żartujesz.

- Oczywiście, bo czuję się jak uczeń, któremu przed całą klasą zmyto głowę. Nie zniżaj się już na mnie. Przecież widzisz, jaki jestem teraz mały. Chodźmy na spacer albo na obiad, albo lepiej jedźmy do Warszawy. Powiesz mi, co spakować, wstąpimy na coś pysznego i wrócimy do Komorowa. Zgoda?

Zerwali się z ławeczki i weszli do domu, żeby zabrać niezbędne drobiazgi. Zatrzymał ich telefon. Dzwoniła dyrektorka muzeum z gorącą prośbą, żeby za dwa dni przyjechali na ekshumację do Kotowa. Ponury obrządek miał się odbyć o świcie, więc należało wyruszyć nocą, żeby dotrzeć tam na szóstą rano. Po dłuższych targach zgodzili się na to, że przyjadzie po nich służbowy samochód.

Pożegnali się z dyrektorką, spojrzeli na siebie porozumiewawczo i ruszyli w podróż do Warszawy.

Dwa dni minęły jak we śnie. Skrzętnie omijali tak zwane poważne tematy. Nie próbowali nawet siadać na ganku, żeby nie przywoływać nastroju rozmowy z tamtego dnia. Kiedy chcieli posiedzieć na świeżym powietrzu, wychodzili na werandę z drugiej strony domu. Wydawać się mogło, że dobry humor ani na chwilę ich nie opuszcza. Czasem jednak Anna ukrywała twarz w dłoniach, a Krzysztof próbował rozproszyć jej smutek. Z wycieczek rowero-

wych do lasu przywozili naręcza gałązek, które ustawione potem w wazonach w salonie i na werandzie wdzięcznie wędły, wydzielając zapach umierających roślin.

Wiezorami Krzysztof potulnie schodził do gościnnego pokoju. Pani Maria zazwyczaj przed kolacją robiła swój codzienny obchód z karabinem na ramieniu i za każdym razem wpadała na herbatę. Nie wracała już do tamtej zasadniczej rozmowy, tylko czujnie przyglądała się młodemu, bez zadawania im zbędnych pytań. Tak minęły dwa dni.

W wieczór przed wyjazdem do Kotowa Krzysztof nastawił budzik i obiecał, że zbudzi Annę w odpowiedniej chwili, czyli co najmniej o wpół do czwartej nad ranem. Poszli spać wcześniej niż zwykle i, co było do przewidzenia, omal nie zaspali.



## 20

Było zupełnie ciemno, kiedy w pośpiechu jedli śniadanie, nasłuchując jednocześnie, czy pod dom nie podejźdza samochód. Zdażyli w ostatniej chwili. Kierowca na szczęście był małomówny. Usiedli razem na tylnym siedzeniu. Anna położyła głowę na kolanach Krzysztofa i od razu zasnęła. On delikatnie gładził jej włosy i z roztargnieniem wyglądał przez okno.

Przed szóstą byli na miejscu. Pod cmentarną bramą stały już samochody z muzeum i z laboratorium. Czekano tylko na nich i na ekipę, która miała wydobyć szczątki siostry Szczęsnego. Dyrektorka prawila Annie komplementy i dziękowała za przybycie.

- To wysoce patriotyczna postawa, moi drodzy. Pomyślcie o Polakach, tam, w Stanach. Oni wciąż czekają i płacą ogromne pieniądze za zwłokę. Pomnik jest już zupełnie gotowy, ale nie można go zmontować, dopóki nie ustalimy, czyje kości będą pod nim spoczywały. Ale zimno. Brakuje tylko tego, żeby zaczął padać deszcz. Czy pani nie marznie w tym krótkim sweterku? A pan, panie Krzysztofie? Nie zimno? Rozumiem, młodość. Ja marznę. Trzeba było zabrać płaszcz.

Dyrektorka objęła się ramionami. Miała na sobie nieśmiertelny granatowy kostium, który najwyraźniej nie chronił jej przed chłodem rzeńskiego poranka. Przeszepowała z nogi na nogę i bez przerwy monologowała.

- Jesteście parą, prawda? To zupełnie jak Romeo i Julia.

Anna spojrzała na dyrektorkę ze zdumieniem, zastanawiając się nad tym, dlaczego pani w nieokreślonym wieku jest lepiej poinformowana, niż można było przypuszczać.

Podjechał samochód należący do administracji cmentarza. Ze środka wytoczył się zażywny pan z brzuszkiem, jak się okazało kierownik cmentarza, a za nim kilku pracowników w roboczych kombinezonach. Wszyscy ruszyli w stronę kaplicy, która pełniła rolę grobowca Kotowskich. Przed kryptą dyrektorka muzeum zatrzymała całą grupę władczyim gestem ręki, poprosiła o ciszę i stanąwszy na jakimś kamieniu, zabrała się do wygłaszania mowy.

- Zwracam się do zebranych tu osób z tymi oto słowami. Uczestniczymy w zupełnie szczególnym wydarzeniu. Za chwilę spojrzymy prosto w oczy historii przez duże „h”. - W tym momencie Anna i Krzysztof spojrzeli na siebie i omal nie wybuchnęli śmiechem. - Od ponad stu pięćdziesięciu lat siostra Szczęsnego spoczywa w tym grobie i pewnie nikt by jej nie niepokoił, gdyby nie pałaca potrzeba udowodnienia, że szczątki znalezione w Ameryce są w istocie szczątkami naszego narodowego bohatera.

Dyrektorka wpadała w coraz większy patos i upajała się własnym głosem, nie zwracając uwagi na niewyspanych i zniecierpliwionych uczestników tego obrzędu. Zaczęła z zapałem opowiadać o życiu Połońskiego, nie pomijając najwcześniejszego dzieciństwa. Potem przyszła kolej na walki w Ameryce u boku Waszyngtona, wreszcie na rany zadane podczas bitwy pod Savannah i dramatyczne okoliczności śmierci. Tu wyobraźnia dyrektorki wyraźnie dała znać o sobie. Opowiadała o zmierzchu nad morzem i o łodzi, którą dzielni wojacy płynęli w stronę brzegu, żeby pochować na lądzie szczątki ukochanego pułkownika.

- I oto tam spoczął nieustraszony Szczęsny Połoński, a na jego mogile czyjeś kochające ręce ustawiły pomnik z polnego kamienia, a na nim umieściły metalowy krzyż. Wędrowne ptaki znały dobrze to miejsce i polscy emigranci, którzy też jak te ptaki wędrowne tułali się po świecie. Może kiedyś jeszcze powrócisz do ojczyzny, nasz bohaterze. Cześć twojej pamięci.

I trwałoby to przemówienie jeszcze bardzo długo, gdyby ktoś z administracji cmentarza nie podszedł do dyrektorki, żeby jej przypomnieć o upływającym czasie. Zgodnie z przepisami ekshumacja musiała być zakończona przed godziną siódmą. Kobieta niechętnie zeszła z kamienia, bo w głowie miała jeszcze mnóstwo ozdobnych zdań pasujących jak ulał do tej sytuacji. Odsunęła się jednak posłusznie i pozwoliła podjąć pracę specjalnie w tym celu zatrudnionej ekipie.

Miejscowy proboszcz spóźnił się taktownie, ale już czekał z kluczami do kaplicy w ręku. Drzwi otworzono na oścież. Ktoś podważył metalową klapę w posadzce zasłaniającą wejście do krypty. Zrobiło się cicho. Do zebranych na górze docierały tylko niewyraźne odgłosy prowadzonych na dole prac. W pewnej chwili jeden z robotników wystawił głowę z otworu i zapytał:

- Pani dyrektor, tu jest za ciemno na pobieranie próbek. Wynosimy na zewnątrz całość czy tylko czaszkę i piszczele?

Anna drgnęła. Pozostali też poczuli się nieswojo.

- Całość, kochanie, całość! - krzyknęła dyrektorka i zajrzała do środka krypty z ogromnym zaciekawieniem.

W tym momencie Anna przypomniała sobie pełne grozy godziny spędzone na dole. Udało jej się zepchnąć pamięć o tym wydarzeniu na obrzeża świadomości, ale teraz wszystko wróciło i to ze zdwojoną siłą. Znow widziała połyskującą w mroku biel czaszki z resztkami włosów. Odruchowo zacisnęła dłonie na ramieniu Krzysztofa. Chłopak drgnął, spojrzał na nią uważnie, od razu zrozumiał, co się z Anną dzieje, i objął ją ramieniem.

Po chwili wszyscy zobaczyli, jak powoli wyłania się z krypty jeden z pomocników, potem nosze, na których spoczywała mocno spróchniała trumna. Wreszcie drugi robotnik stanął na posadzce i razem wynieśli wydobyte szczątki na alejkę przed kaplicą. Wszyscy zgromadzili się wo-

kół trumny, jak gapie spieszący zobaczyć wypadek na ulicy. Anna stała z boku, chciała jak najdłużej pozostać z dala od historii przez duże „h”. W końcu i ona musiała podejść, przywołana nagłym gestem pani dyrektorki. Stało się to właśnie w tym momencie, kiedy po raz drugi przypomniała sobie z całą wyrazistością koszarne chwile, jakie tu spędziła, odcięta od całego świata, właściwie pochowana żywcem w rodzinnym grobowcu Kotowskich.

Jeden z robotników zaopatrzonej w gumowe rękawice podniósł rozpadające się wieko. Zebrani zobaczyli szkielet kobiety, której czaszka ozdobiona była resztkami siwych włosów. Oczodoły z niemym wyrzutem spoglądały w niebo. Na ziemię spadły strzępy zetłalej tkaniny, jaką zapewne była kiedyś wyłożona trumna. Wszyscy cofnęli się nieco na widok laboranta z dłutkiem i pudełeczkiem w dłoni, który zamierzał pobrać potrzebne do badań próbki.

Anna odwróciła głowę i chwyciła Krzysztofa za rękę. Była wstrząśnięta tym widokiem. Przypomniała jej się niedawno pochowana babcia. Łzy napłynęły jej do oczu. Żeby je ukryć, wtuliła twarz w rękaw kurtki chłopaka.

Przytulił ją do siebie i stali tak razem, trochę na uboczu, jak niemi świadkowie ponurej ceremonii.

Trumnę zamknięto, a raczej prowizorycznie poskładano, żeby można było odłożyć ją na miejsce. Proboszcz napomknął, że warto byłoby nieboszczce sprawić nową trumnę, ale nikt nie pod-

jął tego tematu. Anna spojrzała na księdza, potem na Krzysztofa i doszła do wniosku, że to właśnie ona, jako ostatnia z rodu, powinna się tym zająć. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, szczątki siostry bohatera zostały wniesione z powrotem do krypty.

Kiedy proboszcz zamknął kaplicę, pani dyrektor postanowiła wygłosić następną mowę, ale zanim dotarła do kamienia, który służył jej przedtem za podwyższenie, ekipa pracowników cmentarza zaczęła hałasować przywiezionym tu, jak się okazało niepotrzebnie, sprzętem. Potem wsiedli do auta i odjechali bez słowa. Proboszcz również wymówił się obowiązkami na plebanii i drobnym kroczeniem ruszył w stronę cmentarnej bramy. Na placu boju zostali tylko Anna, Krzysztof i kierowca, którzy dla natchnionej oratorki byli zdecydowanie za małym audytorium.

- No cóż, wypada mi tylko serdecznie wam podziękować za to, że zechcieliście tu przyjechać. Zwłaszcza pani, pani Anno, była szczególnie ważną osobą w tej ceremonii, jako ostatnia z rodu Po-łońskich. Czy ja wspominałam dwa dni temu, że niestety kierowca nie będzie mógł was odwieźć do Komorowa? Wybaczcie mi, zapomniałam, ale za to mam dla was wystawione delegacje i pieniądze na drogę powrotną. Wszystko z funduszu reprezentacyjnego. Proszę się nie krępować. Naprawdę.

Wzięli ofiarowane pieniądze i pożegnali się z dyrektorką, zapewniając, że to nic nie szkodzi, bo i tak mieli zamiar pospacerować po okolicy. Już

po chwili weszli w pierwszą lepszą alejkę, byle jak najszybciej stracić z oczu egzaltowaną kobietę.

Chodzili jeszcze po cmentarzu czas jakiś, podziwiając stare grobowce. Anna nawet zanotowała jakiś wiersz wyryty w kamieniu i schowała kartkę do torebki. Kiedy byli pewni, że spod cmentarnej bramy wszyscy już odjechali, zaczęli powoli kierować się do wyjścia. Przed cmentarzem stał granatowy samochód, na widok którego Krzysztof drgnął. Był wyraźnie czymś zaniepokojony.

Anna ze zdziwieniem patrzyła na chłopaka, który czujnie rozglądał się dokoła. Zza kiosku z gazetami wyszedł siwy pan w okularach, w nienagannie skrojonym garniturze i ruszył prosto w ich stronę. Natychmiast rozpoznała człowieka, który dwukrotnie pojawił się przed jej domem w Komorowie, za każdym razem w innym przebraniu. Od razu wpadła w panikę i próbowała wyrwać rękę z dłoni Krzysztofa, ale zanim zdołała to uczynić, chłopak serdecznie przywitał się z nieznajomym.

- Witaj, stryju. Co tu robisz o tak wczesnej porze?

- Nie jestem tu przypadkiem - odpowiedział starszy pan z szerokim uśmiechem, który wydał się Annie nieszczerzy, - Otóż pani dyrektor powiedziała mi, że nie macie zapewnionego transportu do Warszawy, więc pomyślałem sobie, że mogę się przydać. Co wy na to, gołąbeczki? Przedstaw mi swoją dziewczynę, Krzysiu.

Chłopak natychmiast wykonał polecenie stry-

ja. Anna z wyraźnym ociąganiem podała rękę i natychmiast odwróciła wzrok.

- Ja dziękuję. Wolę jechać pociągiem. Panowie muszą mi wybaczyć. Źle znoszę jazdę samochodem. To wykluczone.
- Ależ Aneczko, co ty mówisz. Dlaczego mamy nie skorzystać z propozycji stryja? To bardzo ładnie z jego strony, że zechciał po nas przyjechać o tak wczesnej porze.
- Za nic nie wsiądę do tego samochodu. -Dziewczyna mówiła coraz głośniej. - Pan był w Komorowie parokrotnie, a raz rozmawiałam z panem osobiście.
- Ze mną? To niemożliwe, gołąbeczko.
- Jak to? Nigdy pan nie był agentem ubezpieczeniowym?
- Nigdy.
- Mimo to nie pojedę z panem do Warszawy. A jak pana zdrowie? Podobno korzonki dokuczały panu ostatnio?
- A tak, drogie dziecko, i to bardzo. Ale już jest lepiej, chwała Bogu. Mam pomysł. Wstąpimy tu gdzieś na drugie śniadanie i może potem panienka da się namówić na wspólną podróż.
- Dziękuję, nie jestem głodna.

Krzysztof był coraz bardziej zniecierpliwiony. Chwycił Annę mocniej za rękę i próbował niemal siłą poprowadzić ją w stronę samochodu.

- I ty przeciwko mnie? - spytała z wyrzutem i stanowczo wyszarpnęła ramię. - Przecież twój stryj próbował otruć moją babcię i w końcu mu



się to udało. A ty chcesz, żebym pojechała z nim samochodem? Mam iść z wami do kawiarni? Zostaw mnie w spokoju. Sama wrócę do Warszawy.

- Jesteś zdenerwowana i mówisz od rzeczy. W porządku, możemy wrócić do Warszawy pociągiem. Proszę cię jednak, i nawet nalegam, żebyśmy chociaż na chwilę wstąpili do kawiarni ze stryjem. Sam jestem ciekaw, co on ma nam do powiedzenia.

- Dobrze, ale samochodem nie pojedę. Spotkamy się za kwadrans w kawiarni na dworcu. Możecie jechać sami.

Panowie przez chwilę szeptali na osobności, wreszcie Krzysztof podszedł do Anny i powiedział:

- Uzgodnione. Idę z tobą pieszo. Spotkamy się ze stryjem na dworcu. Jaka ty jesteś uparta. Dlaczego obrażasz Boga ducha winnego staruszka? Jakoś cię wytłumaczyłem tym razem, ale w kawiarni bądź dla niego miła. Przecież byłoby dobrze, żebyś w końcu poznała moją rodzinę.

- Wybacz mi, proszę, ale nie mogę się powstrzymać. To z pewnością ten sam człowiek, który otruł babcię. Nie mam najmniejszych wątpliwości. Powinnam wezwać policję.

- I co im powiesz? Ze mój stryj proponuje ci wycieczkę do Warszawy? Przestań zachowywać się jak małe dziecko. Stryj bardzo chce cię poznać. Przecież wiesz, że ma obsesję na punkcie narodowego bohatera, a ty psujesz mu taką wspaniałą przygodę historyczną. Przestań!

Anna dała się zaprowadzić do kawiarni, ale przez cały czas obserwowała ręce starszego pana, pilnując,

żeby były jak najdalej od jej filiżanki. Nie umiała zapanować nad sobą. Patrzyła na Taborskiego jak na potwora, który zagraża jej życiu. Chciała jak najprędzej wyjść i odetchnąć świeżym powietrzem. Tymczasem Krzysztof z ożywieniem opowiadał o ekshumacji, nie pomijając szczegółów dotyczących przemówienia dyrektorki. Pożartowali sobie z niej trochę, zanim Taborski zwrócił się do Anny.

- A jak pani wrażenia?

- Sama nie wiem. Jestem temu przeciwna. Po co niepokoić zmarłych? To z pewnością nie był wystarczający powód, żeby wyjmować szczątki mojej ciotki z grobu.

- A patriotyzm? To uczucie, jak widać, jest pani obce?

- Co ma z tym wspólnego patriotyzm? Siostra Szczęsnego dawno już umarła, Szczęsny również

i można ich pamięć czcić na różne sposoby, ale szczątki należało zostawić w spokoju.

- Szczątki bohaterów należą do całego narodu. Taka jest prawda, gołąbeczko. Na nic nasze protesty. Nadszedł taki czas, kiedy wszystko, co było własnością bohatera, łącznie z jego ciałem, powinno ku pokrzepieniu serc rodaków znaleźć się na właściwym miejscu.

- Proszę mi opowiedzieć o testamencie Szczęsnego - przerwała mu Anna. - Podobno obiecał pan dyrektorce ten cenny dokument?

Taborski zmrużył oczy i zaczął pić kawę drobnymi łyčzkami. Przez chwilę rozglądał się dokoła, jakby nie dosłyszał pytania, wreszcie zaczął mówić:

- Widzisz dziecko, prawdziwy kolekcjoner nie spocznie, dopóki nie zdobędzie tego, o czym marzył. Jeżeli wie, gdzie spoczywa skarb, to będzie tak długo koło niego chodził, aż wydobędzie go, choćby i spod ziemi. Testament jest i ja dobrze wiem, gdzie go szukać. To maleńki szczegół, którego mi brakuje, żeby przejąć spadek po przodku. Zapewne o tym słyszałaś, gołąbeczko?

- Owszem. Bardzo mnie ciekawi ten dokument. W końcu został napisany przez mojego przodka. Czy mogę liczyć na to, że zobaczę ten skarb, zanim spocznie w muzeum?

Starszy pan znów ukrył oczy pod powiekami. Patrzył na blat stołu, przekrzywił głowę to w jedną, to w drugą stronę i zwlekał z odpowiedzią.

- No wiesz, dziecko, jakby to powiedzieć. Troszkę to godzi w moje interesy.

- Mogłoby się okazać, że nie jest dla pana korzystny, prawda? I wtedy lepiej byłoby go zniszczyć albo co nieco w nim poprawić.

- Anno! - Krzysztof skarcił swoją towarzyszkę. - Jak możesz zarzucać stryjowi oszustwo, i to prosto w twarz? Myślałem, że zrozumiałaś, co do ciebie mówiłem po drodze.

- Zrozumiałam doskonale. Co wy tu, panowie knujecie? Chcecie mnie zabrać samochodem w podróż, a ja mam wrażenie, że chcecie mnie porwać, a potem bez przeszkód buszować po moim domu. Nic z tego. Spójrz na swojego stryja, Krzysiu.

Taborskiemu trzęsły się ręce. Był blady i niespokojnie spoglądał na drzwi kawiarni.

-Ja panów już pożegnam i nie przewiduję żadnych spotkań w najbliższym czasie, Krzysztofie.

Wstała od stolika, ale starszy pan mocno chwycił ją za rękę. Straciła równowagę i musiała usiąść z powrotem. Szarpnęła się i kawa z jej filiżanki prysnęła na spodnie Krzysztofa. Syknął z irytacją i wstał.

- Chcecie mnie zatrzymać siłą? Będę krzyczała.

- A krzycz sobie do woli, gołąbeczko. Mnie tu wszyscy znają. Zaraz im wyjaśnię, co z ciebie za ziółko.

- Proszę pani! - Anna przywołała kelnerkę krążącą w pobliżu. - Ci panowie chcą mnie porwać. I roszę zawiadomić policję.

Kelnerka zrobiła zdziwioną minę.

- Proszę jej nie słuchać. Wieziemy ją na polecenie rodziców do ośrodka odwykowego dla narkomanów. Takie osobki próbują na różne sposoby wyrwać się na wolność. Proszę sobie nie przeszkadzać.

Anna spuściła głowę i czujnie rozglądała się na boki. Krzysztof poszedł na chwilę do łazienki, żeby wyczyścić oblane kawą spodnie. Wysunęła nogę i próbowała podważyć nią stolik. Był za ciężki. Chwyciła więc rękami za blat i przewróciła kawiarniany stoł z takim rozmachem, że filiżanki potoczyły się aż pod ścianę. Powstało zamieszanie. Zanim starszy pan zdołał się połapać w sytuacji, wybiegła z kawiarni i pomknęła w stronę dworcowej toalety. Sądziła, że za drzwiami pomieszczenia przeznaczonego tylko dla pań będzie bezpieczna, przynajmniej przez jakiś czas. Po chwili usłyszała szybkie kroki i głosy swoich prześladowców. Stali przez

chwile niezdecydowani, wreszcie ruszyli dalej. Na szczęście peron był pusty, więc nie mieli kogo spytać o swoją ofiarę.

Zapowiedziano pociąg do Łodzi. Anna czekała niemal do ostatniej chwili. Tuż przed odjazdem wyjrzała ostrożnie na zewnątrz i nie widząc swoich wrogów, wsiadła do najbliższego wagonu. Wmieszała się w tłum młodzieży wracającej z jakiegoś obozu. Kiedy pociąg ruszył, zobaczyła Krzysztofa ze stryjem, którzy uważnie lustrowali każdy wagon. Na szczęście jej nie zauważyli, bo w porę cofnęła głowę.

Potem przysiadła na wolnym miejscu i z bijącym sercem gorączkowo myślała o tym, co powinna teraz zrobić. Jeśli wróci do Komorowa, prześladowcy mogą już na nią czekać. Samochód jedzie szybciej niż pociąg. Patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Schowała do kieszeni drżące ręce, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Nie mogła sobie poradzić z nowym wizerunkiem Krzysztofa. Czy rzeczywiście przyłączył się do stryja, czy też naprawdę troszczył się o jej los, próbując jednocześnie zadbać o dobre samopoczucie Bogu ducha winnego staruszka. Może teraz niepokoi się o nią, a tymczasem...

Wstała i wyszła na korytarz. Pola za oknem przesuwały się powoli. Drzewa i zagajniki zostawały z tyłu. Domy i obejścia żyły własnym życiem, tylko ona była samotna i nie miała gdzie się schronić przed napastnikami. Pomyślała o posterunku policji i to ją uspokoiło. Postanowiła po

przyjeździe do Komorowa od razu iść na komendę i o wszystkim powiedzieć funkcjonariuszowi, którego już poznała. A potem mogłaby poprosić, żeby ktoś z nią poszedł do domu.

W nieco lepszym nastroju wysiadła na Dworcu Centralnym, rozglądając się na wszelki wypadek. Przed powrotem do domu postanowiła zrobić zakupy. Wędrowała dość długo po rozległym bazarze pod Pałacem Kultury, mierzyła jakieś dziwaczne sukienki i buty, ale nic nie wzbudziło jej zachwyty. Zjadła u Wietnamczyków kurczaka w kokosowym cieście, popiła pomarańczowym sokiem i powoli ruszyła w stronę stacji podmiejskiej kolejki.

Do Komorowa dotarła około siedemnastej. Na komendzie zastała znajomego funkcjonariusza, który chętnie wysłuchał jej relacji i zadał mnóstwo pytań. Skarci! dziewczynę za lekkomyślność i był wyraźnie zgorzony, kiedy się dowiedział, że Krzysztof nocował od paru dni w jej domu. Przecież nie znała dobrze chłopaka, który był spokrewniony z Taborskim. Przyznał, że zamierzał sprawdzić alibi tajemniczego stryja, ale jak dotąd nie znalazł na to czasu. Teraz bardzo żałował i gęsto się tłumaczył. Wziął broń, sprawdził, czy ma zapasowe naboje, i ruszył z Anną w stronę jej domu.

- Nie jestem pewien, czy pani ma powód do niepokoju.

- Tak pan sądzi? Najpierw zginęły koty, potem babcia, więc teraz chyba przyszła kolej na mnie.

- No nie wiem. Zaraz, zaraz, mój pomocnik dopiero dzisiaj przyniósł wyniki sekcji tego nieszczęsnego kota. Nie ma wątpliwości co do tego, że został otruty tym samym środkiem, co pani Izabela. Ale proszę mi powiedzieć, tak z ręką na sercu, czy w pani domu może być coś, czego szuka ten człowiek? Nigdy bym sobie nie darował, gdyby ktoś panią skrzywdził przez moje niedopatrzenie.

- Nie wiem. Sama nie wiem. Babcia nie zdążyła mi powiedzieć wszystkiego. Myślę, że nie ma tu żadnych skarbów. Sam pan zresztą widział. Parę obrazów, dywany i trochę starej porcelany. - Nawet cennej biżuterii nie ma, bo babcia dawno sprzedała swój ostatni pierścionek, więc o co może im chodzić?

- Szkoda, że nie jest pani tego pewna. A ten testament, ten dokument, o którym pani kiedyś wspomniała? Jak to z nim jest naprawdę?

Anna zaczęła się wahać. Nie była pewna, czy może zaufać temu człowiekowi.

- Ten dokument prawdopodobnie dawno już zaginął. Babcia niewiele mówiła na ten temat. Myślę, że należałoby go szukać w muzeum, o ile przetrwał ponad dwieście lat.

Policjant otworzył furtkę i pewnym krokiem wszedł na ganek. Anna otworzyła drzwi i razem obejrzelili cały dom. W tym czasie w ogrodzie pojawiła się pani Maria ze swoim nieodłącznym karabinem. Jak zwykle obeszła całą posesję i zapukała do drzwi.

- Ktoś tu się kręcił po podwórzu, więc wzięłam

karabin i przyszłam. O, koteczka się z nami wita. Chodź, malutka. Jak tam twoje dzieci? O pan komendant. Panie władzo, melduje się na posterunku szeregową Maria. Pilnuję tego dziecka jak oka w głowie, a nie jest to łatwe zadanie, bo często znika bez uprzedzenia.

- Pani Mario, to dziecko jest bardzo zaniepokojone. Czy nie zechciałaby pani posiedzieć z nią dzisiaj albo nawet przenocować? Możliwe, że będzie tu potrzebne wsparcie, i to nie tylko duchowe.

- Oczywiście, panie władzo. Pójdę tylko na chwilę do moich kotów i zaraz wracam. Niech pan tu zaczeka.

Anna chodziła po salonie tam i z powrotem. Była bardzo wzburzona. Policjant próbował jej towarzyszyć, ale szybko się wycofał i usiadł na krześle pod ścianą.

-Jakby coś, to natychmiast dzwońcie na posterunek. Cały czas jest ktoś na dyżurze. Od razu przyjedziemy i złapiemy gagatka. A może poszłaby pani spać do jakichś sąsiadów?

- Nie, to niemożliwe. Muszę pilnować domu. Oni tu z pewnością przyjdą. Nie mam żadnej broni, oprócz tej szabli na ścianie.

- Proszę nie dać się ponieść emocjom. Był taki przypadek, w okolicy zresztą, że przestraszona starsza pani, nękana anonimami, skaleczyła szablą Boga ducha winnego listonosza. Z bronią nie ma zartów. Za uszkodzenie ciała można iść do więzienia. No, na mnie czas. Pani Maria już wchodzi na ganek. Jutro z samego rana ktoś tu do was zajrzy.



Stukanie kolbą o drzwi wyrwało Annę z zamyślenia. Obie panie poszły do kuchni, gdzie po chwili zapachniało domem z dawnych czasów. Pani Maria wyczarowała grzanki z żółtym serem, pokroiła pomidory i zaparzyła herbatę. Usiadły przy stole i zaczęły rozmawiać.

- A twój kawaler okazał się zwyczajnym szalawią. Ja od początku nie miałam do niego zaufania. - Ponieważ dziewczyna milczała, sąsiadka zmieniła temat. - Obie będziemy spały na dole, wtedy prędzej usłyszymy napastników, jeśli się pojawią. Ja będę cię osłaniała karabinem, a ty pomachasz szablą. Tylko nie utnij mi głowy, moje dziecko. Na noc postawimy szafkę przy drzwiach wejściowych. Nikt się przez taką zaporę nie przedrze bez zerwania nas na równe nogi. A teraz trzeba sprawdzić okna, drzwi na werandę i balkony, jednym słowem wszystko. No, to do roboty.

Chodziły razem po domu, przesuwając szafki i stołki. Powoli niewielka willa przeistaczała się w warowną twierdzę. Zmrok zapadł, a one jeszcze walczyły z kluczami od klódek.

Kiedy wszystko było już pozamykane, Anna poczuła ogromne zmęczenie. Wzięła prysznic i próbowała zasnąć w łóżku babci. Pani Maria chodziła jeszcze po kuchni, ale w końcu i ona musiała się poddać. Postawiła karabin przy kanapie w gościnnym pokoju i w ubraniu położyła się na kocu, żeby przez cały czas być w pogotowiu. Dom pogrążył się w ciemnościach, tylko uliczne latarnie rzucały nikłe światło na ściany pokojów.

## 21

Annę obudziło miauczenie kotki, która próbowała otworzyć łapką drzwi. Dziewczyna już miała przewrócić się na drugi bok, żeby znów zapaść w miły sen, kiedy przypomniała sobie wydarzenia z ostatniego dnia. Zaczęła uważnie nasłuchiwać. Szum drzew za oknem wzmagął się i przycichał. Naraz coś zastukało. Niepokojące odgłosy dochodziły od strony garażu. Z okna pokoju babci można było zobaczyć boczną ścianę domu i drzwi. Uchyliła firankę, ale w ciemnościach nic nie zauważyła. Doszła do wniosku, że ponosi ją wyobraźnia, i zła na siebie wskoczyła z powrotem do łóżka. I wtedy usłyszała głośny łoskot. Kłódka od garażu została zerwana łomem. Co do tego nie było wątpliwości.

Anna wybiegła do holu. Natychmiast zaczęła przysuwać sporą szafkę do drzwi, przez które można było wejść do domu od strony garażu. Hałas obudził panią Marię. Od razu pojawiła się w korytarzu i na wpół przytomnie zapytała:

- Co się dzieje?

- Przyszli. Już są w garażu. Trzeba zabezpieczyć te drzwi. Proszę mi pomóc. - We dwie docisnęły szafkę do futryny, na niej postawiły fotel

i dorzuciły parę innych rzeczy, ale barykada była niestabilna i wyglądała niepoważnie.

- Dzwon, dziecko, na policję.

Anna chwyciła telefon, ale nie było sygnału.

- Chyba przecięli kabel - krzyknęła do sąsiadki.

- Czekaj no, dziecko. To my wyrwałyśmy przewód z gniazdka przy przesuwaniu tej szafki.

Zaraz włączę. Teraz dzwoni.

Anna wykręciła numer, lecz w chwili kiedy odezwał się ciepły głos znajomego funkcjonariusza, wszystko ucichło. Dopiero teraz kabel został przecięty naprawdę. Stały na środku holu i zaczęły gorączkowo obmyślać strategię obrony. Chrobotanie na schodach było coraz głośniejsze. Ktoś próbował otworzyć drzwi od piwnicy. Na razie bez powodzenia.

- Może otworzymy drzwi wejściowe i biegiem ruszymy do furtki? - zaproponowała pani Maria, ale zaraz się z tego wycofała. - Nie możemy ryzykować. Jeżeli oni mają broń, to wystrzelają nas jak kaczki. Trzeba się tu okopać.

- Jak to zrobimy?

- Zwyczajnie. Zgasimy światło. Ty zostaniesz tu, w pokoju gościnnym, a ja schowam się za komodą i weźmiemy ich w dwa ognie. Po ciemku nie dadzą rady.

Szafka trzeszczała i milimetr po milimetrze ustępowała z drogi. Anna zaczęła się trząść z przerażenia. Pani Maria posapywała z emocji.

- Ech, gdybym tak miała prawdziwy karabin, jak w partyzantce, to niczego bym się nie bała.

Aneczko, wykręć póki co bezpieczniki. Nie musimy im niczego ułatwiać.

Dziewczyna wykonała polecenie, chwyciła w obie dłonie przyniesioną z pokoju babci szablę i gotowa do ataku stanęła w drzwiach. Ustawiona przy zejściu do piwnicy barykada runęła z hukiem na podłogę. Do holu wszedł jakiś człowiek i przez chwilę nasłuchiwał.

Cisza nieco go zdeprymowała. W nikłym świetle lampy ulicznej Anna zobaczyła pana Taborskiego z rozwianą siwą czupryną. Był mocno wzburzony. W rękę trzymał pistolet.

- Rzuć broń! - krzyknęła pani Maria.

- Ani myślę. Cicho, matka. Gdzie jest dziewczyna?

- Rzuć broń, bo będę strzelać. - Zza komody wyłonił się bagnet, ale z powodu panujących ciemności nie zrobił odpowiedniego wrażenia.

Starszy pan, kierując się słuchem, wycelował w stronę, skąd dochodził głos, i strzelił. Huk był straszny. Anna osłupiała ze zgrozy. Jednak bała się o panią Marię całkiem niepotrzebnie. Komoda pełna bielizny pościelowej pochłoneła kulę bez problemu, ocalając życie dzielnej sąsiadki.

- Rzuć broń! - krzyknęła pani Maria jeszcze raz i pomachała karabinem dla większego efektu. Znow nic nie wskórała. Tym razem aż dwie kule przeszły komodę, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Anna zaczęła liczyć strzały, ale nie mogła sobie przypomnieć, ile kul mieści się w magazynku pistoletu. Wszystkie kryminały pomieszały się jej z westernami i nie wiedziała już, czy ma liczyć

do pięciu, do siedmiu czy też do dwunastu. Komoda była jak dotąd skuteczna, natomiast ona sama nie miała żadnej ochrony. Stała więc bez ruchu, przez cały czas wstrzymując oddech.

Taborski obmacywał ściany, szukając kontaktu. Wreszcie znalazł, ale pstryknięcie nie przyniosło spodziewanego rezultatu. Zaczął więc po omacku posuwać się w stronę kuchni. Anna nasłuchiwała w napięciu. Była pewna, że zza pleców stryja wyjdzie zaraz Krzysztof, który doskonale zna rozkład domu. Ale w piwnicy było cicho. Najwyraźniej Taborski był sam.

- Dość tego, mała - zaczął grubym głosem. - Ja chcę tylko dostać testament. Nic ci nie zrobię. Dasz mi dokument i od razu sobie pójdę.

- Małej tu nie ma - krzyknęła zza komody pani Maria.

- Cicho, matka. - Taborski na wszelki wypadek posłał w jej kierunku jeszcze dwie kule. Huk rozrywał bębunki.

Anna skorzystała z chwili hałasu i rzuciła w stronę dobrze widocznego w tym momencie mężczyzny słoikiem babcinych konfitur. Cios był celny. Napastnik uderzony w głowę zachwiał się i upadł. Obie natychmiast ruszyły w jego stronę.

- Najpierw trzeba mu zabrać pistolet - krzyknęła pani Maria - a potem związać drania.

Szukały broni po omacku. Upadła gdzieś dalej i nie można było na nią po ciemku natrafić.

Taborski zaczął powoli odzyskiwać przytomność. Chwycił panią Marię za spódnicę i szarpnął z ca-

łej siły. Materiał trzeszczał w szwach. Dzielna sąsiadka uderzyła napastnika kolbą karabinu po rękach. Ten jęknął i znów upadł na podłogę.

- Włącz na chwilę światło i przynieś sznurek -zarządziła sąsiadka.

Anna posłusznie wykonała oba polecenia. Wkręciła bezpieczniki i pobiegła po sznurek. W tym czasie nieproszony gość ocknął się z zamroczenia i teraz, w pełnym świetle karabin pani Marii zrobił na nim odpowiednie wrażenie. Taborski zmrużył oczy i zręcznym ruchem chwycił starszą panią za nogę. Straciła równowagę i upadła. W podobny sposób próbował przewrócić Annę, lecz ona odskoczyła do tyłu i wbiegła na schody, minęła swój pokój i ruszyła w stronę strychu. Zatarasowała drzwi od środka i gorączkowo myślała nad tym, co robić dalej. Miała nadzieję, że Taborski nie skrzywdzi pani Marii, w końcu przyszedł tu w zupełnie innym celu. Starsza pani była tylko nieprzewidzianą przeszkodą. Po chwili usłyszała kroki napastnika na schodach. Zaczął się dobijać do drzwi. Nie ustępowały. Potem nastąpiła cisza. Dziewczyna podeszła do małego okienka, żeby upewnić się, na jaką stronę wychodzi. I wtedy rozległy się tępe uderzenia siekiery. Taborski rąbał drzwi prowadzące na strych. Anna doszła do wniosku, że może ją uratować jedynie wyjście na dach. Przystawiła drabinę, podważyła klapę wjazdu, która na szczęście bez oporu ustąpiła i wyszła na dach, wciągając drabinę na górę. Spojrzała z lękiem w dół. Po namyśle uznała, że

za pomocą drabiny, a nawet bez niej, bez trudu mogłaby dostać się na balkon przylegający do jej pokoju. Odczekała jeszcze dobrą chwilę, a kiedy drzwi na strych ustąpiły, zaczęła powoli opuszczać się po gzymsie na balkon. Była bardzo zdenerwowana. Ręce i nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Wtedy przypomniała sobie, że zostawiła otwarty wąż na dach, co od razu mogło naprowadzić Taborskiego na drogę jej ucieczki. Z ogromnym trudem zawróciła i zaczęła iść po lekko spadzistym dachu w stronę wjazdu. Kiedy już pochylała się nad otworem w dachu, nagle zobaczyła głowę napastnika.

Nie miała czasu na analizowanie sytuacji. Wykorzystała moment, kiedy szalencie próbował wydostać się na dach, i spuściła klapę wprost na jego głowę. Usłyszała huk przewracanych sprzętów, które musiał spiętrzyć, żeby sięgnąć do sufitu bez pomocy drabiny. Towarzyszył temu krzyk pełen strachu, który przeszedł w pojękiwanie przeplatane przekleństwami. Potem nastąpiła cisza.

Anna postanowiła zamknąć Taborskiego na strychu. Żeby tego dokonać, musiała szybko dostać się na balkon przylegający do jej pokoju. Tym razem nie chciała ryzykować skoku. Ostrożnie spuściła na dół drabinę i czując drżenie w nogach, zeszła po szczeblach. Ze swojego pokoju wydostała się na korytarz i wbiegła po schodach na górę.

Kiedy zapaliła światło, zrozumiała że popełniła błąd. Przekręcenie klucza w zamku nie miało żadnego sensu. Uszkodzone zawiasy umożliwiały wydostanie się przez drzwi bez większych prze-

szkód. Nasłuchiwała przez chwilę. Na strychu panowała cisza. Wycofała się więc i zeszła na parter. W progu kuchni stała pani Maria oparta o swój karabin. Przekrzywiony bagnet wyglądał żałośnie i teraz dokładnie było widać, że broń jest tylko drewnianą zabawką. Starsza pani była rozczochrana jeszcze bardziej niż zwykle. Rozdarta spódnica zwisała smętnie, odsłaniając koszulę w ostrym różowym kolorze.

- Nic się pani nie stało? - szepnęła Anna.

- Nie. A co tam na górze? Żyje jeszcze?

- Nie wiem. Nie rusza się. Nie mam odwagi tam iść. Jeśli żyje, to zaraz będzie tu z powrotem. Gdzie jest pistolet?

- Mam go tutaj, w kieszeni. Będę strzelała, jak tylko zaczniesz schodzić z góry. Musisz jednak uważać, żeby nie stanąć na linii strzału. Bądź czujna. Trzymaj się od niego z daleka. Najlepiej zgaśmy światło i czekajmy.

- A jeśli nadejdzie Krzysztof? Z dwoma sobie nie poradzimy. Może lepiej wybiec z domu i od razu zawiadomić policję?

- A skąd wiesz, dziecko, czy ten twój Krzysztof nie stoi pod domem? Nie możemy stąd wyjść, dopóki stary siedzi na strychu.

Przez chwilę stały bez ruchu, nasłuchując odgłosów dochodzących z góry. Taborski znów zaczął przesuwać ciężkie sprzęty, co Annę natychmiast wyrwało z odrętwienia. Zgasła światło.

Sforsowanie drzwi zajęło napastnikowi trochę czasu. Kiedy się z nimi uporał, ruszył na dół, prze-



klinając ciemności. Pani Maria posłała jedną kulę w górę, ale to go nie powstrzymało. Szedł dalej, a odległość między nim i przerażonymi kobietami była coraz mniejsza.

- Będę strzelała! Tym razem trafię na pewno! -krzyknęła histerycznie starsza pani.

- Cicho, matka. Ja do ciebie nic nie mam. Lepiej nie wchodź mi w drogę.

Następny strzał też nie był celny. Starszy pan znajdował się już w holu i uważnie nasłuchiwał, chcąc ustalić, gdzie znajdują się jego ofiary. Pani Maria jeszcze raz wycelowała, ale tym razem rozległ się tylko suchy trzask. Pistolet nie wypalił. Najwyraźniej skończyły się naboje.

- Widzisz, matka? Zostaw ten pistolet. A teraz, mała, daj mi testament i ja zaraz sobie pójdę. - Taborski raz jeszcze próbował użyć perswazji.

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi. Anna drgnęła.

- To mój Krzysztof! - zawołał napastnik. - Nareszcie. Już myślałem, że nie można na niego liczyć. Ale zrozumiał w końcu, co jest najważniejsze w życiu. Pieniądze, moja mała. Tylko pieniądze. Wpuść go natychmiast.

Dziewczyna milczała i nie ruszała się z miejsca. Pani Maria też stała bez ruchu. Po chwili usłyszały walenie pięściami w drzwi.

- Otwórz, Anno! To ja, Krzysztof!

- Odejdź! - krzyknęła dziewczyna.

- Anno! Przyszedłem cię ostrzec. Stryj jest szalony! Musisz dobrze pilnować domu. On jest niebezpieczny!

- Odejdź! Nie ufam ci! Twój stryj jest tu z nami! On chce mnie zabić!

Taborski zrobił parę kroków w stronę, z której dochodził głos Anny. Z ulicy docierało słabe światło latarni. Najwyraźniej jego wzrok przyzwyczał się już do ciemności, bo bez trudu dotarł do stojącej w drzwiach kuchni dziewczyny i próbował chwycić ją za ramię. Ta krzyknęła i podbiegła do kuchennego stołu. Przez chwilę trwała zacięta gonitwa.

Przerwała ją pani Maria, która w odpowiednim momencie wystawiła karabin i podcięła szaleńcowi nogi. Taborski przewrócił się, pociągając za sobą krzesło. Starsza pani uderzyła go drewnianą kolbą. Mężczyzna jęknął i zamilkł. Anna zapaliła światło.

Zobaczyły twarz wykrzywioną bólem i wściekłością. Na białej koszuli były ślady świeżej krwi. Napastnik trzymał się ręką za krawat, który najwyraźniej go dusił. Powoli wstawał z klęczek. W kuchennym oknie widać było przerażone oczy Krzysztofa. W chwili kiedy sąsiadka uniosła swój karabin, żeby zadać cios po raz drugi, usłyszały krzyk chłopaka:

- Nie! Nie róbcie tego!

Karabin zawisł w powietrzu. Taborski wykorzystał moment wahania i pchnął starszą panią tak mocno, że zatoczyła się pod ścianę i upadła. Anna chwyciła tłuczek do mięsa i cisnęła nim w napastnika. Niestety, chybiła. Mężczyzna chwycił ją za włosy, obrócił tyłem do siebie i wykręcił dziewczynie rękę, całkowicie ją obezwładniając.

- A teraz, mała, prowadź mnie do swojej skrytki. Jak widzisz, Krzysztof ci nie pomoże. On jest po mojej stronie.

- Nic nie wiem o testamencie.

- Chcesz, żebym zrobił krzywdę tej starszej pani?

- Nie chcę. Proszę dać nam spokój.

- Prowadź. To na pewno jest w twoim pokoju. Który pokój należy do ciebie? Prowadź na górę, moja panno, ale najpierw zapal światło.

Pchnął Annę w stronę schodów, nie wypuszczając jej ręki ze swojej dużej łapy. Kiedy zapalała światło, poczuła zapach wody kolońskiej i szorstki materiał garnituru na swojej twarzy. Wpadła w panikę. Próbowwała się wyrwać, ale Taborski był od niej silniejszy.

Prowadził ją jak dziecko po schodach.

Drzwi do jej pokoju były otwarte. Taborski zapalił światło, nie wypuszczając Anny z objęć.

- Gdzie to jest, mała?

Z szafy wyszła koteczka, a za nią wybiegły cztery kociaki, ciekawie rozglądając się po pokoju. Chodziły już całkiem sprawnie, więc kocia mama usiadła na krzeselku i z góry obserwowała swoją gromadkę. Mężczyzna nie zwracał uwagi na zwierzaki.

- Gdzie to jest? - krzyknął znowu i potrząsnął Anną.

W tym momencie w progu stanęła pani Maria ze swoim karabinem.

- Ty potworze! - krzyknęła. - Będziesz tu straszył bezbronne kobiety?

Znów zamachnęła się kolbą, ale Taborski wypchnął ją za drzwi i zamknął je na klucz. Sąsiadka waliła w nie karabinem, ale nic nie mogła wskórać. Anna skorzystała z chwili nieuwagi napastnika i wybiegła na balkon. Nie miała odwagi skoczyć w dół. Kiedyś jako mała dziewczynka uciekła babci do ogrodu po rynnie. Teraz przypomniła sobie to zdarzenie i próbowała dotrzeć do tego miejsca. Właśnie miała przełożyć nogi przez balustradę, gdy usłyszała głos Krzysztofa:

- Anno, tutaj. Skacz, a ja będę cię asekurował. Znieruchomiała. Znalazła się między młotem

i kowadłem. Nie wiedziała, kogo bardziej się boi. Obaj byli tak samo niebezpieczni, a jedyny jej obrońca, czyli pani Maria, został za drzwiami. W tej chwili mogła tylko krzyczeć, licząc na to, że usłyszy ją ktoś z sąsiadów lub jakiś spóźniony przechodzień.

- Ratunku! Ratunku, ludzie! Bandyci!

Głos uwiązał jej w gardle. Na szyi poczuła palce Taborskiego. Wciągnął ją do pokoju i rzucił na łóżko.

- Mów, gdzie to schowałeś! - krzyczał i bił ją otwartą dłonią po twarzy.

Zaczął biegać po pokoju. Strącał książki z półek. Wygarniał na podłogę zawartość szuflad, otworzył szafę i powyrzucał ubrania. Niechcący nadepnął kociaka, który wrzasnął głośno z bólu i przerażenia. W tym momencie na balkonie pojawił się Krzysztof, który po rynnie wszedł na górę. Chwiejnym krokiem podszedł do drzwi, roz-

cierając podrapane dłonie. Na jego widok Anna wtuliła się w kąt łóżka.

Taborski nadal buszował po pokoju, klnąc głośno. Do jego głosu dołączyło się ostrzegawcze miauczenie kocicy, która z uniesionym ogonem i wygiętym grzbietem stała teraz na krześle. Jej ogon zaczął miarowo kołysać się z boku na bok. Kociak, na którego spadła książka, pisnął żałośnie. W tym momencie kotka niczym furia skoczyła na podłogę i wbiła zęby w łydkę Taborskiego. Ten z wrzaskiem próbował strącić ją na podłogę. Ale kocica wczepiła się pazurami w nogawkę spodni i gryzła coraz mocniej.

Anna patrzyła na to wszystko rozszerzonymi ze strachu oczami. Krzysztof podbiegł do niej i próbował przygarnąć dziewczynę do siebie. Odepchnęła go z krzykiem, usiłując zerwać się z łóżka. Pani Maria waliła miarowo w drzwi kolbą karabinu.

Taborski zatoczył się i upadł, potracając następnego kociaka. Jego matka zaatakowała po raz drugi. Broniła swoich dzieci, bijąc pazurami na oślep. Krzysztof chwycił stryja za rękę i podniósł razem z kotką uczeploną jego ramienia.

- Daj mi coś, żebym mógł go związać - krzyknął do Anny.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem, chwyciła szalik leżący na podłodze i podała bez słowa. Chłopak związał ręce stryja, który poddał się bez walki, bo kotka wciąż wisiała mu na ramieniu. Krzyczał tylko, żeby zabrać bestię z jego ręki. Oczy miał nieprzytomne, a twarz wykrzywioną z bólu.

- Co ty, Krzysztofie, bawisz się w Brutusa? Zabierz tego zwierzaka i pomóż mi odnaleźć testament.

Chłopak nie zwracał uwagi na słowa stryja.

- Dzwon po policję! Albo nie, lepiej do szpitala psychiatrycznego - zawołał do Anny.

- Telefon nie działa. Pewnie twój stryj przeciął przewody.

Krzysztof jęknął i kazał dziewczynie otworzyć drzwi. W progu stanęła pani Maria z rozwianymi siwymi włosami. Wyglądała jak zjawa.

- Niech pani sprowadzi pomoc. Trzeba stryja odwieźć do szpitala.

- Chce pan go leczyć z kocich ukąszeń? Samo się zagoi. Jego trzeba zakuć w kajdanki.

Z rękawa marynarki Taborskiego spływała krew. Czerwone plamy na koszuli wyglądały okropnie. Starszy pan drżał na całym ciele i przewracał oczami. Siedział na krześle ze związanymi rękami bez słowa protestu.

- Niech pani da spokój! Trzeba go odwieźć do szpitala. Jest szalony! Przecież nie zrobił wam nic złego.

- Jak to? - Sąsiadka załamała rękę. - Włamał się do domu. Strzelał do mnie z pistoletu. Mógł mnie zabić. Chciał zamordować Aneczkę! Bił ją i tarmosił! Zdemolował dom. O, niech pan popatrzy. Jak to wygląda? Pobojowisko! Kryminalną sprawę chce pan zatuszować? Ja wzywam policję!

- Proszę! Moja rodzina pokryje wszelkie koszty. Zaraz zadzwonię do ciotki, ona wszystko po-

twierdzi. Stryj zawsze był trochę szalony, ale nigdy nikomu nie zagrażał. Teraz też z pewnością chciał was tylko nastraszyć.

- Młody człowieku, co też pan opowiada? - Pani Maria żywo gestykulowała. - Ten wariat zaraz wyjdzie ze szpitala i znów napadnie na Aneczkę, a wtedy może mnie nie być w pobliżu. A jeśli zabije to niewinne dziecko? Nie, mój drogi, ja tego na swoje sumienie nie wezmę. Teraz zejdzie pan na dół i przywoła policję. Ja tu zostanę i dopilnuję tego typu. A jeśli zamiast policji podjedzie karetka pogotowia, to uszkodzę tego delikwenta jeszcze mocniej. Uprzedzam.

Anna patrzyła na tę scenę nieprzytomnym wzrokiem. Miotły nią sprzeczne uczucia. Chciała, żeby Krzysztof bronił ją przed zagrożeniem, i jednocześnie nie umiała mu w pełni zaufać. Jeszcze przed chwilą była pewna, że jest współnikiem napastnika. Teraz już nie mogła tak myśleć, ale świadomość, że zostanie sama z tymi dwoma panami, była dla niej nie do zniesienia. Już chciała poprosić panią Marię, żeby poszła wezwać pomoc, ale głos uwiązał jej w gardle.

W tym momencie zobaczyła kotkę, która znów szykowała się do skoku. Znajdowała się też za plecami Krzysztofa. Szybko wstała i podbiegła do kocicy. Nie mogła jej wziąć na ręce, bo waleczne zwierzę nie zważało na pojednawcze gesty. Trzeba było chwycić ją za skórę na grzbiecie. Po chwili trzymała już w górze szamoczące się i syczące stworzenie i spoglądała na wszystkich bezradnie.

- Do łazienki! - krzyknęła pani Maria.

To było najlepsze rozwiązanie. Kocica została umieszczona w łazience, skąd dochodziły teraz ostrzegawcze pomruki. Kocięta niechętnie poszły w stronę szafy. Nikt jednak nie podjął decyzji, co robić dalej.

- Niech mnie pani nie zostawia tutaj z nimi, pani Mario.

- Zabiorę stryja. Pomóżcie mi - prosił Krzysztof. Taborski pomału dochodził do siebie.

-Co się dzieje, Krzysiu? Łap ją. To ostatnia z rodu. Jak ją zlikwidujemy, cały spadek przejdzie w nasze ręce. Będziesz miał takich dziewczyn na pęczki. To chyba lasne.

- Spokojnie, stryju, zaraz wezwiemy lekarza.

- Po co lekarz? Ty myślisz, że ja nie wiem, o co tu teraz chodzi? Pomóż mi, widzisz przecież, co te baby ze mną zrobiły. Cały jestem pokaleczony.

Chłopak milczał i rozglądał się bezradnie. Wreszcie Anna zdecydowała:

- Wyjdziemy wszyscy razem na ulicę i będziemy szli w stronę posterunku policji tak długo, dopóki nie spotkamy kogoś, kto nam zechce pomóc.

- Mądre dziecko - zawołała pani Maria. - Idziemy. Krzysztof próbował podnieść stryja z krzesła.

Ten ociągał się przez chwilę. Nagle uniósł skrepowane szalikiem ręce i uderzył siostrzeńca w głowę. Chłopak upadł, mimo to dostał jeszcze kopniaka w brzuch. Zwinął się z bólu i cicho jęczał. Taborski próbował powtórzyć ten manewr wobec pani Marii, ale ona uchyliła się w porę, krzycząc:



- Aneczko, biegnij do mojego domu i zadzwoń na policję. A ja tu sobie z nimi poradzę. No, idź. -Chwyciła mocniej swój karabin i zaczęła nim machać, żeby nie dopuścić do siebie napastnika.

Anna próbowała przejść za jej plecami w stronę drzwi, ale Taborski był szybszy. Złapał drewniany karabin, wyrwał go z ręki starszej pani i zamierzył się na dziewczynę. W tym momencie Krzysztof oprzytomniał i chwycił stryja za nogę. Taborski stracił równowagę, dzięki czemu Anna zdołała wybiec z pokoju. Za nią podążyła pani Maria. Krzyki i szamotanina zostały za nimi.

- A jeśli stryj zabije Krzysztofa?

- Daj spokój, dziecino. Oni sobie krzywdy nie zrobią.

- Ale to szalenie!

Pani Maria bez namysłu pociągnęła dziewczynę za sobą. Wybiegły na ulicę. Zanim dotarły do domu sąsiadki, zdołały usłyszeć odgłosy walki. Anna przystanęła i nasłuchiwała ze zgrozą.

- Niech się pozabijają - zawołała pani Maria i wbiegła do swojego domu. Zapaliła światło i chwyciła za słuchawkę telefonu. Wykręcanie numeru trwało bardzo długo. Anna cały czas wyteżala słuch. Teraz dotarło do niej, że Krzysztof naraża życie w jej obronie. Już chciała biec mu na ratunek, kiedy sąsiadka zastąpiła jej drogę.

- Zaraz przyjadą - oznajmiła.

- Ale on może zabić Krzysztofa!

- Nic na to nie poradzisz, dziecko.

- Krzysztof przyjechał, żeby mnie bronić.

- Na to wygląda, ale nie możemy mu pomóc. Ja tak do końca nie wierzyłabym w jego czyste intencje.

Krzyki były coraz głośniejsze. Dziewczyna wyszła na ulicę i stanęła przed swoim domem. Za nią podreptała pani Maria. Szamotanina przeniosła się na taras. Taborski bił na oślep chłopaka i usiłował przerzucić go przez barierkę.

- Muszę mu pomóc - szepnęła Anna.

- Ani się waż. Stary ma atak szału. Mógłby cię zabić.

Szamotanina na tarasie ucichła. Krzysztof prawdopodobnie stracił przytomność. Jego stryj, nie napotykając już na żaden opór, próbował wciągnąć go na barierkę i zrzucić na ziemię.

- Zostaw go! - krzyknęła pani Maria. - Zostaw, bo zastrzelę jak psa!

Taborski znieruchomiał i z napięciem wpatrywał się w mrok, ale po chwili na nowo podjął przerwane zajęcie.

- Zostaw! - tym razem sąsiadka krzyknęła znacznie głośniej.

Mężczyzna wychylił się z tarasu i próbował wyłowić z mroku swoją przeciwniczkę. W tym momencie w ulicę wjechał na sygnale policyjny samochód. Szalencie cofnął się i wbiegł do pokoju.

- Dziękuję, pani Mario. Uratowała mi życie - szepnęła Anna.

- Komu? Taborskiemu?

- Ależ nie. Chodzi mi o Krzysztofa.

Zanim samochód podjechał do bramy, starszy

pan pojawił się nagle przy stojących na ulicy kobietach, chwycił Annę i pociągnął za sobą. W rękę miał pistolet, który pani Maria musiała zgubić podczas szamotaniny. Pomachał nim w stronę funkcjonariuszy, krzycząc, że zabije dziewczynę, jeśli natychmiast nie dadzą mu spokoju. Pani Maria z satysfakcją powiadomiła policjantów, że broń nie jest nabita. Uwierzyli i pewnie ruszyli w stronę Taborskiego. W tym momencie pistolet wypalił. Na szczęście niecelnie, bo zakładniczka szarpnęła napastnika za ramię, próbując się uwolnić. Z drugiej strony ulicy nadjechała karetka pogotowia. Taborski był osaczony. Ogłuszona strzałem i krzykami Anna nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Jej prześladowca wciąż machał pistoletem i raz za razem naciskał spust, nie zdając sobie sprawy z tego, że naboje się skończyły. Schwytany przez funkcjonariuszy i pielęgniarzy, został natychmiast unieruchomiony kaftanem bezpieczeństwa.

Anna powoli przychodziła do siebie. Wskazując na balkon, nieskładnie próbowała powiedzieć, że tam leży ranny człowiek. Lekarz i policjanci pobiegli na górę. Dziewczyna ruszyła za nimi.

Krzysztof siedział oparty o balustradę. Był w opłakanym stanie. Krew płynęła mu po twarzy. Miał rozbitą głowę. Dziewczyna podbiegła do niego i wyciągnęła rękę, ale bała się, że dotyk może mu sprawić ból. Lekarz przeprowadził chłopaka do pokoju i ułożył na podłodze. Badanie wypadło zadowolająco.

- No cóż, parę stłuczeń, nic więcej. Ale mogę zabrać pana do szpitala na dodatkowe sprawdzenie.
- Nie trzeba, panie doktorze. Zostanę tutaj.
- Jak pan chce. Nic już panu nie zagraża. Krzysztof uśmiechnął się niepewnie. Po chwili w pokoju został z nimi tylko policjant, który podziwiał bałagan zrobiony przez Taborskiego.
- Musimy porozmawiać, moi drodzy. Wprawdzie śledztwo zacznie się dopiero teraz, ale od razu mogę wam to powiedzieć. Starszy pan w obecności lekarza przyznał się już do wszystkiego. To on wynajął ludzi, którzy włamali się do tego domu, żeby odszukać testament. Z dumą też opowiadał o tym, jak podczas wizyty złożonej pani Izabeli wsypał truciznę do filiżanki z kawą. Nie znalazł jednak cennego dokumentu, więc musiał tu wrócić raz jeszcze. A pan, młody człowieku, świadomie lub nieświadomie, służył mu za informatora. Skąd pan Taborski tak świetnie orientował się we wszystkim? Ktoś musiał go zawiadomić o tym, że starsza pani będzie sama w domu.
- Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że stryj jest niebezpiecznym szaleńcem. Bardzo go lubiłem i miałem do niego całkowite zaufanie. Tymczasem on zręcznie wyciągał ode mnie informacje. Nie przyszło mi do głowy... Nie, o wizycie w muzeum z pewnością mu nie powiedziałem. Musiał się o tym dowiedzieć od dyrektorki. Wybaczcie, ale tego nie mogę wziąć na swoje sumienie.
- Macie szczęście, że to się tak skończyło. Pani Maria zasłużyła na medal za odwagę.

W tym momencie sąsiadka weszła do pokoju i od razu włączyła się do rozmowy.

- No cóż - powiedziała, skromnie spuszczać oczy - doświadczenia wyniesione z partyzantki jeszcze raz się na coś przydały.

- Wprawdzie koty zginęły przez przypadek, bo trucizna była przeznaczona dla pani Izabeli, niemniej jednak...

- A to zbrodniarz! - Pani Maria trzęsła się z oburzenia. - Za to również odpowie przed sądem. Moje niewinne biedactwa.

Kiedy już wszystko omówiono ze szczegółami, Anna pożegnała swoich spodziewanych i niespodziewanych gości. Potem zamknęła drzwi i odwróciła się do stojącego na schodach Krzysztofa. Szła powoli w jego stronę, ufna i szczęśliwa. Oparła głowę na jego ramieniu i przymknęła oczy, a on gładził ją po włosach i powtarzał:

- Wszystko będzie dobrze.